

marek trojanowski

# etyka i poetyka

internet 2009

**SPIS TREŚCI**

O tym, co się stanie gdy tomik Romana Kaźmierskiego "Nieuleczalne" trafi w niepowołane ręce.	4
O tym jak znany krytyk literacki pan X chciał porozmawiać z Włodzimierzem Holsztyńskim o tomiku: "Wciąż muzyka" i o tym, jak nic z tego nie wyszło	9
Trzech krytyków w dyskusji o "Arcyludzkie, obce", Arkadiusza Burdy	12
Kulinaria I	15
Kulinaria II	20
Kulinaria III	24
Kulinaria IV	28
Bohdan Zadura, Wszystko	31
Baranina	37
Apelacja	40
Rybołówstwo	43
Justyna Bargielska, CHINA SHIPPING	46
Honet 2000	48
Roman Honet, baw się	51
Krzysztof Siwczyk, zdania z treścią	56
Justyna Radczyńska, Nawet	59
Agnieszka Kuciak, retardacja	64
Radosław Wiśniewski, albedo	66
Jakub Winiarski, recenzje, omówienia	69
In vino vanitas	73
Dariusz Pado, peryferie raj	76
Jacek Dehnel, wyprawa na południe	78
Agnieszka Wolny-Hamkało, Ani mi się śni	81
Przemysław Owczarek, Rdza	85
Piotr Czerniawski, 30 łatwych utworów	88
Maciej Woźniak, Obie strony światła	92
Roman Kaźmierski, Sen odwykowy	94
Jacek Bierut, Igła	99
Bogusław Kierc, Cło	102
Maciej Robert, Puste pola	104

Jacek Gutorow, Linia życia	108
Anna Magdalena Pokryszka, Każdego dnia	113
Jerzy Illg, Wiersze z Marcówki	117
Klara Nowakowska, Składnia.	121
Marcin Sendeki, Z wysokości. Parcele	125
Szczepan Kopyt, [yass]. Prolegomena	128
Szczepan Kopyt, [yass]. Parerga	131
Mariusz Grzebalski, Pocałunek na wstecznym	134
Paweł Kozioł, Wpław	137
Jacek Dehnel, Brzytwa okamgnienia	141
Marcin Czerkasow, Fałszywe zaproszenia.	144
Wallace Stevens, Żółte popołudnie.	148
Jarosław Lipszyc, poczytalnia	151
Marcin Cecko, mów.	155
Edward Pasewicz, th. Wstęp.	159
Edward Pasewicz, th - Jak przegrać doskonale	162
Edward Pasewicz, th - Sonata o takcie	164
Traktat o kurestwie idealnym	166

## O tym, co się stanie gdy tomik Romana Kaźmierskiego "Nieuleczalne" trafi w niepowołane ręce.

Był to jeden z tych wieczorów jesiennych, które człowiek wolał spędzić przy kominku z lampką wina i dobrą książką w rękę. Wiatr bezlitośnie smagał korony drzew, zrywając z nich ostatnie liście. Gdzie je porywał? W przestworza, by ponad czasem wirowały, czy może do nowych światów, by złożyły się w nieskończoność? Przyroda ustami swego najwierniejszego ze sług – starego Eola – zapowiadała nadejście nocy duchów i demonów. Fatalnych godzin, skończonego odcinka czasu, w którym odwrócony zostanie porządek rzeczy.

W bibliotece podniszczonego dworku szlacheckiego siedział starszy pan. Przy skąpym oświetleniu jaki dawał kandelabr, przeglądał on stary inkunabuł: Hermeneuticon ex mortis, który jak głosi legenda oprawiony został w skórę nie ochrzczonego dziecka samego Hansa-Georga Gadamera.

Niespiesznie wertował kolejne stronicie, notując coś na karteczce, która leżała obok. Zatrzymał się dłużej przy 1876. paginie. Przesuwając palcem po kolejnych wersach jego twarz stawała się coraz bardziej ponura.

- Czyżby to było dzisiaj? – wymamrotał pod nosem.

Następnie wstał, podszedł do dębowego regału bibliotecznego, który zdobila snycerka najstarszych mistrzów gdańskich i sięgnął po kolejny inkunabuł:

- Parvus mundi, Parvus mundi... – szeptał.

Otworzył go na tej samej paginie co Hermeneuticon. Była tam tablica alfonsyńska B.

Świat naukowy kwestionował jej autentyczność. Zresztą kto uwierzyłby, że trzecim astronomem będącym na usługach władcy Kastylii, obok ben Mosego oraz ibn Sida mógł być sam El Satanico. To właśnie spod jego pióra wyszła tablica alfonsyńska B. Wszyscy ci żeglarze, którzy zaufali deklinacji słońca z tablicy B, nigdy nie powrócili do domu. Legenda głosi, że tablica B prowadzi do innego świata, w którym ten, kto umarł żyje, a ten, co nie umarł, jest bardziej martwy od trupa.

Starszy pan uważnie się jej przyjrzał. Następnie zamknął księgę, odłożył na półkę i spojrzał na zegarek. Dochodziła dwunasta.

- Janie! – zawołał na lokaja.

- Tak panie? – zapytał stary służący, wchodząc do skąpo oświetlonej sali.

- Szykuj konie!

- Wedle rozkazu jaśnie panie.

Karoca ciągniona przez cztery czarne rumaki zatrzymała się przed ruiną klasztoru jezuitów. Wiadomo, że chrześcijanie budowali swoje świątynie i klasztory w miejscach kultu starej wiary. Tej samej wiary, która prowadziła dłoń El Satanico, gdy spisywał swoje obliczenia.

Starszy pan pośpiesznie opuścił karetę i udał się w stronę zrujnowanego wejścia.

Szedł ciemnym korytarzem oświetlając sobie drogę pochodnią. W jego głowie kłębiły się wątpliwości: „Czy się uda? Czy to na pewno ta noc? Czy wszystko mam, czy czegoś nie zapomniałem?”. Chcąc rozwiązać choćby jedną z nich, sięgnął do kieszeni i wyjął z niej karteczkę. Rozłożył i przeczytał po cichu:

*Nie do zabrania ze sobą*

*jest miejsce po sobie  
z napisem zabronione,*

*ze sobą wbijanym w ranek  
jak olchowy palik: dwóch młodych uderza  
na przemian młotkami, starszy dogląda.*

*Gdzie indziej znaczy coraz bardziej tutaj.  
Nie ucieknie się ogrodzeniom, przecieknie  
topniejącą zmarzliną w głąb.*

*Pozostawiać, nie pozostając.  
Po obu stronach stalowej siatki  
świecą rozsypane zawilce.*

- Uff... – odetchnął z ulgą – Formułę mam. Wszystko powinno się udać.

Wiersz nr 1 z *Nieuleczalnych okolic*, **Romana Kaźmierskiego** został stosunkowo niedawno odkryty przez **Biuro Poszukiwania Zakłęb Przywoławczych**. Początkowo jego skuteczność była testowana na martwych myszach polnych i pasikonikach odurzonych dwutlenkiem węgla. Efekty były obiecujące, bo 98 mysz na sto martwych powracało do życia po użyciu owego zakłęcia. Na próbie pasikoników efekt był wręcz fenomenalny. Wszystkie zmartwychwstawały.

Po kilku minutach starszy pan dotarł do dużej sali. Oświetlały ją zawieszane na ścianach łuczywa. W jej centralnym miejscu płonęło ognisko, wokół którego krzątały się tajemnicze postacie ubrane w czarne obrzędowe stroje.

- Jesteś, jesteś – zawołała jedna z nich, podchodząc pospiesznie do starszego pana.
- Czy wszystko gotowe? – zapytał.
- Tak mistrzu. Czekaliśmy tylko na ciebie.
- A kandydat?
- Też jest. Czeka w pomieszczeniu obok.
- Wie?
- Nie. Powiedzieliśmy mu, że odbywa się kongres heideggerianów i że będą dyskusje o jego tomiku *Nieuleczalne*. Tylko tyle mu powiedzieliśmy. Baliśmy się, że nie przyjedzie.
- Dobrze. Bardzo dobrze – odparł starszy pan – Zaczynamy.

Członkowie tajnego stowarzyszenia, tak tajnego, że nikt nie zna jego nazwy, ustawili się w kręgu dookoła ognia. Zgodnie z pradawnym zwyczajem, który towarzyszy wszelkim tego typu spotkaniom wyrecytowano kilka powiedzonek łacińskich. Spalono czarnego kota i już zabierano się do rozdzwierzenia blondwłosej dziewczyny, gdy nagle ktoś zakłócił ceremoniał:

- Ekhm, ekhm. Kiedy będziemy komentować moją poezję? – zapytał Roman, wchodząc do sali.

Członkowie tajnego bractwa zamilkli. Rozneglizowana dziewczyna, która w tej chwili leżała na zaimprovizowanym naprędcie ołtarzu pospiesznie okryła nagie ciało i zawiedziona uciekła.

- No właśnie mieliśmy po pana posłać – odpowiedział starszy pan, spoglądając za oddalającą się dziewczyną. „I znowu nie poruchałem!” – pomyślał w duchu. Ale nie dał tego po sobie poznać. Podszedł do Romana, objął go i prowadząc go ku ognisku powiedział:

- Panie Romanie, czas żeby poznał pan prawdę.

- Prawdę? Co za prawdę? O co tu chodzi? – zapytał rozglądając się dookoła. Dopiero teraz zauważył, że całe otoczenie oraz mistyczna atmosfera miejsca, w którym się znalazł nie przypominała auli Uniwersytetu Freiburskiego.

- Tylko spokojnie – uspokajał go mistrz – Jesteśmy tu po to, by ci pomóc.

- Jak? Mi? Mi nie trzeba pomagać! – spanikował Roman, który poczuł, że coś tu jest nie tak. Kiedy zaczął się wyrwać, starszy pan rozkazał pozostałym:

- Związać go!

Po chwili wszystko wróciło do ładu. Ognisko płonęło, członkowie bractwa stali w okręgu, którego jednym z ogniw był związany i zakneblowany Roman.

- O wielki! Przybądź! Zaklinam cię! – powiedział głośno mistrz i zaczął recytować wiersz numer jeden. Gdy dotarł do strofy:

*Gdzie indziej znaczy coraz bardziej tutaj.  
Nie ucieknie się ogrodzeniom, przecieknie  
topniejącą zmarzliną w głąb.*

Na zewnątrz rozpętało się piekło. Pioruny były z piekielną mocą, tak jakby chciały rozerwać ziemię i wydobyć z niej najgłębsze tajemnice, wszystkie te, które ona pochłonęła od początku swego trwania. Temu wszystkiemu wtórował skowyt Fenrira, który widocznie miał nadzieję na to, że tym razem uda mu się wydostać i ostatni raz zaszaleć. Na twarzach braci pojawił się grymas przerażenia. Każdy z nich czekał na ten dzień, na chwilę, w której spełni się ich misja. Ale kiedy poczuli delikatną i narastającą w sile wibrację pod stopami, wiedzieli, że czymś innym jest czekać-na a czymś innym jest spotkać-to-coś-tu-teraz. Mistrz ignorował trwogę współbraci i czytał dalej:

*Pozostawiać, nie pozostając.  
Po obu stronach stalowej siatki  
świecą rozsypane zawilce*

Po słowie „zawilce” nagle wielki słup światła buchnął z ziemi. Zaklęcie przywoławcze odniosło skutek. Bracia padli na kolana, a mistrz nie ośmielając się podnieść głowy powiedział głośno:

- Endlich ist es so weit! Herzlich willkommen Herr Heidegger!

I właśnie w tym momencie, gdy spodziewał się usłyszeć jakieś zdanie po niemiecku, rozbrzmiała piosenka:

*Oh baby, baby Oh baby, baby Oh baby, baby sialalalalalaa How was I supposed to know, That something wasn't right here...sialalalalalalala*

Bracia, gdy to usłyszeli zerwali się na nogi. Zaczęli się przyglądać istocie, która przywołali. Zamiast starca z tysiącem zmarszczek na czole pojawiła się blondwłosa dziewczynka, która nie знаła ani słowa po niemiecku. Podchodzili do niej kolejno. Niektórzy, bardziej śmiali, dotykali jej. Sprawdzali, czy aby proces materializacji ducha nie został w jakiś sposób zakłócony. Ale okazało się, że jest postać ta jest na wskroś cielesna, realna.

- Mistrzu! Coś poszło nie tak – powiedział jeden z braci.

- Faktycznie – odparł starszy pan, wsłuchując się w słowa piosenki, którą śpiewała blondistota. Kiedy usłyszał: „Give me a sign..sialala....Hit me baby one more time” rozkazał:

- Zdejmijcie mu knebel!

Jeden z braci podszedł do związanego Romana i wyjął szmaciany gałgan z jego ust. Mistrz podszedł do niego i powiedział:

- Powiedz nam jak?

Roman uśmiechnął się i odparł:

- Rozwiążcie mnie, to wam powiem.

Mistrz skinął głową i chwilę później Roman rozcierał nadgarstki, które ścierpły od sznura.

- Teraz powiedz! – powiedział podniesionym tonem mistrz.

Roman usiadł na posadzce, zdjął okulary i zaczął wycierać szkła rękawem. Po chwili spojrzął na mistrza i zapytał:

- Macie tu ten tomik *Nieuleczalne*?

- Tak – odpowiedział mistrz i podał mu kilkadziesiąt stron wydruku.

- Nie, nie trzeba. Znam je na pamięć. Ale żeby zakłęcie zadziało musicie znać klucz. Chyba nie byliście tak naiwni, że potężne zakłęcie przywoławcze umieściłem w jednym wierszu?

Mistrz gdy to usłyszał spojrzął z wyrzutem na jednego z członków bractwa, który był także obecny na ceremonii, a który był najlepszym hermeneutą w tajnej organizacji.

- Ale skąd mogliście to wiedzieć heheheh – zakpił Roman – zdradzę wam klucz, ale musicie obiecać, że jako pierwszy porozmawiam z Martinem.

Mistrz wiedział, że czas nagli, że za chwilę planety zmienią swoje pozycje i na następny taki układ przyjdzie im czekać kolejne stulecie. Nie miał żadnej dogodnej pozycji, by wynegocjować inne warunki. Musiał przyjąć propozycję.

- Zgoda – odpowiedział.

Roman podniósł się z posadzki, założył okulary i zaczął przeglądać strony z wierszami.

Następnie powiedział spokojnie:

- Zasada jedności.

- Jedności?

- Tak, jedności. Bierzecie pierwszy wers z każdego wiersza z cyklu *Nieuleczalne okolice* i układacie je kolejno w wiersz. Czyli:

*Nie do zabrania ze sobą*

*Patrząc z wiaduktu na tory,*

*Z ławki przy brzegu liczę fale.*

*Spóźnione pozdrowienie od oceanu, jezioro.*

*Do ciebie się odzywam, do wiatru.*

*Z mgły odcedzić mleko, z głosu powtórki, powtórki.*

*Wraz ze śniegami przepadło czarne na białym.*

*Przemierzaj ciało drobnymi krokami.*

*Kto ma w sobie zimę, rozpoznaje wiosnę*

*Przybity do krzesła godzinami.*

*Jeśli ojciec umarł, żyje we śnie. Jest martwy*

- Genialne, genialne – zaczął szeptać brat-hermeneuta, który w tej chwili zrozumiał istotę ukrytych kluczy w poezji Kaźmierskiego. Tym czasem mistrz, nie chcąc trwonić czasu rozkazał by usunąć z sali śpiewającą dziewczynkę i rozkazał, by wszyscy ustawili się w okręgu. Następnie w skupieniu wyrecytował zakłęcie. Znowu nastąpiła światłość i znowu wszyscy padli na kolana, włącznie z Romanem.

- Willkommen Herr Heidegger! – powiedział wielki mistrz.

- Wo bin ich? – wymamrotała zjawa, trzymająca w dłoni *Sein und Zeit*

- Unter Freuden – odpowiedział mistrz, chcąc uspokoić zmaterializowanego ducha wielkiego Heideggera. Duch ten jednak był tak samo niespokojny po śmierci jak i za życia. Rozglądał się uważnie dookoła. I nagle stała się rzecz niebywała, coś czego nikt nie mógł przewidzieć.

Kiedy Roman podszedł do Heideggera z wyciągniętą dłonią, chcąc się przywitać, Heidegger zaczął wrzeszczeć:

- Agrhhhh! Ich will zurück! Ich will zurück!

Następnie skurczył się i ponownie zapadł pod ziemię. Bracia spanikowali. Nie wiedzieli, co się stało. Tylko Roman zachował spokój. Opuszczając wolnym krokiem komnatę, mamrotał pod nosem:

- Strzeż się świecie. Strzeżcie się zaświaty. Nadchodzę.



## O tym jak znany krytyk literacki pan X chciał porozmawiać z Włodzimierzem Holsztyńskim o tomiku: "Wciąż muzyka" i o tym, jak nic z tego nie wyszło

- Zje pan coś? Bo ja właśnie szykuje sobie obiad – powiedział Holsztyński, krzątając się przy kuchence.

- Nie dziękuję – odpowiedział pan X.

- Na pewno? Kiedy byłem w pana wieku, zawsze byłem głodny. Wie pan, w czasie studiów chodziło się z chłopakami na setkę i zawsze do tego zamawialiśmy śledzie. Dużo śledzi. Wie pan, człowiek gdy młody, zawsze jest głodny. Ehh, te śledzie, łowione w Bałtyku – zadumał się na chwilę, spoglądając przez kuchenne okno na nowojorski świat drapaczy chmur.

- Śledzie, śledzie. Słone śledzie. Sól tamtej ziemi. A tu puszki Campbell... – dodał.

Pan X, który dobrze znał się na psychologii behawioralnej, dostrzegł w pozie swego rozmówcy jakąś niewyraźną tęsknotę. Nie chcąc mu robić przykrości odpowiedział:

- Dobrze, zjem z panem, chociaż przyznam, że zabrałem ze sobą prowiant. Wie pan jak to jest, redakcje płacą głodowe diety dzienne i tak miałem szczęście, że mi opłacili lot w economic class.

Gdy to usłyszał, Holsztyński odwrócił się gwałtownie. Spojrzał na gościa w taki sposób, jak wygłodzony kanibal na długo oczekiwany obiad. Pomału podszedł do stołu. Usiadł na taborecie i opanowując z całych sił rządę, która się w nim tłamsiła zapytał:

- Jaki prowiant?

- Kilka konserw mięsnych, suszoną krakowską, kilo podwawelskiej no i flaszkę żytniej, tak po staropolsku. Na lotnisku robili mi problemy, ale jakoś ich udobruchałem – odpowiedział pan X.

- Hmm... – zadumał się Holsztyński – Ma pan to wszystko przy sobie? Może warto byłoby włożyć do lodówki, żeby się panu nie zepsuło. Mam tu taką, która sama robi lód, ma wyświetlacz LCD, budzik i nawet można z nią porozmawiać.

- Nie, nie trzeba, po rozmowie idę zaraz do hotelu, tam na pewno mają lodówki – odparł krytyk.

Holsztyński, którego umysł opanowała wizja polskiej kiełbasy i wódki, nie dał za wygraną. Wszak każdego dnia robił zakupy w polskich sklepach, ale ich folklor tak bardzo zafałszowany przez amerykańską kulturę odbijał się także na jakości produktów w nich sprzedawanych. W przeciągu siedmiu lat pobytu na emigracji nigdy nie trafił na zaśmierdłą kiełbasę. A kiedy któregoś razu zapytał sprzedawczynię, czy ma coś spod lady, ta pojrzała na niego z politowaniem i zapytała:

- To pan też? Jak inni?

Ale właśnie dzisiaj! Tego normalnego dnia zdarzył się cud. Oto on – Holsztyński Włodzimierz, oto gość z ojczyzny i oto ona – ta jedna, ta jedyna, ta najważniejsza: foliowa reklamówka, z której przebijały kontury polskich konserw i kiełbasy. Holsztyński wiedział, że taka szansa nie powtórzy się szybko. Postanowił działać.

- Na pewno nie chce pan skorzystać z mojej lodówki?

- Na pewno – odparł nieświadomy zagrożenia pan X i wciągając nosem powietrze dodał:

- Oho! Czuję pan! Chyba się coś przypała w kuchni!

Normalny człowiek w takiej sytuacji zerwałby się z miejsca i natychmiast pobiegł do kuchni. Ale nie Holsztyński. Nie to, żeby nie był normalny. Cały czas dyskretnie obserwując багаż gościa odpowiedział:

- Te jankeskie pomidorówki są lepsze jak się trochę przypalą. Zresztą, jak się całkiem zjara to i tak to chuj wobec wieczności. A czy wie pan – zmienił temat – że kiedyś napisałem taką oto strofę:

*kiedyś w innym świecie  
pięknej niedzieli w Wałczu  
w taniutkiej restauracji  
jeden żołnierz na przepustce drugiemu  
tłumaczył nie płacz stary ta warta  
to chuj wobec wieczności*

- A który to tekst? – zapytał pan X po chwili namysłu.

- „Warta” – odparł Holsztyński cały czas lustrując torbę - Proszę pana, czy mógłby mi pan w czymś pomóc?

- W czym?

- Kupiłem nowy 134 calowy telewizor i nie dam rady zwiesić go sam na suficie. Wywierciłem już dziury i osadziłem śruby na polskich kołkach rozporowych. Te są najlepsze, tutejsze podobno wietrzeją po 5 latach i śruby wypadają. A wie pan, te polskie kołki, to zabrałem jak wyjeżdżałem z kraju. Wiedziałem, że się do czegoś przydadzą. Stały sobie na początku jako wota w naszym emigracyjnym ołtarzyku, ale kiedy żona dostała paczkę z plastikową matką boską licheńską, to już nie ma tam na kołki miejsca. Musiałem je jakoś wykorzystać. I w końcu znalazłem dla nich odpowiednie miejsce. Że tak się poetycko wyrażę: „na Polsce zawiśnie esencja ameryki” – skwitował.

Pan X zareagował w tej sytuacji jak prawdziwy Polak. Wstał z taboretu i bez wahania odpowiedział:

- Komu jak komu, ale rodakowi w potrzebie i to w dodatku na obczyźnie pomogę! Gdzie ten telewizor?

Holsztyński upewnił się, że jego gość zostawił reklamówkę z prowiantem przy stole i następnie poprowadził pana X do sypialni. Wskazał na olbrzymie pudło i powiedział:

- O tu.

- Taki duży? – zapytał krytyk.

- Tu wszystko jest duże – odparł beznamyślnie Holsztyński – Jak pójdzie pan do sklepu i poprosi o pastę do zębów, to dadzą panu coś na kształt butli z acetylenem.

- Hmm... – zadumał się pan X – To stary telewizor już się panu zepsuł? Podobno się tu nic nie psuje, nawet F-16 po 30 latach eksploatacji mogą przelecieć jeszcze kolejnych 400 tys. godzin.

Holsztyński poprawił wąsa i powiedział:

- Nie, nie zepsuł się. Ale wymieniamy z żoną telewizor przynajmniej raz na rok. Żona ogląda ligę superball. Wie pan, jak to jest z kobietami.

- A ma pan ten stary?

- Co stary?

- No ten telewizor – odpowiedział pan X.

- A telewizor! Tak, stoi w drugim pokoju. Ale ma tylko 79 cali.

- I chodzi?

- Ba! Panie! Jeszcze na gwarancji.

- Hm... – hymknął krytyk.

Holsztyńkiemu wydało się to dziwne i zapytał:

- Co pan tak hymkasz?

Krytyk poprawił duże okulary w rogowej oprawce, spojrzął na Holsztyńskiego i powiedział:

- Wie pan, zrobimy tak. Ja napiszę panu fajną recenzję tomiku *Wciąż muzyka* a pan w zamian mi da stary telewizor. Co pan na to?
- Popierdoliło cię na amen! – wrzasnął Holsztyński – To ja tęsknię za krajem! Niemal w każdy wiersz wkładam słowo: „tęsknota” „kiedyś” „dawno”. Jestem poetyckim honorowym konsulem w Stanach, a ty mi tu takie gównno proponujesz?
- Ale...
- O nie! Tak się nie będziemy bawić. Wypierdalaj!
- Ale...
- Kurwa! I pomyśleć, że miałem od ciebie odkupić suszoną krakowską! A ty jesteś pierdolony ubek!
- Ale...
- Stul mordę! Teraz ja mówię – wrzeszczał Holsztyński – To ja się napierdalałem o ojczyznę, tyle lat na emigracji! A ty tu taki syf odwalasz!?! Co ty sobą prezentujesz!?
- Ale....
- Jakie ale? Jakie kurwa „ale”? Taśma ci się zacięła?! Chuju!?! Jesteśmy w dwudziestym pierwszym wieku. Za chwilę polecimy na Marsa, a ty zachowujesz się tak jak ormowcy w minionym stuleciu. Kurwa mać! – zaklął Holsztyński i złapał ręką okolice serca – Muszę wziąć nitro – skwitował.
- Szybko poszedł do łazienki. Otworzył apteczkę. Stały w niej dwa małe pojemniczki. Jedno i drugie z nitrogliceryną, ale na jednym z nich było logo producenta: POLFA. Oczywiście sięgnął po te z POLFY. Wyjąwszy z niego jedną tabletkę i włożył pod język. Odczekał chwilę, nadeszło ukojenie. Serce zwolniło.
- Co masz na swoje usprawiedliwienie?
- Nic – odpowiedział pan X spuszczać na dół wzrok – Ale wie pan, u nas ciągle jest tak samo – dodał ze smutkiem.

## Trzech krytyków w dyskusji o "Arcyludzkie, obce", Arkadiusza Burdy

Przy stole, w oparach wódki i papierosów, zasiadło trzech wybitnych krytyków literackich: pan A, pan B oraz pan C. Każdy z nich miał przed sobą sześć stron wierszy.

- Dziwne są, dziwne – wymamrotał pan B przez zęby, drapiąc się po trzydniowym zarostie. Rozlał kolejną flaszkę wódki, napełniając po brzegi trzy musztardówki. Odłożywszy pustą butelkę, podniósł swoją szklankę i powiedział:

- Panowie, nie spieszymy się z tym. Najpierw coś dla otuchy.
- Jasne, jasne – zawtórowali koledzy.

Tego kalibru toasty krzywią każdą mordę. Jako pierwszy oddech złapał pan C, który powąchawszy skórkę chleba, wstał od stołu, podrapał się w okolicy krocza i powiedział:

- Nie wiem jak wy, ale ja się cieszę, że jest jeszcze ktoś, kto pierdoli wszystko i wszystkich. Przy czym nie cacka się, nie pozostawia żadnych złudzeń i co najważniejsze: nie ma oporów, by to powiedzieć głośno.

Pana A zamurowało. Należał on do tego pokolenia, które szacunek dla rodziców, mieszczańskich wartości, symboli narodowych itp., itd. wysało z mlekiem matki. W tej chwili z odrazą spoglądał na pana C, który z wyglądu przypominał raczej średniej klasy menela, aniżeli krytyka literackiego.

- Kolega raczej żartować. Czytałem te wiersze osiemdziesiąt sześć razy – powiedział, wskazując na rozłożone przed sobą kartki – i nie znajduję w tych wierszach nic z poezji. Zamiast niej są jakieś wyrzuty, zarzuty i to w tak banalny oraz nachalny sposób podane, że aż niejadalne.

- Gościu! A pierdolnął ci kiedyś ktoś w mordę? – zasyczał pan C, podchodząc do ubranego w nienagannie skrojony garnitur pana A.

- Spokojnie, spokojnie – wtrącił się pan B – mamy tu porozmawiać o poezji, a nie tłuc się po gębach.

- Phi! Poezji! Kpina! – zadrwił pan A, który był pewny, że niebezpieczeństwo minęło. O tym jak bardzo się pomylił dowiedział się chwilę później, kiedy to odzyskawszy przytomność zaczął liczyć wybite zęby, które wypluwał razem z krwią.

- Kurwa! Ochujałeś! – szlochał.

- O widzisz – powiedział z uśmiechem pan C – teraz wiesz, co to autentyczność przeżyć. I muszę ci powiedzieć, że do twarzy ci z tą kurwą.

- Hehehe – zaśmiał się pan B, ale nie chcąc wyjść na zwolennika metod hermeneutycznych pana C, szybko dodał:

- Panowie, skoro uzgodniliśmy, że najważniejsze są emocje oraz ich autentyzm, porozmawiajmy o wierszach Burdy.

- Nie będę rozmawiał z tym debilem! On jest jebnięty! – wrzasnął pan A, który nie mógł połapać się w rachunku strat w uzębieniu.

- Poprawić? – zapytał spokojnie pan C.

- Panowie, panowie – wtrącił się pan B – wypijmy jeszcze kolejkę. Tak na zgodę – i rozlał kolejną flaszkę.

Pan A wypił swoją porcję do połowy. Ból, który powstał w kontakcie alkoholu z poranionymi dziąsłami, był nieznośny. Odstawił musztardówkę i powiedział:

- Bardzo cenię poezję autentyczną, ale w tym przypadku wszystko jest wprostwomordowskie. To zaś dyskwalifikuje wszystkie te teksty. Zamiast poezji mamy tu do czynienia z hasłami propagandowymi. Dla przykładu i żeby nie szukać daleko pozwolę sobie odczytać fragment tekstu *SCAT* otwierającego tomik:

*Possie kutasa Prodigy'ego, zje nawet jego gównno,  
później w mordę strzeli zarejestrują to kamery,  
dostrzegą radosny flow chłopacy spod celi,  
srakę na kłacie, tańcuch platynowy z diamentami,  
posmak kariery.*

- Sami widzicie drodzy koledzy, że tu nie ma grama poezji. Zamiast tego mamy jakąś odmianę naiwnej kontry, manifestu robotniczego, prostego w słowach, prostego w środkach wyrazu, skierowanego do prostych ludzi.

- Hmm – mruknął pan B.

- Albo inny przykład. Weźmy takie Zaćmienie. I co w nim mamy? Ano kolejny manifest. Burda pisze:

*w postaci władzy iluzjonistycznej uhudy,  
na obraz boży który bielą i mocą przemówi  
by oddać jej pokłon by móc kupować i sprzedawać*

I doprawdy nie widzę tu żadnych możliwości interpretacyjnych, nie widzę niczego, co skusiłoby do głębszej refleksji, bo wszystko jest dane wprost.

Wśród uczestników spotkania zapadła cisza. Pan B wertował spokojnie kolejne strony tomiku *Arcyludzkie, obce*, pan A cieszył się w duchu, że przekonał pozostałych krytyków do swojej racji. Pan C siedział na krześle i ostentacyjnie drapał się po jajach. I to on jako pierwszy przerwał milczenie.

- Matołku, a czytałeś *NIC*, który Burda napisał sobie na urodziny? Spróbuj przez ten tekst spojrzeć na całość...

- To nic nie zmieni – przerwał mu pan A. I to był kolejny błąd, który popełnił w trakcie dyskusji. Jego skutków nie było dane mu poznać w tym życiu. Leżał bowiem martwy na podłodze, a z rozbitej głowy wyciekała galaretowata substancja. Pan C pochylił się nad ciałem i powiedział do pana B:

- Patrz pan, jakie gównno miał w głowie. Kto by pomyślał.

Pan B należał do zaprawionych krytyków literackich. Był świadkiem o wiele bardziej drastyczniejszych scen w swoim życiu zawodowym. Wielokrotnie widział, jak rozwścieczeni poeci rzucali się z piłami *STIHL*'a na nieprzychylnych im krytyków, dlatego trup, który krwawił w tej chwili na posadzce, nie robił na nim specjalnego wrażenia. Podrapał się po łysinie i zapytał:

- Czy to było konieczne?

- A chuj! Właśnie, że było! – odpowiedział pan C, który bezskutecznie próbował opanować wzburzenie.

- A dlaczego?

- Bo, żaden wyciumkany, wychuchany, salonowy krytyczek nie może czytać tekstów Burdy.

- W tam, bez przesady, może jednak znajdzie się taki...

- Gównno! Zobacz jak Burda został potraktowany przez redaktorzynę, który pozlepiął jego teksty – przerwał mu pan C.

- No jak?
  - Po pierwsze, cały tomik powinien rozpoczynać się tekstem *NIC*. On jest konieczny, by zrozumieć całość. Tu masz śmierć i intymność, masz chorobę, masz całe credo...
  - Hmm... coś, jak zapowiedź poezji w bergsonowskiej sytuacji granicznej? – wtrącił się pan B.
  - Chuj z Bergsonem, nie znam się na drogich wódkach.
- Pan B chciał wyjaśnić, że Bergson to egzystencjalista a nie rodzaj koniaku za 890 EUR/flaszka, ale pan C kontynuował:
- Mamy sytuację idealną: opis świata niezafałszowany żadnym kitem, żadnym rozkosznym natchnieniowym pitoleniem. Zło jest złe, dobro jest dobre – i tu nie ma żadnych wątpliwości. Gdybym ja zdychał nie miałbym czasu na pierdolenie, tylko lałbym bejzbolem po łbach, mózgach, oczach. Lałbym po wszystkim.
  - Wiem, wiem – wtrącił się pan B, kolejny raz spoglądając na leżące obok zwłoki.
  - Ale jakie są wnioski? – zapytał.

Pan C kucnął nad trupem pana A. Odwrócił jego głowę i wydłubał paznokciem lewe oko. Następnie podszedł do stołu, położył je na blacie i nadusił dłonią. Galaretowata substancja prysła na krawat pana B. Spojrzał on na ciecz o konsystencji żelu do włosów.

- Spróbuj – zachęcił go pan C.

Pan B trochę niepewnie wziął na palec trochę cieczy i włożył do ust.

- I jak? – zapytał pan C – Smakuje?
- Nie wiem, jeszcze nie wiem. Ale coś w tym jest.
- Ha! Widzisz! Teraz już wiesz wszystko o wierszach Arkadiusza Burdy – krzyknął pan C przeżuając to, co zostało z gałki ocznej po jej wyciśnięciu.
- Aha! Byłbym zapomniał – dodał – Muszę sobie zanotować nazwisko tego redaktorka-nieuka. Okładka mu wyszła, ale ten wstępik o kulturze wysokiej, ten brak pomysłu na układ tekstów, za to ma wpierdol.

## Kulinaria I

Masz 167 centymetrów wzrostu a kiedy stajesz na wadze w łazience, podziałka zatrzymuje się w okolicy 80 kg? Wchodząc rano do łazienki nigdy nie patrzysz w lustro, bo boisz się tego czegoś, co się w nim o tej porze czai? N pośladkach, udach, ramionach i brzuchu masz celulitis, przy którym skórka pomarańczy to mały pikus. Na całej twarzy, dekolcie i plecach masz taki rodzaj pryszczycy, które gdy się je wydusza, to pryskają, zachlapując wszystko w promieniu jednego metra? Zastanawiasz się nad wstąpieniem do zakonu, nie widząc szans na znalezienie męża, a nie chcesz być w życiu sama? Porzuć natychmiast ten zamiar! Kierując się poniższymi wskazówkami, na pewno uda się tobie szybko znaleźć męża.

### Formuła magiczna

#### 1) Dyskoteka

Najkrótszym sposobem by znaleźć męża jest jak wiadomo zajście w ciążę. Możesz wybrać drogę na skróty – tzn. czekasz na swoje dni płodne i idziesz na dyskotekę (najlepiej na jakąś wiejską potańcówkę, na którą wszyscy przychodzą lekko lub mocno wstawieni, by zaoszczędzić na alkoholu, który musieliby kupić w barze). Po 2-3 godzinach już kręci się koło ciebie jakiś nawalony absztyfikant. Jest ciemno, poza tym szaleńczo błyska stroboskop. W tych warunkach nawet koza wydaje się być wdzięcznym adresatem wyznań miłosnych. Zatem i ty będziesz miała branie. On coś bełkocze, chwiejąc się na nogach. Po chwili, kiedy nie usłyszysz od ciebie: „Odwal się pijaku jeden!”, oprze się o ciebie całym ciężarem. Przytuli i zacznie bełkotać do ucha różne rzeczy. Usłyszysz, że jesteś wyjątkowa i piękna. Jeżeli nie zniechęci cię zięjący od niego odór winno-piwny, to pozwolisz mu na kontynuowanie zalotów. Nie upłynie dużo czasu, kiedy amant złoży tobie propozycję w stylu: „może się gdzieś przejdziemy?”. Nie powinnaś odmówić, jeżeli zależy tobie na znalezieniu męża. Pamiętaj jednak żebyś poznała godność jegomościa, zanim opuścisz z nim razem lokal. Poproś go najlepiej o dowód osobisty. Spisz numer PESEL, adres i wszystkie możliwe dane. Zrób to jednak dyskretnie.

Jak wszystko dobrze poszło, leżycie sobie gdzieś w pobliskich krzakach, w których unosi się odór moczu. Obok walają się chusteczki higieniczne, prezerwatywy, odchody a komary zajadle tną cię w pośladki. Może to nie są wymarzone warunki, ale jest duże prawdopodobieństwo, że właśnie jeden z plemników przebija się do twojego jajeczka. Czujesz wielką radość.

### WAŻNE:

Nie pozwól mu założyć prezerwatywy. Powiedz, że lubisz bez, że bierzesz tabletki antykoncepcyjne. On będzie uchlany i powinien się zgodzić.

Z nadzieją oczekujesz spóźnienia okresu. Po 3 miesiącach masz już pewność, że jesteś w ciąży. Wyciągasz karteczkę z adresem jegomościa, szukasz w książce telefonicznej i wybierasz się do niego, aby obwieścić mu i przysłyszemu teściom radosną nowinę.

Dalej już pójdzie jak po maśle i usłyszysz upragnione sakramentalne „Tak”, pod warunkiem, że młody tatuś nie zawinie tobołków i nie ucieknie do Anglii.

## 2) *Studia*

Opisany wyżej sposób jest dla dziewczyn mało ambitnych. Ty do takich nie należysz. Chciałabyś, aby twoim mężem był nie rolnik, ale przynajmniej jakiś magister albo inżynier. Dlatego wybierasz się na studia. Jeżeli chcesz znaleźć męża musisz wybrać ściśle określony kierunek studiów, mianowicie: pedagogika (specjalizacja: wychowanie szkolne i przedszkolne). Zaleta tego wyboru jest oczywista. Wszyscy chłopacy na studiach wiedzą, że studentki pedagogiki stanowią zbiór potencjalnych kandydatek na żony. Nie ma bowiem nic lepszego, niż przyszła żonka, która potrafi zająć się dzieckiem. Wybierając ten kierunek studiów staniesz się jednym z elementów tego zbioru.

## 3) *Flip i Flap*

Który był brzydszy: ten gruby czy ten chudy? Kwestia gustu. W każdym razie zasada, którą powinnaś się kierować jest następująca: musisz szybko znaleźć sobie koleżankę, która będzie brzydsza niż ty. Wiem, wiem – to trudne, ale nie ustawaj w poszukiwaniach. Musisz znaleźć taką jedną, z którą bardzo mocno się zakolegujesz i będziecie wszędzie razem chodziły. Uważaj na wszystkie te ładne dziewczyny, które będą starały się z tobą zaprzyjaźnić. Zbывaj je wszelkimi sposobami. Pewnie zadajesz sobie pytanie: „Dlaczego mam znaleźć koleżankę, która jest brzydsza ode mnie?”. Otóż jest kilka ważnych powodów, dla których to robisz.

**a)** Dla kontrastu. Jeżeli będziesz się kolegowała z jeszcze brzydszą dziewczyną niż ty, to w takim tandemie ty będziesz uchodziła za tą ładniejszą.

**b)** Ku pocieszeniu. Za każdym razem, kiedy przełamiesz się i spojrzysz na swoją koleżankę, pomyślisz w duchu, że wcale nie jesteś aż taka brzydka. A każdy psycholog ci powie, że najważniejsza jest pozytywna samoocena.

**c)** Najważniejszy powód jednak jest taki, że jeżeli przez przypadek znajdzie się wśród przyszłych magistrów czy inżynierów chłopak, któremu się spodobaś, to nie będzie on miał na pewno odwagi podejść do ciebie i zagadać. Dlatego zagada z twoją brzydszą koleżanką, i ją poprosi o twój numer telefonu.

## 4) *Wyprowadzka*

Pamiętaj, że chcąc znaleźć męża, nie możesz mieszkać z rodzicami. Rodzice działają odstrasżająco na potencjalnych kandydatów. Piorunująco działają szczególnie mamusie. Jedno z prawideł rodu męskiego brzmi: „Chcesz wiedzieć, jak będzie wyglądała twoja żona za 20 lat? Spójrz na teściową!”. Wyprowadź się z domu. Postaraj się o akademik, lub wynajmijcie z koleżanką jakąś stancję. Nieważne czy zamieszkaś w akademiku, czy wynajmiesz stancję, ważne jest, żebyś nie zrobiła ze swojego nowego lokum bastionu wiary i nauki. Organizuj zatem imprezy – najlepiej co tydzień. Studia przecież nie są od tego by się uczyć, ale by się bawić. Poza tym, tylko w trakcie imprez masz szansę na zawarcie znajomości ze studentami rodzaju męskiego, wśród których być może będzie twój przyszły mąż.



### 5) Impreza.

Imprezy studenckie dzielą się na udane i nie. Udane to są te, których przebiegu nikt nie pamięta, a jeżeli coś się pamięta, to tylko na skutek mozolnego procesu pamięciowej rekonstrukcji zdarzeń. Innym wyznacznikiem udanej imprezy studenckiej jest zatkany wymiocinami kibel i syfon prysznic, oraz wszędobylski odór alkoholu. Nie wspominam tu już tego typu oczywistościach jak walające się na podłodze puste flaszki, między którymi ktoś tam sobie śpi.

Nieudane imprezy, to takie, które kończą się o godzinie 22.00 – kiedy ustawowo obowiązuje cisza nocna. Po takiej imprezie zostaje jedna pusta flaszka po winie marki Sophia. I tylko tyle można powiedzieć o tego typu imprezach.

Zasadnicza różnica między udanymi a nieudanymi imprezami studenckimi jest taka, że o ile te pierwsze trudno sobie przypomnieć, tak o tych drugich, każdy chce jak najszybciej zapomnieć. Jedno jest pewne: każda, organizowana przez siebie impreza ma być udana.

Aby zrobić udana imprezę będziesz potrzebowała:

**a) Piwo.** Kup tyle, na ile cię stać. Kiedyś, w pewnym supermarkecie widziałem piwo o egzotycznej nazwie w cenie 0,99 pln/puszka. Kupuj właśnie takie. Zapewniam: nikt nie będzie marudził, nikogo też nie odstraszy egzotyczna nazwa napitku. Każdy szanujący się student, kieruje się głęboko ugruntowanymi przesłankami natury poznawczej, dlatego z przyjemnością odda się eksperymentalnej konsumpcji takiego alkoholu.

**b) Kanapki.** Zrób najlepiej z pasztetem, żeby było taniej. Do kanapek warto dodać trochę sałaty lub pomidora (oczywiście w sezonie, gdy warzywa są tanie). Będzie bardziej kolorowo.

**c) Sałatka.** Na każdej imprezie nie może zabraknąć nieśmiertelnej sałatki warzywnej z majonezem. Pamiętaj, żeby składniki bardzo drobno posiekać. Wówczas jest szansa, że rzygowiny, które znajdziesz po imprezie pod prysznicem szybciej spłyną i nie będziesz musiała męczyć się z przetykaniem zapchanego syfonu pod prysznicem.

**d) Ogórki kiszzone** – tego szlagieru także nie może zabraknąć. Są tańsze od śledzi, a równie dobrze komponują się z wódką, którą być może jakiś bogatszy student ze sobą przyniesie.

**e) Jajka w majonezie.** Dodając mniej jajek i majonezu do sałatki, którą i tak przygotujesz, możesz bez dodatkowych wydatków przygotować jeszcze jedno danie, które na pewno znajdzie swoich fanów wśród imprezowiczów. Im więcej potraw, tym lepiej – bardziej atrakcyjnie!

Mimo, że taką imprezę można zorganizować stosunkowo niewielkim nakładem środków, to i tak trzeba wydać trochę pieniędzy. Kiedy już po dziesiątym, zostaje ci 50 zł w portfelu, które ma tobie wystarczyć do końca miesiąca, a chcesz zorganizować kolejną imprezę – nie przejmuj się! Nie umrzesz z głodu. Wydadz całą forszę na balangę. Kiedy będziesz splukana zawsze możesz udać się „po kolędzie”. Chodzenie po kolędzie, to stary obyczaj studencki, praktykowany szczególnie w akademikach. Chodzi się z jednego pokoju do drugiego i prosi o jedzenie. Każdy coś da.

### 6) Wizerunek

**a) h i g i e n a**

Kiedy wszystko na imprezę już przyszykowałeś a piwo chłodzi się w lodówce, zadbaj teraz o siebie. Wiesz jak jest – jesteś brzydka i gruba. Zastanawiałaś się kiedyś na liposukcją – nie myśl o tym teraz. Żeby do głowy ci nie przyszło wsadzić w pepek rurę od odkurzacza i na 2 godziny przed balangą odsysać sobie tłuszcz! Nie martw się cellulitsem, obwisłymi pośladkami, fałdami skóry i tłuszczu, które gdy się zaśmiejesz, to trzęsą się w sposób niekontrolowany jeszcze ze trzy minuty po tym, jak skończysz się śmiać. Za późno na pompki i przysiady – w godzinę, która została tobie do rozpoczęcia imprezy, nie ujędrnisz ciała. Sytuacja jednak nie jest beznadziejna. Pierwsze, co musisz zrobić, to umyć się bardzo dokładnie. Ogol wąsy, dekolt, nogi, pachy, ramiona, okolice intymne – jednym słowem: usuń wszelkie zbędne włoski z ciała. Jak facet będzie chciał poczuć włosy, to sobie je znajdzie na twojej głowie. Poza tym, niebывale irytujące jest – z perspektywy męskiej – wyciąganie włosów z pomiędzy zębów. Jeżeli ktoś będzie chciał użyć nici dentystycznej, to kupi ją sobie w aptece.

Myjąc się, użyj najlepiej bardzo aromatycznych mydeł. W każdym akademiku jest jakaś konsultantka AVON-u, od niej bez problemu wydebisz, pod pretekstem kupna, próbki, które właśnie w tej chwili się przydadzą najbardziej.

**b) m e j k a p**

Wybierz mocny makijaż. Żeby nie było widać pryszczycy nałóż grubo podkład i jeszcze więcej pudru. Usta zrób na czerwień strażacką. Nie zapomnij o konturówce. Nic tak nie działa na fantazję facetów jak konturówka! Dekolt także przypudruj. Najlepiej cała się wytarżaj w pudrze. Jak sprawdzić czy wystarczająco dobrze się umalowałaś? To bardzo proste: po umalowaniu przyłóż do twarzy biały ręcznik lub białą, bawełniana koszulkę. Jeżeli zostanie na niej odbicie, podobne do tego, które znasz z całunu turyńskiego, to znaczy, że mejkap jest wystarczający.

**c) s t r i n g i**

Pewnie wiele razy nasłuchiwałaś się od mamy tych głupot, że jesteś puszysta i lepiej żebyś ubierała luźne i długie sukienki. Żebyś unikała obcisłych bluzek, zwłaszcza tych modnych – przykrótkich – spod których widać pepek. Otóż zapewniam cię: to bzdura! Zasada jest taka: im bardziej obcisłe ciuszki, tym lepiej. Oczywiście w twoim przypadku zakładanie kusych bluzek, by pokazać pepek, to przesada, ale możesz śmiało ubrać jakieś obcisłe spodnie.

Kiedy po piętnastu minutach wbiłaś się w dżinsy, to ściągnij je natychmiast! Dlaczego? Otóż na pewno zapomniałaś o stringach. Nie wiesz co to?

Stringi to nie rodzaj pocisków ziemia-powietrze, tylko takie dziwne majtki, które założone na świnię, uczynią z niej obiekt pożądań wielu serc męskich. Paradoksalnie im mniej materiału, tym lepsze stringi, a ty zawsze kupowałaś majtki w sklepie z namiotami, z których później szyłaś sama bieliznę. Nie masz stringów? Nie załamuj się! Oto najprostszy przepis na stringi zrobione sposobem domowym. Potrzebne:

**I) skarpetka**

**II) dwie sznurówki**

Jedną sznurówkę owijasz dokoła talii i zawiązujesz z przodu na kokardkę. Do końca drugiej sznurówki przywiązujesz jeden koniec skarpetki a drugi koniec tej sznurówki przywiązujesz z

tyłu do sznurówki, którą się obwiązałaś. Pamiętaj, że ta tylna sznurówka ma przechodzić między pośladkami! (Wiem, wiem – to dziwne uczucie, chodzić ze sznurkiem w tyłku, ale tak to już jest ze stringami). Teraz rozwiązujesz kokardkę i końce sznurówki z talii przywiązujesz do drugiego końca skarpetki, którą masz między nogami. Jeżeli wszystko dobrze poszło, to szybko i tanio zrobiłaś swoje pierwsze w życiu stringi. Teraz możesz ponownie wbić się w dżinsy.

### 7) Impreza.

Przychodzą pierwsi, zaproszeni goście. Siadają, kulturalnie jedzą i równie kulturalnie piją. Po dwóch godzinach robicie głośniejszą muzykę i zjawiają się nieproszeni goście. Tacy zawsze przychodzą na imprezy, kiedy usłyszą głośną muzykę. Wkrótce okazuje się, że nie znasz większości z ludzi, którzy znaleźli się w twoim pokoju. Nie wypraszasz nikogo. Krąż między nimi, rozmawiaj o głupotach. Baw się. Kiedy zobaczysz, że komuś spadło jajko z majonezem na twoje łóżko, to nie przejmuj się i nie biegnij zaraz po ścierkę by to wytrzeć. Majonez na pościeli jest elementem folkloru imprez studenckich. Szukając męża nie możesz przyjąć roli gospodyni domowej na takich imprezach. Nie możesz też dużo pić alkoholu. Najlepiej ogranicz się do koniecznego minimum, jednak w taki sposób, aby nikt tego nie zauważył. Wówczas może do ciebie przylgnąć opinia sztywniary.

Kiedy zorientujesz się, że impreza osiąga swoje apogeum – a najlepiej to poznać, po sałatce, której już nie je z talerzyków, lecz prosto z miski – przystępujesz do ataku. Szukasz sobie pierwszego, wolnego faceta. Na pewno taki się przytrafi. Siadasz obok niego i zaczynasz z nim rozmawiać. Tematy, które warto poruszyć, to emancypacja seksualna. Ani się spostrzeżesz a z znajdziesz się z nim sam na sam w zaryglowanej łazience. Robicie te wszystkie brzydkie rzeczy. Pamiętaj by chwalić amanta w trakcie: by mówić mu głośno, że jest boski, by w trakcie orgazmu wykrzykiwać: „O tak! Jesteś wspaniały! Mocniej! Rżnij mnie!”. Nawet gdy jest fatalnie, gdy od orgazmu dzielą cię lata świetlne masz tak krzyczeć. Nie przejmuj się, nikt tego nie usłyszy – bo impreza toczy się przy głośnej muzyce.

Jeżeli ci się poszczęściło, przy takim trybie życia już na drugim roku studiów zajdziesz w ciążę. Poznasz teściów, którzy na pewno zaproszą wybranekę ich syna na obiad niedzielny. Ty jesteś zadowolona, że trafiłaś na intelektualistę: pana magistra/inżyniera. Tylko nigdy mu nie mów, że to nie musi być koniecznie jego syn. Przecież ty sama nie masz pewności, bo mało co z tej imprezy pamiętasz.

## Kulinaria II

Masz sieczkę w głowie? Jesteś mierny? Nie masz mózgu? A mimo to marzysz o byciu naukowcem w Polsce? Nie martw się! Masz bowiem wszelkie predyspozycje do tego, by zostać przynajmniej doktorem habilitowanym. Postępując zgodnie z poniższymi wskazówkami, na pewno uda się tobie zrealizować swoje marzenie (które zapewne jest także marzeniem twoich rodziców, by ich latorośl była “kimś”)

### Formuła magiczna

#### 1) *Zapisz się na studia*

Wybór studiów zależy wyłącznie od ciebie. wybieraj raczej tak, by się zbytnio nie przemęczyć. W żadnym wypadku nie wybieraj sobie kierunku, który już z samej nazwy zionie nieznaną tobie egzotyką.

#### 2) *Zorientuj się w terenie*

W każdym traktacie o wojnie stratedzy pouczają, że najważniejsza jest dobra orientacja w terenie. Dlatego i ty musisz zorientować się w instytutowych układach i koteriach. Szukaj osób wpływowych. Takich, którzy od “wieków” pracują w instytucie, których pozycja jest mocno ugruntowana. Przy czym ważne jest, abyś już na tym etapie kłaniał się w pas każdemu pracownikowi. Niesłuchanie ważną kwestią jest to, abyś chodził schludnie ubrany, uczęszczał na każdy (sic!) wykład. Nawet ten najnudniejszy, na którym nikt nigdy nie robi listy słuchaczy.

#### 3) *Pierwsze egzaminy*

Pierwsze egzaminy należy zdać w terminie. Przyłóż się! Wykuj wszystko na blachę, zwłaszcza, że to ostatni raz, kiedy będziesz się musiał czegoś nauczyć. Aby zdać egzamin nie trzeba być geniuszem. Tu potrzebujesz raczej odrobiny samodyscypliny i pilności. Dla odpowiedniej motywacji powtarzaj sobie: nawet mała, szkolona przez 10 lat nauczy się sznurować buty. ty jesteś homo sapiens sapiens - stać cię na więcej!

Pamiętaj także, żeby na egzamin ładnie się ubrać (garnitur/zakieciak, buty wyglansowane na błysk). Nieważne, że koledzy czy koleżanki typu: “luzacy”, przyjdą na egzamin w dżinsach. Nieważne, że sam profesor przyjdzie w swetrze lekko-retro i w wytartych dżinsach. Ty masz być ładnie ubrany i obkuty na blachę z danego przedmiotu. Chodzi tu o utrwalenie tzw. pierwszego wrażenia, na które pracujesz od samego początku, chodząc na wykłady, siadając w pierwszych rzędach, aktywnie uczestnicząc na ćwiczeniach.

#### 4) *Pierwszy atak*

Mijają pierwsze akademickie wakacje. Ty - w przeciwieństwie do swoich kolegów/koleżanek - spędzasz je pozbawiony trosk związanych z sesją poprawkową. Nie leniuchujesz jednak. Z informacji, które zgromadziłeś na temat lokalnych układów instytutowych, typujesz najbardziej wpływową osobę. Pamiętaj!!!! Masz wybrać "wpływową osobę" a nie "sławną osobę". W niektórych instytutach jest tak, że zatrudnia się znanych badaczy w danej dziedzinie. I choćbyś się interesował przedmiotem, który prowadzi taka osobistość naukowa (a przeważnie bywa tak, że osobistości potrafią zainteresować swoim sposobem narracji i dziedzinami badawczymi, którymi się zajmują) wybieraj tylko osoby bardzo wpływowe. Kiedy wytypujesz ową wpływową osobę, zbierasz wszystkie możliwe materiały na jej temat. Tu pomocne jest "google".

Szczególną uwagę zwróć na:

a) Problematykę badawczą (jeżeli takowa istnieje)

b) Spis publikacji (muszą jakieś być. Nie poddawaj się jak nic w "google" na ten temat nie znajdziesz. Wybierz się do uniwersyteckiej biblioteki)

Kiedy już zorientujesz się w powyższych kwestiach, postaraj się przeczytać coś z tej dziedziny, w której naukowo działa twoja ofiara. Następnie przeczytaj też dzieła samej ofiary. Musisz ją bliżej poznać.

### 5) *Drugi rok studiów*

Drugi rok studiów jest bardzo ważny. Teraz bowiem utrwalasz pozytywne wrażenie, na które wcześniej pracowałeś niskimi ukłonami, czy wzorową i zauważalną frekwencją. Pod koniec semestru letniego wybierasz się do swojej ofiary na dyżur naukowy. Każdy pracownik ma swoje godziny konsultacji. Ubierz się ładnie, ale bez przesady. Pamiętaj, że to nie jest egzamin, ale rozmowa. Zagadaj, że jesteś zainteresowany tą problematyką naukową i chciałbyś podyskutować o ostatniej książce/artykułce ofiary.

Na tym etapie natarcia musisz być bardzo ostrożny. Zapytaj o bibliografię, którą na pewno znajdziesz w przypisach dzieła ofiary. To jest najbezpieczniejsze. Pamiętaj, że nie wolno być krytycznym, ale raczej pytająco-ciekawskim. Zapytaj o to, jak to się stało, że pan/pani wybrał ten a nie inny przedmiot badań. Powiedz, że to ciebie także interesuje, że nie masz jeszcze takiej wiedzy by móc merytorycznie podyskutować, że chciałbyś, aby ktoś wskazał tobie dobrą literaturę na ten temat. Innymi słowy: całkowite lizusostwo.

Jaki będzie skutek takiego spotkania? - Na pewno zostaniesz zapamiętany.

I teraz uwaga: nie bądź natrętny, nie wciskaj się na siłę na następne spotkanie. Poczekaj do trzeciego roku.

### 6) *Bądź lizusem*

W życiu człowiek ma generalnie dwie drogi do wyboru. Pierwsza to bycie w wiecznej kontrze, taka unamunowska postawa, gdzie nieważne, co się dzieje, co się mówi - ty i tak będziesz przeciwko. Druga to bezkrytyczne bycie w zgodzie z ogólnymi tendencjami, gdzie semperfidelicznie popiera się panujące trendy, niezależnie od ich treści.

Jeżeli chcesz zrobić karierę naukową, pamiętaj: musisz stać się semperfidelem ofiary. Jeżeli ta nie zaprosi cię na kolejne spotkanie na konsultacjach, to sam się wproś. Tym razem staraj się coś merytorycznie zagaić. Podlizuj się przy tym jak tylko możesz. Donoś na studentów, na

pracowników, którzy są skonfliktowani z twoją wpływową ofiarą. Rób wszystko, co tylko możliwe, zawieszając wszelkie zasady uczciwości, którymi się kiedykolwiek w życiu kierowałeś. Jeżeli takowych nigdy nie posiadałeś, to tym lepiej. Znaczy się, miałeś wszelkie przesłanki by być dobrym narybkiem naukowym.

### 7) *Studia doktoranckie*

Jeżeli wykazałeś się dobrą sprawnością języka w podlizywaniu się, to na pewno napisałeś wybitną pracę magisterską pod opieką swojej ofiary i właśnie przyjęto cię na studia doktoranckie. Pisziesz sobie doktorat, pogłębiając swoją zażyłość z promotorem. Jeżeli w trakcie pracy nad doktoratem obudzi się w tobie chęć poznawcza, to stłum ją natychmiast. Twój doktorat ma spełniać oczekiwania promotora, a nie twoje. Pamiętaj, że piszesz pracę z dziedziny, która ciebie nie interesuje, że jest jałowa naukowo. Chcesz wiedzieć, skąd niby wzięła się moja aprioryczna pewność, co do jałowości dziedziny badawczej twego promotora?

Sprawa jest prosta. Badacz jest badaczem, jeżeli bada. Ażeby badać musi mieć co badać i to badanie musi dawać jakieś wyniki naukowe. Posiadanie takowych na swoim koncie, czyni osobę znaną w środowisku badaczy i taka osoba staje się badaczem naukowym. Wówczas badanie ma sens a sam badacz jest badaczem. Osoba natomiast, którą bardziej interesują wpływy nie bada, bo nie ma na to czasu. Zajmuje się ugruntowywaniem swej pozycji w lokalnym środowisku, poprzez wyświadczanie pewnych korzyści, usług. To z badaniem naukowym nie ma nic wspólnego. A gdyby zajmowała się badaniami naukowymi, to wówczas nie musiałaby dbać o status w koterii, jej pozycja byłaby ugruntowana jako badacza, nie jako osoby z układami. Ty wybrałeś osobę, która jest najbardziej wpływowa.

### 8) *Obrona*

Jak wszystko dobrze poszło i o ile nie obudziłeś w sobie ambicji, to pewnie już jesteś po obronie. Po obfitym obiedzie doktorskim, na którym głośno podziękowałeś swojemu promotorowi, musisz spłacić kredyt. Takie obiadki kosztują, wszak pracownicy naukowci, którzy byli obecni na twojej obronie, nie będą jedli schabowego z ziemniakami. Przeważnie wybierają ryby i drogie wina. Zaproszona rodzina jest bardziej wyrozumiała. Nie martw się kredytem. Spłacisz go natychmiast, bo właśnie twój promotor informuje cię - o ile wcześniej tego nie zrobił - że będziesz pracował u niego z zakładzie jako adiunkt.

### 9) *Uważaj na siebie*

Już masz legitymację pracowniczą, ze zdjęciem i pieczętkami uniwersytetu. Przed nazwiskiem masz "dr". Jesteś pracownikiem uniwersyteckim. Pamiętaj jednak, że to nie zwalnia cię z obowiązku dalszego skutecznego podlizywania się swojemu dawnemu promotorowi. Pamiętaj, że to osoba z układami i w każdej chwili, tak szybko jak zostałeś pracownikiem naukowym, możesz także przestać nim być, gdy popadniesz w niełaskę. Pamiętaj także, żebyś eliminował każdego innego studentów, którzy zaczynają się "kręcić" wokół twojej własnej wpływowej osoby. Nie ty jeden bowiem wpadłeś na pomysł bycia naukowcem, mając sieczkę w głowie. Inni także będą chcieli iść twoim śladem. Tych musisz bezwzględnie eliminować. Mogą oni okazać się bardziej efektywni w podlizywaniu, bardziej usłużni. Dlatego usuwaj ich, najlepiej przez fałszywe denuncjacje. Opowiadaj np., że ten i ten

się źle prowadzi, że widziałeś tego a tego pijanego, że wymiotował gdzieś pod uniwersytetem. Coś na pewno wymyślisz.

### *10) Praca naukowa*

W chwili, gdy zaczniesz pracować naukowo - tzn., gdy zaczniesz czytać, jeździć po bibliotekach, publikować większe rzeczy, jak książki itp., natychmiast popadniesz w niełaskę. Nie możesz tego robić, bo twój opiekun, dzięki któremu znalazłeś się na uniwersytecie, tego nie robi. Nie możesz być od niego lepszy. Musisz być cały czas z tyłu, zawsze dostępny, zawsze usłużny. Zatem:

- a)** Jeżeli publikujesz, to małe formy, kilkustronicowe i nigdy więcej ilościowo niż twój opiekun.
- b)** Nigdy nie publikuj tekstów polemicznych.
- c)** Cytuj swojego opiekuna. Jak możesz i ile możesz. Nie martw się, że szanujące się czasopisma odrzucą twoje teksty. Opiekun załatwi tobie publikacje w lokalnym piśmie - bo to przecież osoba z układami.
- d)** Jeżeli przez przypadek napisałeś coś dobrego, coś większego - jakąś książkę, to jako autora wymień swojego opiekuna. Twoje nazwisko będzie figurowało jako "współautor".
- e)** Nigdy nie krytykuj swojego opiekuna, nawet w prywatnej rozmowie. Zawsze przytakuj.

Po kilkunastu latach, na pewno uzbierasz sobie 21 punktów za publikacje. Na pewno napiszesz książkę habilitacyjną i na pewno twój wpływowy opiekun zorganizuje dla ciebie kolokwium habilitacyjne. Staniesz się doktorem habilitowanym. Mało tego - będziesz osobą wpływową w swoim środowisku. Aura wpływów twojego opiekuna przejdzie na ciebie. Stanie się spadkiem, który otrzymasz w udziale. Staniesz się takim samym człowiekiem, jak ten, którego wybrałeś, będąc studentem i co najważniejsze: podzielisz jego los. Teraz udaj się na dyżur naukowy, bo masz umówione spotkanie ze studentem 2 roku, który się w zeszłym tygodniu wprosił do ciebie na audiencję.

## Kulinaria III

Nie masz talentu, ale mimo to jesteś przekonany, że go masz? Z trudem ukończyłeś liceum plastyczne? Startowałeś na ASP, ale tam się nie udało i skończyłeś na wydziale artystycznym jakiejś podrzędnej szkoły wyższej? Innymi słowy: czujesz, że masz talent, ale nikt na tym się nie poznał? Nie przejmuj się! Na pewno zostaniesz artystą. Jedyne, co musisz zrobić, to kierować się poniższymi wskazówkami.

### Formuła magiczna

#### 1) *inność estetyczna*

Pamiętaj, że bycie artystą oznacza posiadanie pewnego stopnia wrażliwości estetycznej. Nie wiesz co to? Już ci wytłumaczę. Otóż większość ludzi, przechodząc obok psiej kupy – albo nie daj boże: wdeptując w nią – krzywi się, lub udaje, że tego nie zauważa. Pamiętaj, że artysta z definicji ma się wyróżniać spośród tłumu. Dlatego ty, jeżeli do tej pory tego nie robiłeś, to od dziś zatrzymuj się przed każdym psim gównem i wpatruj się w nie i wzdychaj głęboko. Dbaj, by widzieli cię przy tym sąsiedzi, koledzy z podwórka i inni ludzie. Pamiętaj także, byś głęboko wzdychał, pochylając się nad nim. Tylko wówczas wzbudzisz zdziwienie w tych, którzy będą ciebie obserwowali. A nuż, wśród gapiów, trafi się jakiś krytyk sztuki. Jeżeli nie, to i tak zyskujesz: wszyscy będą uważali cię za dziwaka, a to konieczny krok do bycia artystą.

### WAŻNE:

Pamiętaj, że na tym etapie niebywale ważne jest wzdychanie. Rób to głośno, wciągając i wypuszczając powietrze. W związku z tym staraj się raczej wybierać te psie kupy, które nie są pierwszej świeżości, ponieważ te nie parują tak mocno i oszczędzisz sobie tego fetoru, który mógłby cię zniechęcić od bycia artystą.

#### 2) *inność zewnętrzną*

Teraz, kiedy wszyscy już wiedzą, że jesteś inny, musisz zadbać o utrwalenie tego wizerunku. Musisz odpowiednio skonstruować swój wygląd zewnętrzny. Jeżeli masz długie włosy, to zafarbuj je. Najlepiej w różne, egzotyczne kolory. Powiedz fryzjerowi, że może zużyć wszelkie resztki farb, które zostały mu po klientach i żeby pofarbował tobie tym włosy. Jeżeli nie masz długich włosów, to nie przejmuj się. Zwyczajnie ogol się na łyso. Ważną rzeczą jest piercing. Przekłuj uszy, nos, brwi i co tam jeszcze możesz.

Ubieraj się raczej na czarno. Jeżeli jesteś dziewczyną, to ubieraj się w długie, czarne, rozciągnięte swetry i spódnice. Wówczas okaże się, że worek kartofli ma w sobie więcej seksapilu niż ty, ale tym się nie przejmuj. Masz być artystką a nie gwiazdką filmów porno.

#### 3) *abolicja moralno-obyczajowa*



Jako kobieta-artystka, odziana w czarne worki i 3-kilogramowe buty skórzane typu: glany, nie przejmuj się, że nie znajdziesz sobie chłopaka. Na pewno trafisz na podobnego sobie osobnika. Artystę o wyglądzie Quasimodo i fizjonomii stwora dr. Frankensteina, który już na pierwszym spotkaniu będzie tobie opowiadał o tym, że liczy się „piękno wewnętrzne”, że uroda mija a dusza pozostaje. I nie zadawaj sobie pytań typu: „Dlaczego on przed pójściem ze mną do łóżka pije tyle nalewek za 4,40 zł (to się nazywa tzw. znieczulenie estetyczne)? Dlaczego zawsze gasi światło? Dlaczego zamiast mojego imienia w trakcie orgazmu krzyczy: "O! Tak! Zosiu! Jak mi z tobą dobrze! Och!?" Jako kobieta, zatem istota z definicji niezwykle nieodporna na miłosne zawieruchy, musisz mieć świadomość tego, że środowisko artystyczne, którego elementem pomału się stajesz, jest bardzo niestabilne uczuciowo. Nie pakuj się w stałe związki. Twoja sypialnia musi stanąć otworem, przed każdym artystą w potrzebie! Warto także zastanowić się nad przeprowadzeniem pewnych prób homoseksualnych. Jedno z ulubionych powiedzonek, które zapewne usłyszysz w trakcie wszelkiego rodzaju imprez artystycznych, które kończyć się będą kolektywnym rzyganiem na skutek przedawkowania alkoholu, brzmi: „Żeby życie miało smaczek, raz dziewczyna, raz chłopaczek”. Nie dziw się zatem, że któregoś razu obudzisz się we własnym łóżku, w którym natkniesz się na drugą babkę, która będzie miała większe piersi niż ty. Niech cię nie zdziwi także analogiczna sytuacja, z zastrzeżeniem, że obok ciebie będzie nie tylko dziewczyna, ale dodatkowo ze czterech artystów rodzaju męskiego.

#### 4) wena to nie wenera – czyli: „Wszystko już było”

Każdy artysta to istota, która wierzy w coś, co nazywa się weną (nie myl tego z wenerą, aczkolwiek wenera, także jest charakterystyczna dla tego środowiska). Nawet gdy nie wiesz co to takiego jest wena, zawsze, w trakcie wszelkich artystycznych imprez, w których będziesz brała udział, i gdy usłyszysz jak jakaś grupka opowiada o wenie, natychmiast do niej podejź i wsłuchuj się dokładnie, co też oni tam wygadują. Staraj się być raczej biernym uczestnikiem dyskusji. A kiedy jednak ktoś cię zapyta: „A jak ty uważasz?”, to odpowiedz jednym z uniwersalnych haseł awangardy artystycznej: „Wszystko już wymyślono”. Stwierdzeniem tym otworzysz sobie drogę do hermetycznych środowisk, które do tej pory były przed tobą zamknięte. Hasło: „Wszystko już wymyślono” (ew. „W sztuce już wszystko było”), jest ulubionym powiedzeniem bezpłodnych i jałowych twórczo środowisk. Nie jest ważne w tym momencie czy to środowisko rzeźbiarzy, malarzy czy ceramików. Każdego rodzaju beztalencie, mające ambicje do tego, by być artystą powtarza niczym mantrę owo zdanie. Pamiętaj, że i ty nie masz talentu – dlatego tak ważne jest, żebyś powtarzał jak paciorek: „Wszystko już wymyślono”.

#### 5) własne dzieło

Kiedy przeniknąłeś do hermetycznego światka artystów, to warto byłoby także coś stworzyć. Ogarnia cię strach, że nie masz niby talentu, a tu nagle masz tworzyć dzieło sztuki? Nie panikuj! Najlepiej zostać artystą-malarzem. Skoro Nikifor mógł malować obrazy, dlaczego ty nie możesz? Nie wiesz, kim był Nikifor? Żeby nie zaprzątać swego umysłu zbędną wiedzą z dziedziny historii sztuki, powinieneś wiedzieć tylko, że Nikifor, to nie egzotyczna odmiana kalafiora, lecz taki prymityw, gorszy niż ty, a mimo to został artystą.

#### **Jak namalować obraz:**

**a)** W sklepie z akcesoriami dla artystów wszelkiej maści, poproś sprzedawcę o blejtram. Nie zdziw się, kiedy sprzedawca poda tobie cztery, pozbijane gwoździami w kwadrat listewki, obciążone płótnem. To właśnie jest blejtram.

**b)** Poproś o farby olejne. Kup tyle, ile możesz.

**c)** Kiedy sprzedawca zapyta cię, jaki pędzel chcesz do tego, odpowiedz mu, że nie potrzebny ci pędzel, bo masz swoją własną technikę.

**d)** Żeby nie ładować się w zbędne kosza, nie kupuj sztalugi (sztaluga, to taki stojak, który na pewno widziałeś gdzieś na filmach o artystach, na którym ustawiali oni obrazy, w trakcie ich malowania).

**e)** Wszystkie zakupy zanieś teraz do mieszkania, które od tej pory nie będziesz nazywał mieszkaniem, ale pracownią.

**f)** Aha! Byłbym zapomniał! Jeżeli do tej pory nie ćpasz, tzn. nie gustujesz w różnego rodzaju używkach halucynogennych, to powinieneś zaopatrzyć się w flaszkę wódki. Kup najtańszą, żeby nie ładować się w koszty. Tym bardziej, że od tej pory, stanie się ona – oprócz farb i blejtramów – koniecznym akcesorium potrzebnym do wszczęcia tzw. procesu twórczego. Innymi słowy, będziesz potrzebował dużo wody – w zasadzie całe morze wódki.

Kiedy już wrócisz z tym wszystkim do swojej pracowni i kiedy wypakujesz wszystkie niezbędne akcesoria bierzesz się do tworzenia dzieła. Zaczynasz oczywiście od rozbudzenia w sobie weny – czyli tego, o czym wcześniej tyle się nasłuchałeś. Wypijasz zatem flaszczkę. Sączyś do dna. Zasada jest taka: jakość dzieła artystycznego jest wprost proporcjonalna do ilości spożytego alkoholu, pod warunkiem, że jego stężenie w organizmie nie przekroczy wartości krytycznej, tzn. kiedy nie stracisz przytomności. Pijesz zatem, pijesz i kiedy czujesz, że już nie możesz więcej, że zaraz się porzygasz, to wypij ostatni kieliszek a następnie puść tzw. pawia prosto na śnieżnobiały blejtram. Dobrze by było, gdybyś wcześniej zadbał o wypełnienie żołądka właściwą treścią pokarmową. Zjedz np. spaghetti po bolońsku, wówczas, kiedy zaschnie ono na płótnie uzyskasz dobrą fakturę jako podkład. Już widzę te wszystkie „ochy i achy” krytyków sztuki, kiedy będziesz im pokazywał swoje dzieła.

Porzygawszy się na blejtram, w szaleńczo-pijackim akcie twórczym chwyć za farby. Wyduś je na rzygi, ściągnij majtki i najnormalniej w świecie usiądź na płótno. I tak kilka razy, do momentu aż „zapięczętkujesz” odbiciami własnych pośladek całą płaszczyznę obrazu. Tak oto stworzyłeś swoje pierwsze dzieło. Teraz odpocznij, należy się tobie solidna dawka snu, po tym wyczerpującym akcie twórczym.

*6) twoje dzieło staje się dziełem sztuki.*

Stosując kilkakrotnie procedurę opisaną w punkcie 5., masz już na swoim koncie kilka własnych dzieł. Masz także wstręt do spaghetti i prawdopodobnie jesteś alkoholikiem.

Wybierz teraz się do lokalnej galerii sztuki i oświadczyć z szaleństwem w oczach siedzącej tam pani, że jesteś artystą i że chciałbyś zaprezentować swoje dzieła publicznie. Domagaj się zorganizowania własnej wystawy. Kiedy pani będzie stawiała opór, to nachodź ją codziennie z tym samym żądaniem. Na pewno jak nie po miesiącu, to po roku ulegnie twojej prośbie.

Na wernisaże przychodzą, oprócz przygodnych gapiów i znudzonych gospodyń domowych, także od czasu do czasu krytycy sztuki oraz lokalni dziennikarze z pewnym estetycznym

obyciem, którzy szukają tematów do kolejnych wydań lokalnych gazet, gdyż mają dość pisania o sensacjach typu: „udana interwencja straży pożarnej ocaliła życie kotka, który wpadł do studzienki kanalizacyjnej”. Dlatego warto zrobić jakiś skandal, żeby napisano o tobie w prasie a i żeby przybyli krytycy sztuki mieli nad czym rozmyślać.

### **Pomysł na skandal:**

**a)** U rzeźnika zamów w całości surowy, świński łeb.

**b)** Zapakuj go w czarny worek.

**c)** Weź ten worek na wernisaż. Kiedy będzie cię ktoś pytał: „Co masz w worku?” odpowiadaj lakonicznie: „Sztukę”. Nie zdradzaj więcej szczegółów.

**d)** Kiedy już wszyscy lekko się upiją – a na każdym wernisażu podają jakieś wino – to wejdź na stół, wyjmij z czarnego worka surowy, świński łeb, i krzycz na cały głos, wskazując to na świński łeb, to na swoje obrazy rozwieszane na ścianach: „Panowie i Panie! To jest sztuka mięsa! A to jest prawdziwa sztuka!”

Jeżeli nie wezwano pogotowia i nie zakuli cię w biały kaftan, to powróciłeś do swojej pracowni aby się wyspać. Budzi cię jednak natarcywe dzwonenie do drzwi oraz sygnał telefonu komórkowego. Odbierasz najpierw telefon. I słyszysz w słuchawce: „Stary! Ale sensacja! Skandal! Kurwa! Jesteś sławny!”. Odkładasz telefon, bo myślisz, że to kolejna reklama jakiegoś podejrzanego usługi twojego operatora telefonicznego. Dzwonek do drzwi cały czas dzwoni. Wstajesz, podciągasz gacie i zakładasz spodnie. Podchodzisz do drzwi. Otwierasz, a tu stoi przed tobą Grażyna Torbicka (tak, tak, ta sama, co w TVP opowiada o sztuce, kinie) i prosi cię o wywiad. Oczywiście odmawiasz. Musisz być tajemniczy, poza tym, nikt nie może odkryć tajemnicy twojego własnego procesu twórczego.

Odprawiasz Torbicką, która nie dowiedziawszy się nic od ciebie, pójdzie teraz popytać sąsiadów, a oni opowiedzą o tym, jak inhalowałeś odór psich odchodów, i o tym, jak się w nie wpatrywałeś. Opowiedzą też o tym, jak to się ubierałeś, że jesteś prawdziwym artystą.

Opędzając się od paparazzi pójdziesz do kiosku po gazetę, w której przeczytasz na pierwszej stronie: „Rewolucja w sztuce! Objawienie! Nowy talent”.

Teraz zaczną się telefony od marszandów. Będą proponowali tobie niewiarygodne sumy za twoje obrazy. Ważne jest, żebyś marudził, wybrzydzał i nigdy nie przyjmował pierwszych ofert.

Na koniec pamiętaj: kiedy w prasie napiszą o tobie, że jesteś artystą, że twoje dzieła są dziełami sztuki, to dopiero stajesz się artystą, a twoje obrazy stają się dziełami sztuki – nie ma innego kryterium!

## Kulinaria IV

Jesteś mądry, odczytany, po studiach wyższych a mimo to klepiesz biedę? Zastanawiasz się, jakim to sposobem dawni kumple z podwórka, którzy ukończyli zaledwie szkoły podstawowe, pootwierali własne firmy i zasuwiają nowiuteńkimi Mercedesami? Przecież jesteś od nich mądrzejszy, lepiej wykształcony a mimo to, tobie się w życiu tak nie powiodło. dlaczego?

Pakując walizki i szykując się do emigracji zarobkowej (np. do Anglii), nie widzisz dla siebie szans w Polsce. a przecież tyle czasu zainwestowałeś w edukację i teraz wydaje się, że było to na darmo. czy jest jeszcze jakaś szansa, żeby nie wyjechać i rozkręcić biznes, choćby najmniejszy, by samemu na siebie zarabiać i utrzymać z tego rodzinę? Oczywiście. Postępuj zgodnie z podaną formułą

### Formuła magiczna

#### 1) *niezbędnik*

Jeżeli masz tytuł magistra, inżyniera, a nie daj boże doktora - to natychmiast o tym zapomnij. musisz zgłupieć, cofnąć się do czasu przedmaturalnego. odcerebralizować się. Im mniej fałdek na powierzchni substancji szarej mózgu, tym większe prawdopodobieństwo, że ci się uda. Jeżeli jesteś tzw. głupim bucem, czyli np. mówisz: "poszłem" zamiast "poszedłem"; zamiast opróżnić nos w sposób powszechnie akceptowalny społecznie tzn. używając chusteczki, ty najpierw wciągasz smarki do gardła, następnie charczesz i wypluwasz je na ziemię; jeżeli w trakcie rodzinnych spotkań zawsze brylujesz, opowiadając dowcipy o babach i najgłośniej się śmiejesz; jeżeli uważasz, że niezależnie od dyskutowanego tematu, zawsze ty na końcu masz rację, to znaczy, że idealnie nadajesz się na biznesmena.

#### 2) *pomysł*

Wymyśl sobie jakąś branżę, w ramach której będziesz rozwijał swoje gospodarcze skrzydła. może być to cokolwiek, ale najlepiej handel czy usługi. pod żadnym pozorem nie zastanawiaj się nad tzw. ryzykiem ( ty - magistro-inżynierze-doktorze zapewne już kalkulujesz ryzyko i zadajesz sobie pytanie: a co będzie, jak się nie uda? i widzisz, właśnie dlatego potrzebny jest pkt. 1, po to masz zgłupieć, by nie myśleć nad ryzykiem. Tu się liczy żywioł, to jest polski biznes, którego nie wolno mylić z business'em).

#### 3) *uniform idealny*

Musisz ładnie wyglądać. aby być polskim biznesmenem potrzebujesz następującej garderoby:

- a) biała koszula
- b) zielona, materiałowa marynarka

- c) czarne spodnie, także materiałowe, wyprasowane na kant
- d) białe, froterowe skarpetki
- e) buty: czarne, najlepiej mokasyny

#### 4) rejestracja działalności gospodarczej

Dobrze wiesz, że wszyscy twoi sąsiedzi tylko czekają na to, aż ci coś się nie uda. A ty dodatkowo podsyciłeś to oczekiwanie, rozpowiadając dookoła, że otwierasz firmę - lub, że już ją masz. Bądź ostrożny! Żeby uniknąć wojny na sztachety z sąsiadem, który mógłby na ciebie donieść, że prowadzisz działalność gospodarczą, nie zarejestrowawszy jej uprzednio, udaj się do Urzędu Gminy/Miasta i zarejestruj działalność. Kiedy miły pan urzędnik będzie ciebie pytał o tajemniczy dla ciebie kod PKD, to mów, że handel i usługi. Cały czas o tym opowiadaj. Niech urzędnicy sami szukają tych dziwnych kodów - oni je wymyślili, niech oni się tym martwią.

### WAŻNE

Urzędnik zapyta cię, jak się będzie nazywała twoja firma. Pamiętaj, że aby być wiarygodnym w świecie polskiego biznesu, w nazwie firmy musi być końcówka: "ex". Np. gdybyś sprzedawał jabłka, wówczas nazwa twojej firmy brzmiałaby: "JABŁEX". ty jeszcze nie wiesz dokładnie co będziesz robił - wiesz tylko, że to będzie miało związek z handlem i usługami - zatem nazwij firmę od swojego nazwiska: np. Jeżeli nazywasz się Kowalski, to firma twoja będzie się nazywała: "KOWALEX"

#### 5) pierwszy interes

Masz ładną pieczętkę. Jest na niej twoje nazwisko i nawet adres. Są też jakieś dziwne numerki NIP, REGON. Nie zdrapuj ich nożykiem! One tam muszą być! kiedy już nastukałeś się na czystych kartkach tych pieczętek, kiedy wytrenowałeś rękę do podpisu, to pora na pierwszy interes.

Robisz cokolwiek: wywozisz szambo, przybijasz gwoździe w płocie u sąsiada - za to wszystko bierz forszę jak dotychczas, tylko dawaj im takie świstki, na których będziesz przybijał pieczętkę. Rób to w dwóch egzemplarzach. Jeden zatrzymuj dla siebie. Jeżeli zajmujesz się handlem, to pamiętaj, żebyś zawsze, ale to zawsze kupił tanio i drogo sprzedał. nie na odwrót!!! Także zbieraj kwitki z pieczętkami.

#### 6) świat pieczętek i formularzy

Po kilku tygodniach orientujesz się, że trafiłeś do świata kwitków, świstków, rachunków i formularzy. Wydaje ci się, że w tym toniesz. Zaczynasz się gubić! Nie panikuj, nie panikuj. Niesiesz to wszystko do miejsca, które nazywa się "Biuro Rachunkowe" - i już niczym się nie przejmujesz. Tam odwalą za ciebie całą robotę! Ty natomiast dalej wbijaj gwoździe, sprzedawaj drożej niż kupiłeś, czy co tam robisz innego.

#### 7) kredyt

Ani się zorientujesz, a po jakimś czasie wejdiesz na salony polskiego biznesu. Zacznieś jadać w ekskluzywnych restauracjach, w których będziesz zamawiał carpaccio i opierdalał kelnera, za to, że chciałeś carpaccio a on ci przyniósł surowe mięso. Wpadniesz także na pomysł zaciągnięcia kredytu. Udaj się do banku. Porozmawiaj. Jesteś przecież wygadany i uda się tobie zaciągnąć kredyt. Bierz jak największy.

#### *8) jesteś biznesmenem*

Jak wszystko dobrze poszło to: masz firmę zadłużoną, masz kilku dłużników, jeździsz Mercedesem, dalej zakładasz białe skarpetki do czarnych spodni i czarnych mokasynów. Negocjujesz z bankiem, że jak dadzą tobie kolejny kredyt, to na pewno spłacisz ten poprzedni. Ten sam kit wciskasz dłużnikom, zapewniając ich, że jak dadzą tobie towar, który będziesz mógł sprzedać, to na pewno spłacisz poprzednie zadłużenie. Jak nie dadzą tobie towaru, to oczywiście mogą podać cię do sądu, ale przecież masz dawno rozdzielność majątkową - dom, auto i inne mienie dawno nie należy do ciebie, zatem nie będziesz mógł ich spłacić.

Jeżeli twoje zadłużenie osiąga pułap 5 milionów polskich złotych, to pora zastanowić się nad zmianą firmy. O tym zapewne poinformuje cię twój sprytny księgowy (pod warunkiem, że jest sprytny). Ogłaszasz upadłość i otwierasz nową firmę, co jak już wiesz, nie jest takie trudne.

## Bohdan Zadura, Wszystko

Każda gra posiada reguły, do których muszą się dostosować gracze nie tyle by wygrać, ale po to, żeby móc w ogóle zagrać. Najciekawsze z perspektywy filozofii języka oraz krytyki literackiej są reguły gier językowych. Ich analiza poszerza znajomość istoty określonej gry językowej oraz dostarcza wiedzy na temat graczy grających w daną grę.

W klasie gier językowych istnieją różne podklasy. I tak na przykład – kiedy Urząd Pracy wysłał mnie na plac budowy, bym wprawiał się w mieszaniu zaprawy, podawaniu cegieł itp., majster, u którego terminowałem w trakcie stawiania jednej ze ścian nośnych komunikował się ze mną w taki oto sposób:

- Kielnia
- Wasserwaga
- Kielnia
- Wasserwaga
- Zaprawa
- Kielnia
- Wasserwaga
- ....
- [mija 8 godzin pracy]
- Fajrant

Powyższe kategorie, były jedynymi dozwolonymi pojęciami w naszej grze językowej.

W ramach tej gry – gry, w którą grali murarze – istnieją tylko cztery rzeczowniki, które powtarzane są mniej więcej w takich samych odstępach czasu. Gra składa się z dwóch graczy: mistrza i praktykanta. Są także 4 reguły gry:

### **Reguła pierwsza:**

mistrz mówi: „kielnia”

### **Skutek**

praktykant podaje mistrzowi paczkę, ściętą w trójkąt z wygiętą rączką zakończoną drewnianym uchwytem.

### **Reguła druga:**

Mistrz mówi: „wasserwaga”

### **Skutek**

praktykant podaje mistrzowi aluminiowe urządzenie do wyznaczania poziomu / pionu.

**Reguła trzecia:**

Mistrz mówi: „zaprawa”

**Skutek**

praktykant udaje się do betoniarki i przygotowuje określoną mieszankę: 1 część wody / 1 część cementu portlandzkiego / 7 części piachu a następnie przynosi ją mistrzowi.

**Reguła czwarta (tzw. reguła kończąca):**

Mistrz mówi: „fajrant”

**Skutek**

Gra się kończy.

Kiedy skończyła się ta gra, natychmiast z chwilą wejścia do autobusu MZK stałem się mimowolnie graczem kolejnej gry. Gra polegała na odpowiednio głośnym wyartykułowaniu słowa: „przepraszam”. Użycie tego pojęcia umożliwiło stopniowe przemieszczenie się w kierunku kasownika / wyjścia, po to by zalegalizować fakt podróży / lub po to, by wyjść.

Dojechałem do domu, w którym czekała mnie kolejna gra. Standardowa rozgrywka partnerska:

*Runda I*

**Ja:** cześć

**Ona:** cześć kochanie jak było w pracy?

**Ja:** Normalnie

**czynność:** całowanie krótkie

*Runda II*

**Ja:** Co na obiad?

**Ona:** To, co wczoraj.

**Ja:** Odgrzej mi

**Ona:** Dobrze

**czynność:** siadanie do stołu; czytanie gazety; jedzenie.

*Runda III*

**Ona:** Jak będziesz jutro wracał kup mleko

**Ja:** Dobrze.

**czynność:** leżenie przed telewizorem; wieczorna toaleta.



*Runda Ostatnia***Ja:** Dobranoc**Ona:** Dobranoc**czynność:** spanie

Kiedy porównam ze sobą reguły tych gier, w których każdego dnia biorę czynny udział jako jeden z graczy, to pierwsze co się rzuca w oczy, to ich prostota oraz fakt, że w ramach tych gier rezygnuje się ze zbędnej części języka – czyli tej, bez której można się obejść. Innymi słowy – język w tych grach używany jest w postaci minimalnej, jako hasła-kategorie. Murarz nie zwraca się do mnie: „Proszę podać mi packę, ściętą w trójkąt z wygiętą rączką zakończoną drewnianym uchwytem, służącą do nakładania zaprawy i zbierania jej nadmiaru”, ale mówi: „Kielnia”. Ona, kiedy zapytam: „Co na obiad?” odpowiada: „To, co wczoraj” – nie musi nic więcej dodawać, ani ja nie muszę pytać. Kiedy wymieniamy się hasłem „dobranoc” wiemy, jakie będą tego konsekwencje. Minimalny przekaz.

Podobnie jest w autobusie. W ramach tej gry użycie słowa: „przepraszam” umożliwia przesunięcie się przynajmniej o jeden, w kierunku do kasownika / wyjścia. Jedno słowo zmienia cały układ w autobusie i moją w nim pozycję jako gracza. Inni gracze, by ustąpić pole, nie muszą usłyszeć komunikatu: „Przepraszam, proszę się przesunąć, chciałbym dojść do kasownika, by skasować bilet”. Ba! Czasami w ramach tej gry językowej zdarza się, że któryś z graczy umiejscowionych przy kasowniku, kiedy usłyszy słowo „przepraszam” i zobaczy moją rękę z biletem, wyciąga swoją i mówi: „Proszę dać, ja panu skasuję”. Okazuje się, że wszyscy gracze wiedzą w co grają. Nie ma tu żadnych przypadkowych graczy.

Język, który w użyciu (tj. w grze) jest w stanie obejść się bez siebie, bez szkody dla przekazu wymaga uprzedniej znajomości zasad gry – wiedzy milczącej. Żeby komunikat „Kielnia” zadziałał, praktykant musi się najpierw dowiedzieć, że po usłyszeniu słowa „kielnia” musi podać trójkątną packę. Hasła „Kielnia” nie zrozumie ktoś, kto nigdy nie brał udziału w tej grze językowej, bądź nie poznał jej zasad.

Im bardziej techniczna jest gra, tym bardziej specjalistyczne stają się jej reguły, a ich komplikacja wzrasta proporcjonalnie do ilości użytych w ramach danej gry językowej zdań matematycznych

Specyfikę reguł tej gry językowej, jaką jest polska poezja świetnie ilustruje ta książeczka *Wszystko Bohdana Zadury*.

Bohdan Zadura – urodzony w czterdziestym i którymś - robi za poetę polskiego od kilkudziesięciu lat. Tyra w kilku redakcjach, bierze udział w zjazdach poważnych poetów i pewnie też juroruje w kilkunastu / kilkudziesięciu konkursach poetyckich. Ta praca pochłania czas, a czas jest potrzebny do pisania wierszy. Ale Zadura nie ma problemu z pisaniem wiersza w nieskończenie małej jednostce czasu, ponieważ jako poeta pisze swoje wiersze w ramach specjalistycznej gry językowej, gry, w której nie jest ważny wiersz, ale jego interpretacja.

Bohdan Zadura, konstruując tekst będzie odwoływał się do tzw. wiedzy milczącej uczestników gry językowej. A że będzie on jako poeta taką rozgrywkę prowadził, informuje już na wstępie:

*niespełna i niemal  
to synonimy  
może darować sobie*

*czytanie moich wierszy  
(nie będę tłumaczył  
co to są synonimy)*

### **[Ktoś dla kogo]**

W pierwszym tekście Zadura wprowadza jedną z głównych reguł gry językowej, którą można sformułować następująco: **nie marnuj tytułu**

Poeta dążący do minimalizacji treści i maksymalizacji przekazu nie może sobie pozwolić na żadne marnotrawstwo na poziomie formy. Dlatego niektóre z tytułów wierszy w tomiku *Wszystko* będą treściowo należały do korpusu tekstu.

**Przykład** [cytuję teksty w całości]:

**Dwa słońca**  
*trzy miliony mieszkań  
dla dwóch milionów głodnych dzieci*

dalej:

**Aż strach pomyśleć**  
*że to wszystko  
dzięki papieżowi*

i kolejny:

**Pod Prabutami**  
*na zelektryfikowanym cmentarzu  
bocian uwił gniazdo*

Czasami stosując tę regułę swojej gry językowej Bohdan Zadura osiąga mistrzowską perfekcję, z którą równać się może finezja mistrza murarskiego, który jest w stanie wybudować dowolny budynek przy użyciu standardowych narzędzi murarskich i czterech rzeczowników.

Oto mistrzowskie teksty redukcjonizmu formalnego:

**Era łączy ludzi**  
*i rejestruje połączenia*

oraz:

**Oni już dawno nie żyją**  
*ze sobą*

Do jakiej to wiedzy milczącej w swojej grze językowej odwołuje się Bohdan Zadura?

Po pierwsze, podobnie jak mistrz murarski, Zadura zakłada, że jego czytelnik będzie wiedział minimum to wszystko, czego on jako autor tekstu wymaga. Oczywiście ucieszy się każdorazowo, gdy w jakiejś recenzji swoich tekstów przeczyta coś więcej, coś czego jako mistrz-czeladnik nie wymaga od swoich praktykantów. Podobną satysfakcję ma też mistrz murarz, który tak wyszkolił swojego praktykanta, że już nie musi mówić: „kielnia” czy też „wasserwaga”, bo ten odkrył istotę porządku chronologicznego wznoszenia konstrukcji murowanych. Wie, że najpierw musi podać „kielnię” a później „wasserwagę” i robi to bez pytania. Innymi słowy: czyta w myślach mistrza.

Po drugie: w swojej grze językowej Bohdan Zadura odwołuje się do wyuczonej umiejętności, którą można określić jako sztuka intelektualnego RSS-u.

Zadura konstruuje swój przekaz na poziomie tytułu i kilku zaledwie wersów. Podobnie rzecz ma się z tzw. kanałami informacyjnymi. Jako autor zakłada, że wytrenowany umysł współczesnego czytelnika-intelektualisty z gracją porusza się w ramach nagłówka wiadomości. Im zaś dalej brnie w treść tym mniej gracji w tym ruchu – czego jest świadom jako poeta.

#### **Przykład takiego gazetowego RSS (gazeta.pl)**

*Polki na golasa  
zobaczycie wałeczki,  
oponki, celulit  
rozstępy*

#### **Przykład RSS-u Bohdana Zadury:**

**Dzisiaj**  
*czwarty raz już  
zapada wieczór*

*taki lipiec  
takie lato*

Ostatnią z reguł gry językowej Bohdana Zadury są wszystkie, wymyślane interpretacje jego tekstów, które kiedykolwiek opublikował. Wszystkie one zapętłają się, tworząc wielki gmach zwany: zaduryzmem. Do gry bowiem przystąpią ci gracze, którzy obeznani są z regułami zaduryzmu – będą wiedzieli, co Zadura jako poeta chciał powiedzieć pisząc o „Erze”, łączącej ludzi i rejestrującej połączenia. Bo interpretacje, zmierzające w kierunku masowości, inwigilacji, złudzenia wolności, technicyzacji świata i barbaryzacji społeczeństwa konsumpcyjnego wydają się być tu zaledwie mini warstwą, pierwszym z milionów potencjalnych denek interpretacyjnych, które czekają tylko na odkrycie w odpowiedniej interpretacji.

Apogeum zaduryzmu osiągnie wówczas, kiedy w kolejnym tomiku Bohdan Zadura zdecyduje się na kolejnych 26. stronach opublikować kolejno wszystkie 26 liter alfabetu. Wówczas każdy z jego czytelników – graczy – kiedy przebrnie przez owo dzieło, przejdzie na kolejny,

mistrzowski tym razem level gry, w której „A” podobnie jak boska „Alfa” będzie znaczyło wszystko.

## Baranina

A wszystko zaczęło bardzo niewinnie. Było sobotnie przedpołudnie. Spokój, nic nie zakłócało błogiej ciszy i tylko mój głos wewnętrzny szeptał: „Spróbuj dzisiaj być dobrym człowiekiem. Spróbuj, co ci szkodzi?”

Faktycznie, co mi szkodzi? Nic! Postanowiłem chociaż jeden dzień być dobrym człowiekiem.

Od około godziny 11.43 i 28 sek., rozpocząłem wspinaczkę na szczyt mojej własnej dobroci, empatii i czegoś tam jeszcze, czego normalnie unikam. Z uśmiechem na mordzie witam sąsiadów. Oni się dziwią i nieporadnie ukrywając zaskoczenie, odpowiadają grzecznie na moje powitania. Nawet rytualna podróż do kibla odbywa się bez żadnych ekscesów. Proces defekacji jak nigdy, trwa zaledwie trzy godzinki. Innymi słowy: wszystko idzie jak z płatka. I byłbym wspiął się na swój prywatny ośmiotysięcznik dobroci, gdyby nie poranna lektura klozetowa – czyli losowo wybrane pisemko, które biorę do ręki i czytam, by zapomnieć o spazmach perystaltycznych, o hemoroidach wielkości kciuka, o wytrzeszczu oczu – czyli o prozie życia, która zaczyna się gdzieś tam w okolicy godziny za dziesięć dwunasta. Mój pech, że trafiło na sierpniowy, ósmy numer *twórczości*.

Mała uwaga:

Nie wiem, co mnie podkuśiło by wziąć akurat *twórczość* a nie na przykład **Carla Schmitta**. Ostatnio **prószynski end ska**, zwietrzyli pismo nosem i wydali jego *Lewiatana*. Czyta się to wyśmienicie, w przeciwieństwie do Kelsena czy Jelinka.

Do rzeczy. Idę zatem do kibla, by kolejny raz oddać się geberitowej męce, w której zawsze odnajduje coś przyjemnego. Idę krokiem prędkim, acz niespiesznym – jakby to powiedział poeta i na dodatek mam kilku poetów pod ręką, we wrzosowej okładce.

Plusk pierwszy - kupa, ale zanim dobiegł mnie plusk numer dwa, zbaraniałem. I to wszystko wina Józka Barana, a dokładniej jego rymowanek. W jednej chwili szlag trafił wszystko: całą empatię i likendową dobroć. Nawet kupa straciła swój pierwotny połysk. W dniu, w którym człowiek decyduje się na bycie dobrym, w dniu, który chciałoby się zakończyć bilansem dodatnim musi zawsze zdarzyć się takie coś. Kurwa!

Na tym etapie narracji Piotr Kraśko zadałby pytanie: „Jak doszło do tej tragedii?”

Poeta wbił się w światową koniunkturę. Pierwsze teksty opublikowane w *twórczości* są o tematyce chińskiej. Aż chciałoby się pogratulować wydawcy, że zdążył z nimi na olimpiadę w Pekinie. Nie, nie drogi czytelniku, Baran nie protestuje przeciwko łamaniu praw człowieka, przeciwko morderstwom transplantologicznym. Baran to polski poeta, a ci nie protestują. Polscy poeci mierzą się tylko z bogami, nie obchodzą ich rozterki dnia codziennego, nawet gdy mają charakter globalny. Dlatego Baran w **Pejzażu z Morzem Południowochińskim** napisze:  *płyną wdzięcznie / w dżonkach parasolek / przez słoneczną plażę / trzy Chinki-Singapurki* / – doda jeszcze dopełnienie poetyckie, napisze sławne typowo polskie: „jak...”, po którym wstawi tekst i o motylach, które są napełnione pogodą (sic!). Nic prostszego, nieprawda?

O tym, że Baran, to nie baran, ale poeta, który od czasu do czasu miewa wizję, miewa także pomysł na wiersz, stara się przekonać sam Baran w następnej strofie i to od pierwszego wersu. Tu napisze o „*ściąganiu wzrokiem*” i o tym, że Chinki-Singapurki „*wiosłują szybko wiosłami w głąb siebie*”. Tu poeta nie był niestety odkrywca, cały świat sportowy przekonał się o potędze skośnookich bicepsów nawet w wersji waginalnej. Wszystko wyszło przy okazji olimpiady.

Jednak najbardziej udana jest strofa numer 3. Jest wyjątkowa, niemalże milenijna, dlatego pozwolę sobie ją zacytować w całości: *a morze / jak wielka łagodna krowa / podpływa do ich stóp / i liże je językiem fal //*.

Na czym polega jej wyjątkowość? Otóż kiedy pierwszy raz przeczytałem o morzu, które zmienia się w krowomorze i które liże stopy *językiem fal* (za te „języki fal”, Baran pewnie zostanie odznaczony przez Koło Rymujących Gospodyń, które lobbuje na rzecz wynalezienia lubrykatu, który nie wywołuje alergii), najpierw się szyderczo zaśmiałem, ale po chwili namysłu straciłem swoją szyderczą pewnością siebie.

Dzwonię do kolesia z Tybingi, co to od lat trenuje sztukę hermeneutyki tekstów literackich i pytam go o te krowy, bo coś mi tu nie gra. Szymon – bo tak ma kolesz na imię – prosi, bym mu wysłał cały tekst. To mu go faksuję. Oczywiście cały czas jesteśmy na linii. Pytam go czy tekst dotarł, on potwierdza. Po chwili milczenia w słuchawce słyszę „buhahahahahaha”. Pytam się zatem: „No i co ty na to?”. „Toż to tzw. buhahizm pierwszego sortu”. „Buhahizm?” – pytam. Szymek jednak nie chciał zdradzić co to takiego. Zastaniał się tajemnicą naukową.

A teraz poważnie: żeby interpretować cokolwiek, owo cokolwiek musi przede wszystkim istnieć. Jeżeli chodzi o wiersz Barana „Pejzaż...”, mamy wprowadzić do czynienia z istnieniem i można pokusić się o interpretację jakakolwiek, ale interpretator wyjdzie na kompletnego barana szukającego w „leniwych krowach, liżących stopy” odpowiedników literackich Rosynantów.

Kolejny tekst Barana też jest o Chinach. Tutaj poeta zmierzy się z chińskim przeludnieniem, ze zjawiskiem masowości. Stanie się na chwilę Ortega y Gassetem, zwłaszcza w wersie: *termiery domków / z setkami okien / zaglądających sobie do okien* – chciałoby się w tym momencie wydrzeć się na całe gardło: „Ależ to głębokie!”.

Niewątpliwie, sięgając po poetykę Barana, należy powiedzieć: „ta głębia nie widzi swojego dna, bo jest tak głęboka”. Koniec strofy nie zaskakuje. Chińczycy u Barana się „*wyroją*” bo ich jak mrówek – chciałoby się dodać. Później jest o „*ulicznym ulu*” o tym, że trudno się połapać w Chinach, zwłaszcza zorientować się „ *kto jest kim*”. Ten europejski fenomen huizhiuzmu Baran przeplancował w ramy kultury orientu z nadzieją: „a nuż się uda!”. To, co chińskie u Barana nie ma nic wspólnego z Chinami. To zbiór stereotypów, w których najważniejszym jest „masa”. Pod tym względem wiersz „**Ulica chińska....**”, jakością warsztatową i merytoryczną porównana może być tylko do chińskich tenisówek sprzedawanych na wiejskich targowiskach.

Po chińskiej przygodzie, w której za przewodnika robił Baran, miałem dość Chin i dość Barana. Postanowiłem mu dać ostatnią szansę. Czytam i czytam i nagle jeb! „prostytutka”. Tak, tak, po serii o Chinach nadeszła pora na dziwki, tyle że jeżeli ktoś myśli, że u Barana się porucha intelektualnie z „prostytutkami”, to się myli. Baran nie może się zdecydować i z niezdecydowaniem konfrontuje czytelnika. W „**Ręce**” czytamy: *Piękna żebraczka albo prostytutka*. Od tej alternatywy zacznie wprowadzać lirycznych głupców-czytelników do

krainy kierkegaardowskiej, w której na próżno szukać zdań z *Dziennika uwodziciela*. Zamiast tego Baran, jak na prawdziwego poetę przystało, zacznie mierzyć się z samym panem bogiem. Orężem jego będą „nieme skargi”, „odtrąconymi rękami, które rosą ciśnieniem”. Innymi słowy: kompletny bełkot, z którym równać się może tylko rymowanka wryta na blacie szkolnej ławki: „kocham Józefinę, co sprzedaje amfetaminę”.

### **Reasumując:**

Można jeszcze długo kpić wierszy Józefa Barana. Jeżeli chodzi o warsztat, to nie sposób odnieść się wrażeniu, że Baran używa przerzutni „tak sobie”, by mu wersy w strofach pasowały. (np. w tekście: **Tyle razy umieramy**). Wyglądają na takie, co to napisane zostały naprędce i to na dodatek bez pomysłu.

## Appelacja

Dziś rano, około godziny 6.48 zadzwonił do mnie kolega z Moskwy, Griszka. Griszka specjalizuje się w dziedzinie badawczej, którą na marginesie on sam powołał do życia, a mianowicie: poetyką enteryzacji. Co to takiego, o tym za chwilę. W każdym razie zadzwonił do mnie i mówi:

- Priwiet, znajesz li ty nowyj tiekst iz tonicu waszeigo poiety Applu?

Nie wiedziałem co odpowiedzieć. Czy przyznać się, że nie znam – co byłoby zgodne z prawdą, ale przyznając się wyszedłbym na ignoranta. Czy może skłamać, że znam, ale wówczas groziła mi specjalistyczna dyskusja telefoniczna z Griszką, w której dostałbym po intelektualnych jajach. Tak czy siak dupsko zawsze z tyłu – czyli: klasyczny konflikt tragiczny. Dla jasności dodać muszę, że wszyscy moi koledzy, nawet ci niewidoczni, posiadają zadziwiająca możliwość czytania w myślach. Dlatego Griszka nie dopytywał się więcej, przesał mi faksem kilka stron tekstu. Okazało się, że były to dzieła niejakiego **Mariusza Appła**, pochodzące z tomu: „*tonic*”, a które opublikowano także w „Czasie kultury”.

Przeczytałem je najpierw pobieżnie, później studiując dokładnie tekst o jakże wymownym i wieloznacznym tytule: **trujka**, doświadczyłem augustiańskiej iluminacji. W jednej chwili poznałem przyczynę, dla której Griszka o tak barbarzyńskiej porze napadał mnie i maltretował mój faks. Oto pierwsza strofa:

*blady siedział i czytał mastertona krew  
odpłynęła z twarzy ubarwiając strony  
zwykły kurs linii 195 nic sensacyjnego  
by się nie wydarzyło gdyby nie zaczął mówić*

To jest pierwsza strofa **trujki** w wydaniu Appła. Griszka, jako badacz poezji o niebywale analitycznym umyśle (wiedzieć należy, że ród Griszki wywodzi się z prostej linii od Tarskiego, Leśniewskiego i Goedla a ze strony babki ciotki siostry, od samego Leona Chwistka) sformułował prostą, ale w istocie genialną tezę: „Enter wiersza nie czyni”.

W myśl owej zasady zaczął analizować teksty wielu poetów nie ze względu na treść ale użycie klawisza „ENTER”, który jak wiadomo służy do robienia wersów czy strof. Wyniki badań były zatrważające. Okazało się, że użycie klawisza ENTER w poezji prowadzić może do poetyki enteryzacji. Niektórzy bowiem poeci, są przekonani, że stosując czysto stochastycznie klawisz ENTER w dowolnym tekście, są w stanie stworzyć wers a w konsekwencji cały wiersz. Weźmy taki oto przykład:

**doprowadzenie gazu czadnicowego albo systemem kanału ceramicznego, obwiedniego lub rurociągu obwiedniego, napowietrznego systemu kaskadowego dla ochrony przed zanieczyszczeniem smołą** [ *Poradnik Ceramiczny*, (red.) Ignacy Płoński, Warszawa 1963, s.445.].

Tekst ten w ramach poetyki enteryzacji będzie wyglądał tak:



*doprowadzenie gazu  
czadnicowego albo  
systemem kanału  
ceramicznego, obwiedniego*

*lub rurociągu  
obwiedniego, napowietrznego  
systemu kaskadowego  
dla ochrony przed  
zanieczyszczeniem smołą*

Ale jak to się ma do tekstów Mariusza Appla, którymi zainteresował się mój Griszka.

Otóż kiedy Griszka sformułował główną, negatywną zasadę poetyki enteryzacji, środowisko dekonstrukcjonistów podjęło się dekonstrukcji (bo cóż innego mogliby robić dekonstrukcjonisci) tzw. tekstów zenteryzowanych, czyli mówiąc wprost: zaczęli oczyszczać literaturę z nadmiernej ilości enterów. W tym momencie każdy uważny czytelnik zadać powinien pytanie: a jak rozróżnić tekst zenteryzowany od normalnego. To bardzo proste drogi czytelniku. Enteryzacja to losowe użycie przycisku ENTER. Innymi słowy, czytasz sobie tekst, czytasz, czytasz a tu nagle on się urywa, chociaż do końca krawędzi strony jeszcze tyle miejsca zostało. Mało tego urywa się tak bez sensu, bez żadnego znaczenia. Urywa się tak, jakby najważniejsze było owo urwanie, czyli wstawienie „ENTER”. Weźmy jeszcze raz pierwszą strofę: **trujki** Appla:

*blady siedział i czytał mastertona krew [enter]  
odpłynęła z twarzy ubarwiając strony  
zwykły kurs linii 195 nic sensacyjnego [enter]  
by się nie wydarzyło gdyby nie zaczął mówić*

Na przykładzie pierwszych dwóch wersów widać wyraźnie bezsens użycia „ENTER”, między tymi wersami jest tylko czysta mechanika. Usuńmy te enterki i co się okazuje?

### **Wynik:**

*blady siedział i czytał mastertona krew odpłynęła z twarzy ubarwiając strony zwykły kurs linii  
195 nic sensacyjnego by się nie wydarzyło gdyby nie zaczął mówić*

Zagadka dla czytelnika. Przytoczę teraz drugą i trzecią strofę **trujki** Mariusza Appla, ale tym razem w wersji zdeenteryzowanej. A ty drogi czytelniku powstawiaj sobie „entery” tam gdzie chcesz, twórz wersy i strofy według własnego widzimisię i najważniejsze: nie martw się o sens! W poetyce enteryzacji sens nie ma żadnego znaczenia, tu najważniejszy jest „ENTER”.

Oto obiecany fragment:

*zamiast strun głosowych mam końskie włosy i ginekomiastię piersi wybrzuszą mi się jak  
dusza wychodząca z futbolówki kiedy puszcza szwy matka hoduje na języku garbniki zlizuje  
śmierć z martwych zwierząt wyprawia ich skóry na tamten świat – elastyczne i miękkie*

Jak się przekonałeś drogi czytelniku, tu nie sens, ale ENTER tworzy wers, strofę i wiersz. Oczywiście wszystkie kolejne teksty Appla opublikowane w „Czasie kultury” (3-2008) zbudowane zostały w oparciu o zasady poetyki enteryzacji. Zachęcam wszystkich, którzy chcą się zapoznać z nie tyle z tekstami Appla, ale z tajnikami koncepcji Griszki, do zabawy. Warto, warto, bo zabawa przednia ale nie tylko.

Poetyka enteryzacji ma niebywały kontekst egalitarny, ba! Nawet ponadgatunkowy. Spełnia się tu ukryte pragnienie singerowskiej etyki. Oto bowiem małpa, owieczka, koza a nawet kura, kiedy się jej pokaże jak w ENTER klikać stanie się poetą. Czyż to nie wspaniałe!?

## Rybołówstwo

Kiedy swoim czarnym BMW 750iL, z pomocą trzystu koni mechanicznych pokonywałem odcinek Frankfurt / Oder – Berlin, już na wysokości pierwszego rastplacu dała znać o sobie fizjologia.

Przyautostradowe niemieckie kible są całkiem, całkiem. Estetyka stali szlachetnej w takim miejscu oprócz wrażenie czystości ma jakiś swój urok. Miałem szczęście, kabina była pusta. Mogłem spokojnie zamknąć się i skoncentrować na odlewaniu się. Nie ma nic gorszego niż lanie w pisuar. Ni chuja nie mogę się skoncentrować, zwłaszcza gdy gość obok stoi i pogwizduje. Mogę wówczas tak stać latami, zmuszać swój styraną nieustannym padnij-powstań gruczoł krokowy, do tego by się rozluźnił, a i tak nici będą z odlania się. Rozpinam rozporek i leję. Jest błogo, zwłaszcza w fazie środkowej, kiedy naprężony do granic wytrzymałości pęcherz rozluźnia się, kiedy strumień moczu ma największe ciśnienie.

W tej właśnie fazie ekstazy stało się coś dziwnego. Otóż błędząc ekstatycznym wzrokiem po ścianach kabiny ujrzałem taki oto napis, starannie wykaligrafowany wodoodpornym markerem:

### **Kim jesteś Europejczyku? Ty, który nie znasz mądrości Chwiego z Balchy?**

Czy to nie ten śmiałek, który jako jeden z pierwszych, jeszcze przed Spinozą rzucił się na bezsensowne przepisy biblijne? – pomyślałem. Ale nic. Skończyłem rytuał oddawania moczu, otrzepałem sisiora, wytarłem go jeszcze papierem toaletowym tak na wszelki wypadek. I odjechałem, całkowicie zapominając o tym klozetowym graffiti.

Całe to zdarzenie przypomniałem sobie stosunkowo niedawno, kiedy to brnąwszy przez „Nową okolicę poetów”, (ten sam numer, w którym to redaktor Napiórkowski opublikował z litości dla dyslektyka poezję dyslektyczną) wiersze **Roberta Rybickiego**.

Nie wiem jaka byłaby twoja reakcja drogi czytelniku, ale kiedy moje oko napotkało pierwszy wers **Kupki** Rybickiego:

*Leci samolot oka. Gałka oczna ze skrzydłami*

westchnąłem: **O ja pierdołę!**

Tak, tak. Nie wstydzę się swojej reakcji. Mama zawsze powtarzała: „Synu nie wstydz się swoich uczuć”. Dlatego też spowiadam się w tej właśnie chwili ze swojego ojapierdolizmu, który dopadł mnie z siłą błyskawicy w trakcie lektury wierszy Rybickiego.

Ale jaki jest związek między ojapierdolizmem, mądrościami Chwiego z Balchy a twórczością Roberta Rybickiego z „Nowej okolicy poetów”? Odpowiedź jest jedna: bezsens rozumiany nie jako non-sens, ale jako bzdeciszcze. Oto pierwsza strofa **Kupki**, w całości (by nie być posądzony o intencjonalność cytowań):

*Leci samolot oka. Gałka oczna ze skrzydłami*

*Dzień dobry. Mężczyzna z psem, oczywiście,  
wybierał się na przelaj łąki, ciągnąc za sobą  
chybotliwy cień aż po horyzont wschodu.*

Na uwagę zasługuje tu po pierwsze udane, żeby nie powiedzieć wzorowe, zastosowanie reguł poetyki enteryzacji, co już a priori unieważnia pytanie o sens. Ale przecież chciałoby się podyskutować z wierszem, z poetą, z podmiotem lirycznym. Chciałoby się nawiązać jakąś formę dialogu z lekturą. Owo czysto ludzkie, prozaiczne chcenie jest źródłem pytania: „co poeta chciał powiedzieć?”. Zanim okaże się, że „nic”, to należy pokonać pewien dystans intelektualny, określanany jako „refleksja”.

Oto dekonstrukcja pierwszej strofy:

*Leci samolot oka.* – poeta lubi zestaw **LEGO Anathomy** pomieszany z **LEGO FlyFight**. To znaczy, że poeta lubi eksperymentować, wykraczać poza schemat jednego zestawu klocków. Że jest kreatywny i w ogóle.

*Gałka oczna ze skrzydłami* – przykład kreacji, ale jeszcze lepsza jest dwunastnica w wersji pancерnej na gąsienicach z M1A2 Abrams.

*Dzień dobry.* – Dzień dobry. Interakcja z czytelnikiem.

*Mężczyzna z psem* – cóż za stereotyp. Niby faceci wyprowadzają pieska i śmieci, a baby gotują?

*oczywiście,* – ach! Ponownie interakcja z czytelnikiem, który burzy się co do stereotypów.

*wybierał się na przelaj łąki,* – a gdzie hasło: nie niszczy zieleni! Normalnie na świecie trawniki są po to by się na nich wylegiwać, tylko w Polsce służą do tego by psy na nich srały.

*ciągnąc za sobą chybotliwy cień* – a to poetycka wariacja na temat czołówki z Lucky Lucke’a, w której kowboj jest szybszy od swojego cienia w pojedynku na rewolwery.

*aż po horyzont wschodu.* – tutaj poeta pozostawia szerokie pole do interpretacji. Wers można odczytywać w połączeniu z wariacją na temat dziecięcej kreskówki o kowboju, albo w zgoła innym kontekście, a mianowicie jako *Horizont des Seins*.

Jednak myli się ten, kto uważa, że wątek LEGO, Lucky Lucke’a będzie kontynuowany w kolejnej strofie tego wiersza. Oto druga strofa:

*Na jednej ze współrzędnych, wymacanej  
przez pryzmat satelity, wehikuł obracał  
bezprowadowym spojrzeniem kamery  
ze skrzydłami. Empatia sztucznych tworzyw*

W tej strofie także nie zaskakuje enteryzacja. Ale: „o co poeta chciał powiedzieć?”. Nie sądzę by pod „pryzmatami satelit” (co to za bzdura!), „wehikułu obracanego bezprzewodowym spojrzeniem kamer” (ibidem) poeta odwoływał się do freudowskich archetypów, czy do ideologii StarWars. W zasadzie nie istnieje żadna interpretacja tej strofy,

która mogłaby dowieść istnienia lichego chociażby spoiwa między strofą dwa i jeden **Kupki** Rybickiego.

Oszczędzę czytelnikom strofy numer trzy, która – co nie powinno na tym etapie rozważań o wierszach Rybickiego zaskakiwać – będzie o „*trującej się puszcze w zaułku*”. Oszczędzę też kolejnej, w której Rybicki będzie pisał o „*książkach z kamienia*”. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na ostatnią strofę **Kupki**. Oto ona:

*dla Logosu. Zdecydowanie bardziej  
medialnie wyglądają stosy płonących książek  
Dzięki dramaturgii płomienia Słowa zyskują  
na tymczasowości. Dorzućcie, bo zimno.*

Strofa ta zwraca uwagę z dwóch powodów. Po pierwsze: „naoczny” jest w niej pewien przekaz. Wzmocniony wprawdzie nieudolnym odwołaniem się do archetypów kulturowych jak „**Logos**” i „**Słowo**” (Rybickiemu przydałyby się korki z filozofii), ale jest. Po drugie, w strofie tej Rybicki zorientował się, że do tej pory nie miał pomysłu na ten wiersz, że dopiero ostatnia strofa ma względną wartość, że to, co do niej dodał, to sieczka – którą sam określił jako **Kupka**.

I właśnie mimo transparentnego bezdeciszcza i poetyki enteryzacji, **Kupka** Roberta Rybickiego zasługuje na pochwałę. Rzadko w polskiej poezji współczesnej mamy do czynienia z veritas rozumianą jako adequatio tytułu i treści. Rybicki jest w tej kwestii bezpardonowo szczery z czytelnikiem, nie owija w bawełnę. Chciałoby się rzecz: obwieszcza wszem i wobec, że to jest literalna **Kupka**, naigrywając się z tych, którzy zignorują mądrości Chiwiego z Balchy.

O tym, że nie należy ignorować przekazów zawartych w tytułach wiedzą wszyscy, nawet ci, którzy w sławnych poetyckich / \* \* \* / doszukują się tajemnic kosmicznych. Ale w poezji Rybickiego relacja między tytułem a treścią wiersza, jest – czego doświadczyliśmy na przykładzie **Kupki** – totalna.

Oto w kolejnym wierszu, pt. **Wytrzymałość** Rybicki-Poeta zaprasza czytelnika do gry, która polega na sprawdzeniu osobniczej „wytrzymałości” na nonsens. Serwując takie perły jak: „*mięso wciągające dym*”, „*coraz bardziej dokuczający wzrost cen twarzy*”, „*kamienie leżące na scenie*”.

Tu ponownie należy pochwalić Rybickiego za adequatio. Trudno wytrzymać nachalny kontekst wojackowski, trudno wytrzymać serwowane kolejne perły nonsensu, w końcu trudno wytrzymać ze śmiechu.

W kolejnych tekstach Rober Rybicki jest także szczery. Apogeum szczerości jako adequatio, tym razem nie tylko treści i tytułu, ale relacji poeta-Rybicki jego dzieło odnajdujemy w tekście: **Mówię**. Istotnym zaburzeniem semantycznym byłaby każda próba odnalezienia sensu w tym tekście. Najważniejsza jest tu konkluzja: „**Język jest bez sensu**”. Otóż Rybicki wydaje się być dojrzałym twórczo, dlatego stara się wejść w bezpośrednią relację z czytelnikami. Wprowadza w taki układ, w którym brak różnicy między podmiotem lirycznym a autorem. „*Mówię: język jest bez sensu*” – za ten przekaz Rybickiemu należy się piątka. Zdefiniował on perfekcyjnie swój język, poetykę bezdeciszcza oraz enteryzacji. Z tego powodu chociażby należy mu się czołowe miejsce w panteonie polskich poetów współczesnych.

## Justyna Bargielska, CHINA SHIPPING

Kiedy jedna pięciozłotówka przestaje być tylko brzęcząca monetą trochę większą niż dwa złote i zaczyna oznaczać pełny żołądek (bo to przecież 6 parówek JBB i dwie bułki), wówczas całe 120 zł, które należy wydać na zamiennik tonera do brothera, jest zmarnowanym rocznym budżetem. A to wszystko wina *CHINA SHIPPING* Justyny Bargielskiej.

Bardzo dobrze pamiętam swój własny etap rozwoju osobniczego, kiedy to bawiły mnie absurdalne dowcipy w stylu: „wchodzi facet do windy a tam schody”. Dlatego setnie się ubawiłem w trakcie lektury *CHINNA SHIPPING* Bargielskiej (wyd. kserokopia.art.pl). Niemalże każdy tekst w tym tomiku, to zbiór kolejnych skeczy. Dla przykładu:

*To na Stalowej jest. Stamtąd piszę listy odkąd  
tygrys niemiłosierna odgryzła mi głowę  
(Artykuły oświetleniowe „Adam”)*

*Robi jej się głupio  
Więc przepraszając wszystkich  
(których akurat tam zdecydowanie nie ma),  
opuszcza prom kosmiczny jako bardzo ciężka  
smolista materia czyli kłaczek dmuchawca  
(Koniki)*

[a tak w ogóle to ten tekst jest istocie snu drzemiącego psa, a nie o wyprawie w kosmos]

*Żegluj jasny splotetku,  
dopowiedziałam sobie, nie myśl teraz  
o dziurawym oku, przez które cię obserwują  
pod kątem abordażu. Ale bardzo mnie wystraszył  
ten pojedynek pieska z tramwajem  
(Trauma o piesku)*

[ten tekst nie wiadomo o czym jest, bo obok pieska jest też „rozpruty brzuch” „w którym czeka ksiądz”]

*halo łysy piesku! coraz niżej szukamy  
miejsca do spania. przypadkowe ziarenko  
wyrasta i wydrapuje się ze mnie, więc krwawię  
tu i tam. czego właściwie chciał ten kanar?  
(justynex)*

[ a ten tekst nie jest o kontroli biletów, ani też nie jest o „łysym piesku”, ale o sterylizacji narzędzi w autoklawie, chociaż taka interpretacja wydaje się przeczyć podstawowym regułom sylometrii, w której ważne jest częstotliwość użycia pojęć kluczowych, w tym przypadku chodzi o „łysego pieska”]

*...Tym razem zszyto mnie*

z podczerwonych wiewiórek, które rozpierzchają się  
po sercach i obrzędach. Znaczkę na żuczku  
(Mieczem, strzałą, włócznią, żelaznym grzebieniem)

[ten tekst wbrew pozorom nie jest o wiewiórkach-terminatorach ani o żukach, ale o wzajemnym zjadaniu siebie w celu utrzymania higieny w ogrodzie]

Podobne absurd czai się niemal w każdym zakątku *CHINA CHIPPING*, a sama autorka jawi się jako utalentowana kavalarka, specjalizująca się w produkcji kolejnych śmiesznych bo absurdalnych tekstów. Czytelnik, który będzie poszukiwał czegoś więcej, czegoś bardziej znaczącego niż dowcip o piesku, który pędzony przez ultrafioletową glizdę ma swój udział w klasycznym wypieku pizzy (to jest ta liga absurdu, którą prezentuje Bargielska w *CHINA SCHIPPING*) zawiedzie się. Bo *CHINA SCHIPPING* jest autorską masturbacją, w której liczy się tylko finezja nonsensu, w której trzeba przyznać Bargielska jest mistrzynią. Próba odnalezienia sensu w tym tomiczku będzie niemal w każdym przypadku cywilizowaniem absurdu (niemal, bo wśród powszechnie panującego nonsensu licealnego, w *CHINA SCHIPPING* pojawia się także perła: **Wiersz na „p”**). Można tu się zasłaniać gardą wittgensteinistów, odwoływać się do różnych gier językowych, do różnych zasad i sensów, ale wszystko to w odniesieniu do *CHINA SCHIPPING* Bargielskiej będzie równie absurdalne, jak „tyse pieski” goniące „podczerwone wiewiórki”.

*CHINA SHIPPING* można porównać do coniedzielnych peror radiowych Kydryńskiego. Autoupajanie się, ten czeladniczy trud by wydobyć z siebie kolejną frazę jest w obu przypadkach nachalny i nieznośny. Z tą różnicą, że o ile Kydryński po sjeście pyta: „Czyż nie pięknie mi się mówiło?”, Bargielska każdorazowo zadaje pytanie: „Zobaczcie jak mi fajnie wyszło! Czy mi fajnie wyszło?” – w obu przypadkach pytanie o sens, o znaczenie jest nieistotne. I nie pomogła tu szata graficzna, chociaż przyznać należy, że ciekawa, to i tak nie uciągnie *CHINA SHIPPING*. Kiedy pomyślę, że zmarnowałem na to toner...

## Honet 2000

Zgodnie z credo wszystkich sceptyków: nie uwierzę póki nie włożę w to swoich szkaradnych łapsk, zacząłem szukać w necie dzieł honetowych. Znalazłem kilka sztuk. Nie są to nówki sztuki, ale antyki z 2000 r.

Przyznam, że przeczytałem je (tych 9 tekstów) raz, później drugi i trzeci raz. Całe trzy razy. Trzykrotna izolacja od świata zewnętrznego, trzykrotna koncentracja zmysłów wewnętrznych, a wszystko to po to, by współodczuwać, by pozwolić się uwieść poezji. Niestety wyszła jednak pizda, normalna pizda i to nawet nie pizda ogolona na glac, pachnąca, ale pospolita, średniej jakości zakrzaczona polska pizda, na której widok każdy mężczyzna zaczyna łokomym wzrokiem spoglądać na młodzieńców, którym nie pojawił się jeszcze na twarzy zarost, albo też zaczyna poważnie zastanawiać się nad karierą mistyka-eremity. Dlaczego?

Próżno szukać w tych wierszach czegoś więcej niż pospolitych refleksji wypicowanych poetyckim pudrem, który zawsze następuje po „jak”. Dla przykładu. W jednym z tekstów (**alicja po drugiej stronie**) Honet pisał:

*soczysty zapach skóry, powiew pór i miesięcy  
spalonych zachodami słońca, kiedy chyłkiem  
wymykała się z domu – uczennica naiwna  
o włosach rudych jak spóźniony wrzesień.*

Zaproponuję teraz inny układ formalny dla tego tekstu:

*soczysty zapach skóry, powiew pór i miesięcy spalonych zachodami słońca, kiedy chyłkiem  
wymykała się z domu – uczennica naiwna o włosach rudych jak spóźniony wrzesień.*

a teraz ogołocę ten fragment z „jaka” i tego co, po „jak”, czyli z: „jak spóźniony wrzesień”

*soczysty zapach skóry, powiew pór i miesięcy spalonych zachodami słońca, kiedy chyłkiem  
wymykała się z domu – uczennica naiwna o włosach rudych.*

Okazuje się, że dzięki temu prostemu zabiegowi otrzymałem jedno ze zdań, które mogłoby służyć w opisie przyrody z czasów Bohatyrowiczów. Analogia jest tu jak najbardziej zasadna. Biorę sobie dzieło Orzeszkowej (t.I, r. VI)

*na drodze ściśniętej pomiędzy płotami dwóch zagród ukazała się para ludzi, z których jeden był małym przygarbionym starcem, w płóciennej aż do stóp zapiętej kapocie; a drugą wysoka, pleczysta dziewczyna, w różowym kaftanie z kasztanowatymi włosami*

Stosując zabieg odwrotny do tego, który przed chwilą wykonany został na dziele honetowym, otrzymuję:

*na drodze ściśniętej pomiędzy płotami dwóch zagród  
ukazała się para ludzi, z których jeden był małym \**



*przygarbionym starcem, w płóciennej aż do stóp zapiętej kapocie;  
a drugą wysoka, pleczysta dziewczyna,  
w różowym kaftanie z kasztanowatymi włosami*

\* tu musi być przerzutnia, żeby nie było wątpliwości, że chodzi o wiersz współczesny.

Następnie dodam do tego honetowskie „jak” i to co po „jaku” – czyli: „jak spóźniony wrzesień”. I tym oto prostym sposobem otrzymuję:

*na drodze ściśniętej pomiędzy płotami dwóch zagród  
ukazała się para ludzi, z których jeden był małym  
przygarbionym starcem, w płóciennej aż do stóp zapiętej kapocie;  
a drugą wysoka, pleczysta dziewczyna,  
w różowym kaftanie z kasztanowatymi włosami jak spóźniony wrzesień*

Teraz prawdopodobnie każdy zadaje sobie proste pytanie: łotdafakizdis?

Okazuje się, że teksty Honeta (te z 2000 r.) mają taką samą wartość literacką, poznawczą, poetycką, co przydługie i nudne opisy Orzeszkowej. Teksty te są relacją z dzieciństwa autora, trudno odnaleźć pewne wartości uniwersalne, jakiś wspólny mianownik. I wydaje się, że sam Honet zdaje sobie z tego sprawę. Doskonale wie, że musi coś wykombinować, by swoje relacje z okresu dorastania przerobić na wiersze – czyli sprzedać je i siebie zarazem. Dlatego właśnie Honet będzie odwoływał się do poetyki marketingu, czyli: jak-i-to-co-po-jaku.

Weźmy następny tekst: (**modlitwa o lato**)

*Błogostawię wodne ptaki, perkozy  
nurkujące w odmętach lata,  
na jeziorze Wągiel, z szyjami  
otwartymi jak berło upału*

Analogicznie jak poprzednio robimy takie coś:

*Błogostawię wodne ptaki, perkozy, nurkujące w odmętach lata, na jeziorze Wągiel, z szyjami  
otwartymi jak berło upału*

Równie analogicznie usuwamy „jak” i to, „co po jaku” – czyli: „jak berło upału” i okazuje się, że mamy kolejny opis krainy bohatyrowiczów. Oto dowód: kolejny fragment zmiksowany na wiersz:

*Jadwiga posmutniała, dziadka wpół objęta  
i ze schylonymi nad nim szerokimi plecami,  
ze spadającą na nie rozedrganą kosą,  
wprowadziła go do zagrody,  
której dom, stary ale z gankiem i czterema oknami  
zaledwie był widzialnym zza gęstwiny srebrnych topoli  
(idem)*

Fragmety te – proza Orzeszkowej i poezja Honeta z 2000 r. – pisane są w tej samej manierze, z tą różnicą, że u Orzeszkowej nie ma przerzutni i struktury formalnej właściwej

dla wiersza, oraz nie ma poetyki marketingu, czyli: „jak-i-to-co-po-jaku”, czyli tego, co wciskane jest do tekstu, by zrobić z niego na siłę wiersz. U Honeta, w 2000 r., będzie to m.in.: „*jak rejestr zakłóceń ciszy*”; „*jak preparaty epoki*”; „*jak ogród światła*” „*jak o dziecku bawiącym się w transformatorze*”; „*jak zaraza, epidemia obcinanych warkoczy*”.

W każdym przypadku Honet tworząc nowe „jak-i-to-co-po-jaku” będzie ścigał się sam z sobą, zastanawiając się czy aby wystarczająco poetycko mu wyszło, czy aby ustrzegł się sztampy, uniknął oklepanych metaforek.

Honet 2000 roku wyróżnia się na tle współczesnej poezji polskiej, ale nie dlatego, że jest oryginalny, że jego wiersze są nośnikami pewnych ważnych, może i nowych treści, ale dlatego, że odwołuje się do dawnego języka, który przywołany współcześnie, skonfrontowany np. z poetyką nonsensu Bargielskiej jest zrozumiały, klarowny a nawet można powiedzieć: estetycznie piękny. Ale owo piękno na dłuższą metę jest nudne. Pamiętam jak nauczyciel polskiego w liceum, kiedy nadeszła pora by rozprawić się z Orzeszkową powiedział: „Przeczytajcie, ale darujcie sobie te przydługie i nudne opisy przyrody”

## Roman Honet, baw się

Jednym z ważnych nurtów współczesnej poezji polskiej, jest tzw. poezja znudzonych gospodyń domowych, którą można porównać do tasiemcowych telenowel spod znaku **M jak miłość**. Główną cechą tego rodzaju poezji jest absolutny brak pretensji do narracji uniwersalnej, to znaczy wiersze są werbalizacją prozaicznego doświadczenia jednostkowego, bez żadnego przełożenia ogólnego.

Weźmy taki oto przykład: dowolny odcinek sagi rodu Mostowiaków opowiada historię jakiegoś, konkretnego dnia/sytuacji. Widzowie nie identyfikują się z postaciami, nie potrafią także odnaleźć w swoim życiu elementów rzeczywistości serialowej. Mimo to obdarzają sympatią / antypatią bohaterów tejsze sagi. Robią to dlatego, bo ten świat, w którym żyją ich sympatie i antypatie, mimo że fantastyczny, to zbudowany jest według prostych, które potrafią bezbłędnie zidentyfikować, dlatego, że są proste. Gospodynie przed telewizorami widzą kto, kogo kocha, kto zdradza, a kto nie. Kto jest dobry, a kto zły. Kapitalna prostota opisu i sytuacji, w której mózg z przynajmniej jedną fałdką na powierzchni szarej bezbłędnie się odnajdzie. Każda zatem gospodyni domowa, choćby ta najgłupsza, najbrzydsza, najgrubsza i najbardziej nieszczęśliwa staje się konsumentem. I tu nie chodzi bynajmniej o konsumpcje kolejnych dziesięciu kilogramów biszkoptów z kremem, ale o konsumpcje wytworów kultury. Z jednej strony status potencjalnej grubaski w papilotach ewoluuje, bo staje się ona adresatem dzieł, w których udział swój mają twórcy o pretensjach co najmniej szekspirowskich, z drugiej strony kultura dewaluuje, gdyż okazuje się, że upodabnia się do swego konsumenta.

Ten sam schemat serialowy rządzi poezją znudzonych gospodyń wiejskich. Ale to, co różniło te media: literaturę od filmu, to bariera ISBN. Tak się jakoś składało, że do niedawna tomiki poetyckie, w ogóle literatura leżała poza zasięgiem speców od kapitalizacji zysków, którzy nad kryterium jakościowe przedkładali proste, matematyczne kryterium ilościowe. Redaktorzy starej daty zamknięci w swoich zadymionych kanciapach wśród stert nadesłanych tekstów potrafili do tej pory bez trudu zidentyfikować dzieła poezji dla znudzonych gospodyń domowych. Odkładali je na osobne stosiki z adnotacją: makulatura.

Ale okazało się, że brudne łapska magików od zysków zadusiły starych redaktorów naczelnych. A nowi, którzy zajęli ciepłe jeszcze krzesła w zadymionych kanciapach, przybyli uzbrojeni w odświeżacze powietrza, dezodornaty adidasa, w laptopy, w stalowe garnitury i lakierki, oraz w łby nabite sieczką, którą nazywa się: wiedzą marketingową i znajomością badań rynku. Innymi słowy: nastali menadżerowie.

Głównym winowajcą, a właściwie: winowajczynią jest tu pani Rowling, która udowodniła, że na książkach można zbić fortunę większą niż angielski skarbiec monarchii. Później kolejny spektakularny sukces pana Browna sprawił, że wielu pisarzy w poszukiwaniu fortuny doszukiwało się rozmaitych kodów we wszystkim.

Poeci polscy wnet się opamiętali. Co bardziej przebiegli olali natchnienie, czarne pelerynki i natychmiast ruszyli w prozę, tu szukając swojego złotego jaja. Jaja oczywiście nie znaleźli, bo proza okazała się sztuką bardziej wymagającą niż pisanie kilku wersów czy strof. Ale nawet wówczas iesbeenowska poezja była jakby poza zasięgiem. Któż bowiem kupuje tomiki? Wydaje się je w maksymalnych nakładach po 500 egz., z czego autor dostaje 250 egzemplarzy autorskich i sam musi się martwić dystrybucją. Ale ile tomików można dać

mamie, tacie, bratu? Paliło się to zatem w kominkach, w ogniskach przy flaszcze wódki, narzekając na biedę, na niesprawiedliwość dziejową i na niezrozumienie. Tak było do roku 2008, do czasu wydania pierwszego tomu poezji dla znudzonych gospodyń domowych, pt. *baw się Romana Honeta*.

Wiersze baz żadnych ambicji, które można zarówno czytać jak i przeglądać bez strat na znaczeniu. Zbudowane tak, by każdy wers rozczulał. Dla przykładu: „*skrzywienie śniegu pod butami dzieci / powracających z rorat i roześmianych, / bo spodobały się tej nocy bogu*” – czy to nie rozczulający fragment? Brakuje tu jeszcze czerwonych od mrozów nosów i policzków, ale te obrazy bez trudu skonstruuje gospodynie domowe samodzielnie, tu Honet zostawia paniom po dżentelmeńsku pole do popisu.

Inny efekt osiąga Honet dzięki częstemu użyciu, a właściwie masowemu atakowi czytelnika zaimkiem „mój” (np. w **drzwiach dzieciennego pokoju** zaimek ten pojawi się 7 x 18 wersów). Dzięki temu technicznemu zabiegowi, Honet zbliża się do swoich pulchnych, samotnych czytelniczek. Redukuje dystans dzielący go – jako autora, od pani, której po lekturze ciekną łzy po tłustych policzkach by zatrzymać się w okolicy wąsa. Bo która z zaniedbanych i nie dopieszczonych gospodyń domowych powstrzyma łzy, gdy przeczyta:

„*moje ty piękne utrapienie w latach, / i twoje usta i oczy takie same były jak wczoraj, / i jedynie brzeg sukni miałaś / osmalony. na ziemi /*” (**propercjusz w grudniu**).

Po takich fragmentach jezioro słonych wód w mieszkaniu sięga kostek. Jeżeli jednak znalazłaby się wśród czytelniczek bardziej wymagająca niewiasta, która obyta z codziennym brakiem uczuć ze strony męża żąda bardziej intymnych deklaracji, Honet także nie zawiedzie. Napisze: „*tak mi się wydawało – noc / zmieniająca się w bryłę żaru, / znowu pukanie do drzwi, podróże, / gałęzie bzu sterczące ponad głowami. / tak mi się wydawało: że trzymam ją w oczach, taką samą jak wtedy, odbitą. / jak jest w oczach? – spytałem. / zimno – odpowiedziała.*” (**zimno**)

W tej chwili, nawet najbardziej wyposzczone serce znudzonej gospodyni domowej, odwykłe od uczuć, wykrzyknie: „*Bierz mnie tu Leonsjo! Tu na stole! Między talerzami! Zerwij majty i weź jak sukę od tyłca!!*”.

*baw się Romana Honeta* jest tomikiem granicznym. Dzieli on epokę poezji poetów, od poezji marketingowców, której celem jest przeniknięcie do świadomości i zaspokojenie czytelnika masowego. Ten koniunkturalizm ma jednak w sobie coś pozytywnego. Łatwo sobie wyobrazić taką oto sytuację, że rozjuszone gospodynie domowe, żądne kolejnych rozczulających wersów, którymi wspomagałyby swoją wyobraźnię w trakcie codziennych zabaw z clitorisem, wpadną do EMPIKU i przez pomyłkę kupią tomik poezji poetów.

## Andrzej Sosnowski, Po tęczy

Na początek, zamiast wstępu ale za to w promocji i zupełnie za darmo przepis na wiersz a'la Andrzej Sosnowski

### Składniki:

I) 3 tom *Historii Filozofii*, Tatarkiewicza.

II) kilka słów po angielsku – może być też jakieś śmieszne zdanko: *cat, pussy, doll, big chicken without wings*

III) kilka słów po niemiecku – tu może być także jakieś zdanko – *die weltanschauungskritik hat heute gar nichts zu tun, zeit, sonne, blume.*

IV) literalny zapis pierwszego lepszego zdarzenia, którego było się świadkiem tuż po przebudzeniu np. „*Kiedy wstałem z łóżka, poszedłem prosto do kuchni, by sobie przygotować kromkę chleba z pasztetem. Obok lodówki na ścianie zobaczyłem karalucha. Chciałem go pacnąć laczkiem, ale uciekł a mi się nie chciało przesuwać lodówki. O poranku jestem jeszcze zaspany i jakoś brak mi sił. Od kiedy wprowadziłem się do mieszkania obok zsypu mam ciągły problem z karaluchami. Muszę to komuś zgłosić.*”

### Sposób przygotowania.

3 tom Tatarkiewicza otwórz skorowidz rzeczowy (na końcu tomu). Wybierz 2 dowolne uczone pojęcia (2 na 1 wiersz – nie więcej!). Ja dla przykładu wezmę dwa pierwsze: *absolut, abstrakcja* (wyd. z 1978 r.)

Następnie weź literalny zapis pierwszego lepszego zdarzenia i wstaw do niego, w dowolne miejsca wynotowane wcześniej uczone słowa. Ja wstawię na początku i na końcu. Czyli:

*Absolut. Kiedy wstałem z łóżka, poszedłem prosto do kuchni, by sobie przygotować kromkę chleba z pasztetem. Obok lodówki na ścianie zobaczyłem karalucha. Chciałem go pacnąć laczkiem, ale uciekł a mi się nie chciało przesuwać lodówki. O poranku jestem jeszcze zaspany i jakoś brak mi sił. Od kiedy wprowadziłem się do mieszkania obok zsypu mam ciągły problem z karaluchami. Muszę to komuś zgłosić. Abstrakcja.*

Następnie do powstałego tekstu wprowadź słowa i zdania niemiecko-angielskie (tu także masz wolną rękę). Ja zrobiłem to tak:

*Absolut. big chicken without wings. Kiedy wstałem z łóżka, poszedłem prosto do kuchni, by sobie przygotować kromkę chleba z pasztetem. Obok lodówki na ścianie zobaczyłem karalucha. Chciałem go pacnąć laczkiem, ale uciekł a mi się nie chciało przesuwać lodówki. O poranku jestem jeszcze zaspany i jakoś brak mi sił. Od kiedy wprowadziłem się do mieszkania obok zsypu mam ciągły problem z karaluchami. die weltanschauungskritik hat heute gar nichts zu tun. Muszę to komuś zgłosić. cat, pussy, doll Abstrakcja. zeit, sonne, blume.*

W zasadzie wiersz już jest gotowy, już w tej chwili po przeczytaniu, Jacek Gutorow może napisać o tym tekście, że „*Ta poezja dzieje się na naszych oczach - warto docenić wyjątkowość tego zdarzenia*” (cyt. za GW, 2008-05-15). Ale jeżeli jesteś ambitny i chciałbyś pokombinować to masz teraz szerokie pole do popisu.

Treść jest dana jak na dłoni, teraz można to dowolnie poukładać. Pamiętaj, że szanujący się krytyk literacki, będzie koncentrował się na formie, gdy nie dostrzeże żadnej istotnej treści w tekście. Dlatego forma w tym przypadku odgrywa niebagatelną rolę!

### **Zatem:**

Pomysł pierwszy i ostatni:

*Absolut. big chicken without wings. Kiedy  
wstałem z łóżka, poszedłem prosto  
do kuchni, by sobie przygotować kromkę chleba z pasztetem.*

*OboK  
lOdówki  
Na ścianie  
zobaczyłem karalucha.  
Chciałem go pacnąć laczkiem,*

*ale uciekł a mi się nie chciało  
przesuwać lodówkę. O poranku  
jestem jeszcze zaspany i jakoś brak mi sił.  
Od kiedy wprowadziłem się do mieszkania*

*obok zsypu mam ciągły problem z karaluchami.  
die weltanschauungskritik hat heute gar nichts zu tun.  
Muszę to komuś zgłosić.*

*cat, pussy, doll Abstrakcja. zeit, sonne, blume.*

[pragnę zwrócić uwagę na potencjalną wielość interpretacji drugiej strofki!]

Podany przepis na wiersz a'la Andrzej Sosnowski skonstruowany został na podstawie tomiku *Po tęczy*.

Właściwie trudno w tym tomiku dostrzec coś więcej aniżeli rozwodniony pic, do którego produkcji czuje się zobligowany uznany poeta. Sosnowski jest jednak zbyt inteligentny by nie dostrzec braku pomysłu na tomik. Ale ta sama inteligencja, która podpowiada mu, że nie ma pomysłu, stworzy sama ów pomysł. Sosnowski zatem przerobi Pawła i Gawała na autorskie Mihi i Tibi (i napisze kilka wierszyków), rozmnoży niczym Chrystus, Flauberta (czym zapełni kilka stron w tomiku. I tu się dziwię poetom polskim. Niemal każdy z nich ma jakąś dziwne przekonanie, że książeczka poetycka musi mieć min. 40 str. Przypomina to nawyk studentów polonistyki – i nie tylko – że magisterkę piszę się na „trzy palce” grubości z bibliografią), wymyśli po drodze kilka dziwolągów-neologizmów na miarę mumiowskiego:

czasowstrzymywacza. U Sosnowskiego są to: „Samotwóóóóó. Czasowtwóóóóó” – swoją drogą chciałbym przeczytać, co Gutorow i inni mędracy od krytyki literackiej, napiszą o tym dziwolągu Sosnowskiego. Oczywiście, gdyby autorem tego precudownego potworka był Iksiński, natychmiast by go wyśmiano. Ale przecież „Samotwóóóóó. Czasowtwóóóóó” to nie byle wytwór byle kogo! Lecz „wytwóóóóó” samego Sosnowskiego! I to nie byle Sosnowskiego z książki telefonicznej, ale tego właśnie, tego a nie innego Sosnowskiego Andrzeja, TEGO!

I tu po raz kolejny objawia się inteligencja Andrzeja „TEGO” Sosnowskiego, urodzonego 29 maja, 1959 r., w Warszawie. Podobnie jak Dieter Bohlen, Sosnowski wie, że jego nazwisko stało się wytrychem, pewnym logo, który umożliwi mu przemycenie nawet największego kitu do świata kultury. On jako Autor nie musi się troszczyć o sens, o to, co ma do powiedzenia w wierszach, bo nawet jeżeli nie będzie miał nic do powiedzenia, jeżeli jego wiersze będą przypadkowym zlepkiem słów, pozbawionym sensu (dla przykładu: „*Bo pan chce tylko cmokać, konczyć i zamykać./Zuzu robi „pa pa” i idzie się rzeźbić gdzie indziej.*”; „(Sowiczku mój! a / leć, a piej!) *Daffy Duck jako Carmen Miranda.*) to na pewno znajdzie się przynajmniej 19 gutorowów, którzy będą zachwycali się ową nieudolnością (bo to przecież nie jest bezpłodność – wiersze Sosnowski pisze już na sztuki), określając ją mianem poezji, która powstaje na żywo.

Gdyby jednak żaden Gutorow się nie pojawił, Andrzej Sosnowski ma jeszcze kilka technicznych asów w rękawie, którymi na pewno się posłuży, by ukryć jałowość tekstów. Główna sztuczka, której używa w *Po tęczy* to myk z „Pawłem i Gawłem”, oraz powtórzenia tych samych wersów, całych fraz w różnych wierszach. Sosnowski odwołuje się tu do starej jak świat przypadłości ludzkiej, a mianowicie: nikt dobrowolnie nie chce wyjść na durnia. W tym przypadku żaden czytelnik nie przyzna się do tego, że nie wie o co chodzi, że nie rozumie sensu tych powtórzeń, że nie widzi sensu w bezsensie. Będzie sobie powtarzał w duchu: „o co tu chodzi?” i nie dopuści do siebie myśli: „tu o nic nie chodzi”, bo to wiersze „TEGO” a nie innego Sosnowskiego.

Na zakończenie pozwolę sobie zacytować jeden z najlepszych tekstów Andrzeja Sosnowskiego, z tomiku *Po tęczy*

*leu leu / fel ko co / ia tea noe / freeze.*

Reszta tego wybitnego tekstu, bez którego kultura śródziemnomorska jest już nie do wyobrażenia, jest wariacją na temat jednego z kawałków z płyty „Powstanie warszawskie” grupy Lao Che. „Do mnie należą tego miasta mury....”, za co należą się Sosnowskiemu wyrazy uznania.

## Krzysztof Siwczyk, zdania z treścią

Jest niedzielne popołudnie roku 2020. Karol Strasburger jak zwykle w przydługim garniturze w szklanym ekranie prowadzi kolejny odcinek „Familiady”. Opowiedział już dowcip, przywitał rywalizujące rodziny, które całe pół godziny będą się napierdalać o 10 tys. złotych polskich nowych i zadaje pierwsze pytanie głowie rodu Kowalskich, panu Andrzejowi: „Podaj imię i nazwisko polskiego poety, który zasłynął z tego, że w jednym tomiku swoich wierszy umieścił 166 znaków zapytania”.

Pan Andrzej myśli i myśli. Tak myśli, że czoło się marszczy a na skroni pojawiają się duże krople potu. Mijają sekundy, dziesiątki sekund. Ale panu Andrzejowi nic do głowy nie przychodzi. Ale nagle zaczyna coś świtać, coś jakby Słowacki, jakby Mickiewicz... I wtedy stało się to, co się zwykle dzieje. A mianowicie wtrącił się Karol ze standardowym tekstem: Minęło pierwsze piętnaście sekund. Mogą się zastanawiać Iksińscy”.

„To teraz chuj! Już nic nie wymyślę!” – zaklął w duchu pan Andrzej, spoglądając w stronę Iksińskich, których uśmiechnięte mordy świadczyły o tym, że wspólnie coś wykombinowali. Odczekał bezradnie do końca regulaminowych trzydziestu sekund i kiedy usłyszał charakterystyczny dźwięk „eeeeeeeee” palnął pierwsze lepsze nazwisko, które kojarzył z poezją:

- Tuwim.

Karol spojrział na małą karteczkę, którą trzymał w ręku, by upewnić się co do poprawności odpowiedzi, poczym odparł:

- Niestety nie. Jaka jest wasz odpowiedź? – zwrócił się do Iksińskich.

- Uważamy, że jest to Mickiewicz.

- Też nie – odpowiedział Karol – A prawidłowa odpowiedź to: Krzysztof Siwczyk. To on w swoim tomiku „Zdania z treścią”, w którym było raptem 46 wierszy, zamieścił 166 znaków zapytania. Jako ciekawostkę dodam, że Siwczyk potrafił wbić 8 znaków zapytania w 24 wersy. To był jak na owe czasy wyczyn w poezji niebywały.

*Zdania z treścią Krzysztofa Siwczyka*, byłyby jednym z milionów tomików tzw. poezji bez znaczenia i niczym by się nie wyróżniał, gdyby nie owe 166 znaków zapytania, za pomocą których autor próbował nadać znaczenie swoim tekstom. Warto jednak zaznaczyć w tym miejscu, że poetyka interrogatywna, którą lansuje Siwczyk w *Zdaniach z treścią*, polega nie na jakości pytań, ale na ich ilości. Ten akcent ilościowy przekłada się także na same pytania. Okazują się one często banalnymi, nic nie znaczącymi pytaniami, a jeżeli nawet poeta zadaje pytanie znaczące, to okazuje się, że popada w tak wyświechtany patos, który zdarza się tylko licealistkom w trakcie dyskusji o życiu.

Poeta pyta:

*Zapis brzmień byłby czymś na miarę twoich nadziei na pasjonującą relację?*

*Co mi jeszcze opowiesz?*

*Co więcej da się z tego zachować?*

*Źle rozłożyliśmy siły?*

*Festyn trwa?*

*Jesteś sama?*



W Siwczukowskiej poetyce interrogatywnej zdarzają się także pytania kompletnie bez sensu:

*Chociaż może dałoby się zorganizować jakieś igrzyska wspomnień / typu kontakt, znajomość, zażyłość i tak dalej?*

albo:

*Opis jest do duszy, stąd wiązane z nim oczekiwania?*

Poetyka interrogatywna Siwczuka ma w sobie coś atrakcyjnego, uwodzącego. Stosując się do jej prostego kanonu: „pytajnik gdziekolwiek, ale być musi”, każdy może stać się poetą. Dla przykładu:

*Asystentka w nowoczesnej firmie. Uprzejmie informujemy, że organizujemy dwudniowe szkolenie, obejmujące część teoretyczną i praktyczną (warsztaty), przeznaczone dla sekretarek, asystentek i asystentów, obejmujące wszystkie zagadnienia leżące u podstaw profesjonalizmu (źródło: **ulotka, którą dziś znalazłem w skrzynce na listy**).*

Tekst ów wg kanonów poetyki interrogatywnej należałoby zapisać tak:

*Asystentka w nowoczesnej firmie? Uprzejmie informujemy, że organizujemy dwudniowe szkolenie? obejmujące część teoretyczną i praktyczną (warsztaty), przeznaczone dla sekretarek, asystentek i asystentów, obejmujące wszystkie zagadnienia leżące u podstaw profesjonalizmu?*

Teraz należy to ładnie ułożyć, by tekst sprawiał wrażenie, że jest wierszem:

*Asystentka w nowoczesnej firmie?  
Uprzejmie informujemy, że organizujemy  
dwudniowe szkolenie? obejmujące część teoretyczną  
i praktyczną (warsztaty), przeznaczone dla sekretarek,  
  
asystentek i asystentów, obejmujące wszystkie  
zagadnienia leżące u podstaw profesjonalizmu?*

I już prawie mamy wiersz. Prawie, ponieważ brakuje jeszcze tytułu. I tu dochodzimy do kolejnej ważnej zasady poetyki interrogatywnej, mianowicie do odwrotności tytułu. To znaczy, jeżeli będziesz pisał wiersz o miłości do zwierząt, to tytuł ma wyglądać mniej więcej tak: „Nie cierpię zwierząt”. Jeżeli będziesz pisał o nieszczęśliwym dzieciństwie, to wiersz ma mieć tytuł: „szczęśliwe dzieciństwo”.

Innymi słowy, masz robić tak jak zrobił to Krzysztof Siwczuk w *Zdaniach z treścią*. W prezentowanym przykładzie odwrotny tytuł mógłby wyglądać tak:

### **nie informujemy**

*Asystentka w nowoczesnej firmie?  
Uprzejmie informujemy, że organizujemy  
dwudniowe szkolenie? obejmujące część teoretyczną  
i praktyczną (warsztaty), przeznaczone dla sekretarek,*

*asystentek i asystentów, obejmujące wszystkie zagadnienia leżące u podstaw profesjonalizmu?*

Nawiązując jeszcze do jakości pytań, które zadaje Krzysztof Siwczyk w tomiku: *Zdania z treścią*. Otóż samo pytanie jako takie zmusza do myślenia, ale u Siwczyka jest inaczej. Otóż czytelnik może nie za pierwszym razem, ale na pewno po drugiej lekturze zorientuje się, że ten nawał pytań, to jedyny sposób znany Siwczycowi, by przemycić pewne treści, których nasłuchał się na kursie wstępu do filozofii. Jest to konieczne, ponieważ Siwczyk jako poeta jest impotentem, dlatego będzie szukał źródeł inspiracji w dziejach myśli filozoficznej i przemycił je dzięki znakom zapytania. Wówczas jego wiersze będą jawiły się jako mądre, wszak tyle pytań i na wszystkie z nich kulturalny czytelnik będzie szukał odpowiedzi. 166 odpowiedzi na 166 pytań. Dla przykładu:

*Kiedy z obserwatora stałem się uczestnikiem?  
Systematyzacja naszego kosmosu zasadniczo polegałaby  
na wyznaczeniu granic między ignorancją a uzależnieniem.  
Niežnośna analiza mogłaby przerodzić się w karnawał licytacji.  
To ja pierwszy, to ty pierwsza, ja bardziej, ty bardziej i w ten deseń.  
Niedopowiedzenia nie tchną w nic ducha, lecz wzmagają astmę sentymentu chorzy.*  
(s.22)

Student drugiego roku filozofii powinien bezbłędnie zidentyfikować inspiracje, a ci bardziej uważni nawet wskazać strony w 3 tomie Tatarkiewicza (ah! Ten Tatarkiewicz, jaki on popularny wśród poetów. Najpierw Sosnowski, teraz Siwczyk...), z których garściami czerpie Siwczyk w tej strofice. Najczystszy, najprostszy i jakże jałowy naiwny eklektyzm.

## Justyna Radczyńska, Nawet

W tym tygodniu kolejny gratisowy przepis nie tyle na wiersz, ale na cały tomik wierszy dla tych wszystkich, którym kiedykolwiek zamarzy się zostać współczesnym poetą polskim. Oto przepis:

### Składniki:

**I)** Dowolny fragment z podręcznika do biologii (Dowolny, za wyjątkiem stopki redakcyjnej – bo wówczas wiersz się nie uda. Może być też z google, bo jak wiadomo google, to istotne źródło wiedzy współczesnego wieszca polskiego)

### Na przykład:

*Mitoza - proces podziału komórki, któremu towarzyszy precyzyjne rozdzielenie chromosomów do dwóch komórek potomnych. W jego wyniku powstają komórki, które dysponują materiałem genetycznym identycznym z komórką rodzicielską. Jest to najważniejsza z różnic między mitozą a mejozą. Podziały mitotyczne zachodzą w diploidalnych komórkach somatycznych i w ich rezultacie powstają inne diploidalne komórki somatyczne oraz w haploidalnych komórkach, w wyniku czego powstają inne komórki haploidalne. Podziały mitotyczne są procesem nieustannie zachodzącym w organizmie, prowadzącym do jego wzrostu i regeneracji. (źródło: wikipedia)*

**II)** Jakieś śmieszne zdanie – najlepiej złożone, które jednocześnie będzie bez sensu (jedno powinno wystarczyć, ale na początek najlepiej zacząć od dwóch. Nowicjuszm w dziedzinie poezji zaleca się próby raczej na trzech do pięciu zdań. Wówczas jest łatwiej sklecić tomik poetycki)

.

### Na przykład:

*Superata spadła na srom skwapliwie do dwu policzywszy od nowa, gdyż bez partykuł trudno przeżyć w każdych warunkach, pod warunkiem, że są one do wyobrażenia.*

**III)** Powszechnie używane powiedzenie. Najlepiej kilka.

### Na przykład:

*Pieniądze szczęścia nie dają. ; Jak grom z jasnego nieba.*

**IV)** Motto – czyli jakiś kawałek tekstu, najlepiej żeby był w obcym języku.. Może być to nagłówek / stopka rachunku z chińskiej pralni. To nie ma żadnego znaczenia. Ważne, żeby motto było.

Na przykład: ( instrukcja obsługi kamery web po włosku:)

*installare il software prima di collegare la webcam. Inserire il CD del software Labtec nell'apposita unita. Quando viene visualizzata la schemata iniziale, fare clic sull'apposito pulsante per avviare l'installazione del driver del dispositivo.*

*LABTEC, Getting Started Guide,*

### **Sposób przygotowania:**

Z fragmentu podręcznika do biologii wynotuj słowa kluczowe. W moim przypadku będzie to:

*proces podziału komórki, rozdzielenie chromosomów, komórki potomne, materiał genetyczny, komórka rodzicielska mejoza, podział mitotyczny, diploidalne komórki somatyczne, haploidalne komórki, organizm, wzrost, regeneracja.*

Następnie do wcześniej przygotowanego zdania bez sensu dodawaj pomału kolejne słowa kluczowe w różnych odmianach. Nie musisz umieścić wszystkich pojęć w jednym wierszyku, pamiętaj, że twoje pojęcia kluczowe wystarczą tobie na cały tomik, ba! A kto wie, może do końca twojej drogi jako wieszczka polskiego.

### **UWAGA:**

tutaj można pozwolić sobie na absolutną dowolność. Ten właśnie etap czeladniczej roboty jako poeta jest uwolniony z reguł przepisu. Innymi słowy: tu możesz zaszaleć, dać się ponieść poetyckiej, polskiej weni w przydługich majtach.

Na przykład:

*Superata spadła na srom mitotycznie  
skwapliwie do dwu policzywszy komórki  
chromosomów od nowa,*

*gdyż bez partykuł trudno przeżyć organizmowi  
w każdych warunkach wzrostu i regeneracji  
pod warunkiem, że są one rodzicielskie  
do wyobrażenia haploidalnego.*

Jak widzisz, już mamy dwa fajne wersy, które trudno zrozumieć – ale nie przejmuj się zrozumieniem, ono jest kwestią interpretacji. Ty, jako poeta polski, masz pisać wiersze a nie zajmować się semantyką.

Teraz musisz trochę pokombinować ze znanymi powiedzeniami polskimi. Pokombinować, czyli zrobić, to co potrafisz najlepiej: usiądź przy biurku, zapal lampkę, wyjmij czystą karteczkę A4, ołówceczek i czyn swoją powinność.

### **Na przykład:**

*pieniądze szczęścia nie dają  
jak grom z jasnego nieba*

*szczęście spada nieba  
i żaden pieniądz tu nie pomoże  
pogrom.*

Następnie, to co otrzymaliśmy wstawiamy do tekstu głównego:

*Superata spadła na srom mitotycznie  
skwapliwie do dwu policzywszy komórki  
chromosomów od nowa. pieniądze szczęścia nie dają*

*gdyż bez partykuł trudno przeżyć organizmowi  
jak grom z jasnego nieba w każdych warunkach wzrostu i regeneracji  
pod warunkiem, że są one rodzicielskie  
do wyobrażenia haploidalnego. szczęście spada nieba  
i żaden pieniądz tu nie pomoże  
pogrom.*

Teraz dodajemy motto. Czyli z obcojęzycznego tekstu, wycinamy dowolne zdanie:

*Quando viene visualizzata la schemata  
LABTEC, Getting Started Guide,*

*Superata spadła na srom mitotycznie  
skwapliwie do dwu policzywszy komórki  
chromosomów od nowa. pieniądze szczęścia nie dają*

*gdyż bez partykuł trudno przeżyć organizmowi  
jak grom z jasnego nieba w każdych warunkach wzrostu i regeneracji  
pod warunkiem, że są one rodzicielskie  
do wyobrażenia haploidalnego. szczęście spada nieba  
i żaden pieniądz tu nie pomoże  
pogrom.*

Oczywiście nie może się obejść bez tytułu. Tu nie trzeba być ani twórczym, ani odtwórczym. Sięgasz po pierwsze słowo kluczowe i oto tytuł: **mitoza**.

Gotowy wiersz będzie wyglądał tak:

### **Mitoza**

*Quando viene visualizzata la schemata  
LABTEC, Getting Started Guide,*

*Superata spadła na srom mitotycznie  
skwapliwie do dwu policzywszy komórki  
chromosomów od nowa. pieniądze szczęścia nie dają*

*gdyż bez partykuł trudno przeżyć organizmowi  
jak grom z jasnego nieba w każdych warunkach wzrostu i regeneracji  
pod warunkiem, że są one rodzicielskie  
do wyobrażenia haploidalnego. szczęście spada nieba  
i żaden pieniądz tu nie pomoże  
pogrom.*

Oczywiście, żeby nadać mu znamion tzw. wiersza profesjonalnego, mógłbyś się pobawić w liczenie zgłosek, i bardziej poszatkować tekst tak, żeby nikt nie zarzucił tobie braków warsztatowych. Ale osobiście odradzam wszelkie nadmierne staranie o ład formalny w tekście. Pamiętaj, że takim chaosem, słabą strukturą formalną, zawsze będziesz mógł tłumaczyć swoje roztargnienie wieszczowskie.

Podany przepis na cały tomik poetycki został skonstruowany w oparciu o dzieło **Justyny Radczyńskiej**, pt. *Nawet*, które już zdążyło zapisać w świadomości jako takie, które „nie są obciążone refleksją”. Trudno się z tym nie zgodzić. Wiersze wchodzące w skład tomiku *Nawet* Radczyńskiej, to po prostu wiersze głupie, w których główną rolę odgrywają pojęcia kluczowe z podręcznika biologii dla LO. Zresztą trudno oprzeć się wrażeniu, że Radczyńska szuka innego odbiorcy dla swoich tekstów, niż licealiści, przygotowujący się do matury pisemnej z biologii. W wierszu: **na nic już parzydelka** czytamy:

*Obok przezroczysta ryba obryzga  
kamień nieświadoma, że prześwituje jej  
kręgosłup i że przez niego skończy swą  
piękną młodość na długo przed  
starością w gąszczu  
prawdopodobieństwa repliką  
zaskakującego finału*

Tu Radczyńska ujawnia swoją przerzutniową intuicję, która może być porównywalna jakościowo tylko z poetyką entryzacji Appa, ale nie tylko. Ten fragment wydaje się, że został z rozmysłem przygotowany dla tych maturzystów, którzy mają trudności z opanowaniem materiału z zakresu rytuałów godowych ryb raf koralowych. Cytowany fragment to świetny kawałek o przeznaczeniu mnemotechnicznym, za który należą się Justynie Radczyńskiej wyrazy uznania.

W większości tekstów składających się na tomik *Nawet* Justyny Radczyńskiej, czytelnik odnajdzie jeszcze więcej takich ćwiczeń pamięciowych, ułatwiających zapamiętanie pewnych kategorii z zakresu nauk przyrodniczych. Justyna Radczyńska czerpie pełnymi garściami nowe motywy poetyckie ze królestwa zwierząt. Czytelnik będzie miał w końcu możliwość dowiedzieć się: „Czy *łęgowe rozzele królewskie, które już gniazdowały / mogą być bezpłodne z powodu otyłości?*” (**trwale problematy**). Pozna tajemnice ziół i dowie się: „*jakie liście pomagają na papierosy*” (**RS.**), dowie się, że: „*ośmiornice gnieźdzą się w piachu*” („**Dla R.W. i D.**) albo też będzie świadkiem przygód „*pożądliwego małża w macicy z pereł*” (**z dziennika błędów**). W międzyczasie wieszczka Radczyńska napisze historię o rybce i o tym, jak zdycha ona sobie beztrąsko, oraz jak na polską poetkę przystało: Justyna Radczyńska wieszczyc będzie tajemniczo, jak na wieszczka przystało, ażeby maturzyści nie mieli zbyt łatwo. Oto przykład:

*boimka firletka lulecznica rzeńśl  
zaraza tajeża stuchlina szczeń bażyna  
choina gwiazdnica klon honkenia  
salwinia ognicha  
(**aster gawędka**)*

Nie chodzi o to, że do dziś uważałem, że „szczęść” oznacza w pewnej gwarze pewną procedurę związaną z potrzebami fizjologicznymi, ale o to, że znalazła się na tym świecie istota, która była w stanie dostrzec niebywałą głębię tego tekstu i zgodziła się to wydrukować. Aż trudno oprzeć się pokusie, by z moich słów kluczowych (tych od mitozy) ułożyć analogiczny tekst. Zatem nie będę się dłużej opierał:

### **mitotyczny hiphop**

*proces podziału komórki  
rozdzielenie chromosomów  
komórki potomne,*

*materiał genetyczny  
komórka rodzicielska  
mejoza, podział mitotyczny,  
diploidalne*

*komórki somatyczne,  
haploidalne komórki,  
organizm, wzrost,  
regeneracja*

Wspaniałe! I kolejny wiersz na tomik.

Ale wracając do Justyny Radczyńskiej i jej tomiku Nawet. W pewnym momencie każdy czytelnik zada sobie pytanie, dlaczego Radczyńska eksploatuje biologię, a nie na przykład matematykę. Łatwo sobie wyobrazić analogiczne dzieła, które tworzy ale przeznaczone nie dla licealistów przygotowujących się do matury z biologii, ale do tych, którzy wybrali matematykę. Na to pytanie odpowiada sama poeta, w sławnym wierszu pt. **25 wersów z okazji**. Okazuje się, że w tekście jest wersów **26** – o jeden więcej. I to zdaje się tłumaczyć, dlaczego Justyna Radczyńska stroni od matematyki.

## **Agnieszka Kuciak, retardacja**

### **Jak podała PAP:**

*Najnowszy konkurs ogłoszony przez watykańską **Congregatio pro Doctrina Fidei**, na nowy opis **JEGO** z uwzględnieniem różnych grup zawodowych zakończył się zwycięstwem polskiej poetki. Watykan zamierzał zmodernizować nie tylko doktrynę, ale i rozumienie wszechmocy Wszechmogącego oraz jego istoty jako **JEGO**. Zainteresowanie konkursem przerosło oczekiwania organizatorów. Konkurs cieszył się szczególnym zainteresowaniem wśród polskich poetów współczesnych. Nie powinno to dziwić, wszak Polacy to Polacy a nie Francuzi.*

*Wśród nadesłanych pracy wyróżniono następujące nowe deskrypcje **JEGO** i w tajnym głosowaniu zdecydowano się je upowszechnić oraz włączyć do nowej edycji Katechizmu:*

### **ON dla szwaczek:**

*„Panie. Ty jesteś / nicią, która zszywa wszystko”*

### **ON dla murarzy-nihilistów:**

*„W Tobie się / kończy całe to szukanie całego w dziurze i / wnikliwa nicość”*

### **ON dla obsługi wozu asenizacyjnego:**

*„Więc dobrze, skoro stworzył je [tj. życie – przyp. M.T.] w ogrodzie / Pan, który nosił je do śmierci w smrodzie”*

### **ON dla zawiadowców PKP z instrukcją o tym, co mówić na konferencji prasowej o katastrofie kolejowej, Monice Olejnik:**

*„Źle stoją sprawy w Sądzie. Zawiadamiam, / że trzeba mieć sumienie. Pomsta Pana / jest tuż. Ja streszczam się, bo świat się kończy”*

### **ON dla nawróconych na katolicyzm filozofów języka z Chin, którzy nie znają jeszcze osiągnięć Szkoły Lwowsko-Warszawskiej:**

*„Przecież, Panie, szkoda / Słów! Człowiek lubi ciuć jakies wersy, / Cieszyć się nimi”*

### **ON dla przewodników:**

*„Co jednak idzie za tym, to Bóg raczy wiedzieć”*

### **ON dla pracowników PGNiG, którzy zasypiają do pracy:**

*„Głęboko spali. Uniósł im powieki / dopiero blask bijący z Jego twarzy.”*

### **ON dla strajkujących nauczycieli, ale nie tych tylko innych (cokolwiek to znaczy):**



„stał Nauczyciel, ale przecież inny od tej osoby, którą ukochali”

**ON dla przewodniczących NSZZ Solidarność, w zakładzie pracy chronionej, w którym zatrudnieni zostali tylko głuchoniemi z Afryki, co to polskiego jeszcze dobrze nie umieć:**

„Już nie słyszeć Głosu”

**ON dla samotnych pracowników budżetówki, którzy o poranku oddają się oczyszczającemu rytuałowi samozadowolenia, konfrontując w całkowitym odosobnieniu własne ja z idealnym wyobrażeniem przedmiotu miłości o charakterze inteliegibillnym:**

„Leży z nimi pod całunem, poraniony, / chociaż pokój jest od środka zakluczony”

**ON dla tych, co to się manier jeszcze nie nauczyli i w restauracjach jedzą schabowego bez użycia noża, w międzyczasie siorbiąc:**

„Siorbiesz, kolego, Boże, jaki wstyd. Zawsze / zostają złe ziemskie nawyki”

Jak się okazało autorką wszystkich nowych deskrypcji STWÓRCY jest wybitna polska poetka współczesna: **Agnieszka Kuciak**. Z tomiku **retardacja**, uczeni z Watykanu wyłonili powyższe opisy, które mają wprowadzić duchowość katolicką w nowe milenium.

Nieoficjalnie wiadomo jednak, że *Congregatio* nie było jednomyślne. Kardynał Simplicio Besserkansein miał zgłosić votum separatum. Miał on odczytać blasfemiczną deskrypcję JEGO w ostatnim wierszu z tomu *retardacja* – a mianowicie, miał być to zakamuflowany przez polską poetkę:

### **ON pro populi**

– przejawiający się w „końcu *epoki konia walonego*”, który wieszczą Agnieszka Kuciak (**Trzy po trzy**). Kard. Simplicio Besserkansein dowodzi także, że w ramach teologii zbudowanej na „**ON pro populi**” scholastyczna debata nie będzie dotyczyła ilości aniołów na czubku igły, ale tego – i tu miał Besserkansein zacytować Agnieszkę Kuciak: „*Jakie wydaje tony bąk puszczone?*”

**PAP konkluduje: Naród się cieszy, ON też, i nawet ciocia Halinka, że mamy takich pięknych, wybitnych, wierzących po katolicku poetów.**

## Radosław Wiśniewski, *albedo*

Oprócz nowych poetyk, polscy poeci współcześni tworzą nowe definicje pojęć o ustalonym do tej pory znaczeniu. Nie chodzi tu bynajmniej o redefiniowanie kategorii o charakterze metafizycznym – czyli o odwieczny spór poetów z bogami różnej maści – ale rzeczy zwykłe.

Weźmy taki oto przykład – dzięcioł. Co to jest dzięcioł? Dzięcioł, to taki ptak, który wali łbem w pień drzewa (te głupsze próbują robić dziuple w betonowych słupach). Niby sprawa prosta, ale jednak nie dla współczesnych poetów polskich. Niejaki **Radosław Wiśniewski** w tomie *albedo*, skonstruował następującą definicję tego szlachetnego ptaka:

*„dzięcioły pracowici cieśle czasu, drażący skomplikowane / klepsydry w tężejących pniach.”*  
(**albedo. Ścieżka tropiciela**).

Ten sam poeta, w tym samym tomiku, równie nowatorsko zmieni semantykę rzeczownika „słońce”. Otóż po pierwsze: nazwie je z hiszpańska „el sol” a po drugie: słońce jako el sol nie świeci, lecz:

*„el sol wyciąga ręce przez soczewkę atlantyku i z obojętnością doskonałą jak / tuska jaszczurki, łapie za włosy cień konsula”*  
(**In absentia...**)

Od tzw. przełomu patijangowskiego „jaszczurka” jest mocno eksploatowanym motywem w sztuce nadwiślanej. Ten wyjątkowy powrót do motywów z malunków na ścianach jaskiń, w którym pojawiły się te gady w towarzystwie wielkich bizonów, jest nowym trendem, który miejmy nadzieję rozwinie się w światowy nurt jaszczurczyzmu.

Jednak Radosław Wiśniewski nie jest nowym encyklopedystą. Wiśniewski jak na prawdziwego poetę-wieszczę o rodowodzie polskim przystało, jest twórcą nowej poetyki – a dokładniej: „poetyki dziwnych zdań”. Jakie są główne zasady tego sposobu pisania wierszy po polsku? Tego nie zdradza wprost poeta, ale aksjomaty nowej poetyki pozwalają się wyabstrahować z programowego tomiku: *albedo*

### Poetyka dziwnych zdań Radosława Wiśniewskiego:

#### Zasady:

##### 1) *Pisz jak wieszcz.*

- czyli staraj się wpadać w lekki patos wieszczę-wróżbity. Używaj jak najczęściej trybu oznajmującego. Choćbyś miał opisywać proces gotowania kartofli na gazie, to staraj się to przedstawiać w taki sposób, jakby piana, która powstaje podczas wrzenia gotowanych kartofli, miała zawierać w sobie tajemnicę stworzenia. Na przykład:

*wrzyjcie kartofle. wrzyjcie a wyjcie mówcie mi  
o dziejach przyszłych, czasach dawnych, herosach padłych  
kartofle wrzyjcie a wyjcie mi, wrzyjcie*

2) *Twórz zawsze dziwne zdania, ale staraj się zachować pozór sensu.*

Wiśniewski: „*wbijasz palce w adwentowe chmury nad węzowiskiem asfaltu*” (**Jurodiwyj wraca do nikogo**)

Jeżeli nie chcesz wbijać palców w chmury adwentowe, jakby to chciał poeta, to możesz sobie palce wsadzić tam, gdzie się go zwykle wkłada zbrojnego w papier, między godziną 7.30-9.00 rano. I napisać o tym tak:

„*wbijasz w rectalne otwory palce w papierowej zbroi nad bielą cersanitu*”

Takie piękne, sensowne ale jakże dziwne zdanie w sam raz pasuje do poetyki dziwnych zdań Radosława Wiśniewskiego. Ale przecież nie o palce się tu rozchodzi. Dziwne zdania można ułożyć niemalże o wszystkim jak naucza poeta Wiśniewski. Oto kilka przykładów:

„*zaszyty podwójnym ścięciem habitów nastuchujesz pieśni psów pana*” (**Armagedon**)

(W wolnym tłumaczeniu na polski – czyli po procesie oddziwnienia, zdanie to brzmiałoby: „*dominikanie modlą się często*”)

„*za ich plecami dziadyga chłozcze odrę wędką po grzbiecie*” (**Ktoś z przydomkiem...**)  
(Po oddziwnieniu: „*a inni łowili ryby w Odrze*”)

„*i gdzie tak pełtasz po hali głuchaczki, mój ty nożyku doktoranta*”  
(Po oddziwnieniu: „*na studiach doktoranckich się dużo wody chleje*”)

3) Kolejną ważną zasadą tzw. poetyki dziwnych zdań, którą lansuje w poezji Radosław Wiśniewski, jest: *ssanie sacrum*

Zasada: *ssij sacrum* pozwala się zdefiniować następująco: nieważne czy biblia, czy inna święta mitologia (może to być także mit popkulturowy: Wiśniewski w tekście „**Heatseeker...**” sięga po kultowe **Psy** z Lindą, Kondratem i Pazurą) i rób z tego śmiało wiersze.

**Na przykład:**

*Bo powiadam ci, tetragrammotonom się nie najesz ani dupy nie zatkasz niemowlęcej gdy tetry brakować będzie*

Jeżeli jesteś nazbyt wrażliwy by sięgać po motywy religijne, to sacrum wyssać możesz z podręcznika do historii. Możesz śmiało wysysać sacrum Auschwitz i holocaustu:

**Na przykład:**

*bo tam się ludzi pali. w piecach piszczel piszczy ciało wrze  
i wre także praca. Bo tam wszystko jest frei wie arbeit  
i nie ma czasu na M jak miłość. Pracować trzeba, a pot po dupie się leje.*

Radosław Wiśniewski oczywiście zrezygnuje z takiej dosłowności. Zgodnie z poetyką dziwnych zdań postara się nie tylko wyssać sacrum, ale z substancji, którą dzięki temu otrzyma stworzyć ładne, dziwne zdanie. Dla przykładu:

*„chrabąszcze metalowymi skrzydłami oraty / pola rozległe jak płaty czerpanego papieru i sypały się łuski z niebieskiej / lamperii odbijanej od powietrza, przetłaczano puste składy wzdłuż szyn / (Rubedo. Breslau. Wiosna Gauleitera)*

(Po oddziwnieniu: „*latem dużo much latało nad oświęcimską rampą*”)

albo:

*„skryształowany cyklon był równie dobry jak nawozy azotowe dla kilku / hektarów wschodniej europy” (Idioten aus Hartheim)*

(Po oddziwnieniu: „*młodzi poeci polscy gównem wiedzą i o nawozach azotowych i o cyklonie B*”)

#### 4) Dedykacja implicitna i explicitna.

Ważną zasadą poetyki dziwnych zdań jest dedykowanie kolejnych wierszy albo wprost (explicitie) albo nie wprost (implicitie) innym, koniecznie żyjącym poetom, którzy wydają swoje tomiki w wydawnictwach. Ma to niebywałe znaczenie, gdyż wiersze stworzone wg kanonów poetyki dziwnych zdań są niezrozumiałe i wymagają przede wszystkim oddziwnienia. Obowiązkiem tym najlepiej obciążyć jakiegoś poetę, by owo oddziwnienie nie było nazbyt brutalne (czyt.: prozaiczne), by zachowywało w sobie namiastkę poetyckości.

W przypadku Wiśniewskiego i jego *albedo* dedykacja explicitna adresowana jest do superdyslektyka, Dariusza Pado (wiersz: *Selekcja*), adresatem dedykacji implicitnej jest m.in. Justyna Bargielska – znana mistrzyni zdań nonsensownych. I tu Wiśniewski trafia bezbłędnie z dedykacjami.

Teraz, kiedy już poznałeś zasady poetyki dziwnych zdań Radosława Wiśniewskiego już nie stoi tobie na przeszkodzie byś i ty został poetą. Pamiętaj, by wydano twój tomik musisz tylko trafnie wybrać dedykacje. Jeżeli chciałbyś by wydrukowała ciebie kserokopia.art.pl Jarka Łukaszewicza, to zadedykuj 10 % wierszy np. Justynie Bargielskiej. Jeżeli chciałbyś, by wydało ciebie Biuro Literackie, to zadedykuj min. 10 tekstów Justynie Radczyńskiej, Jackowi Dehnelowi, Monice Mosiewicz, Jakubowi Winiarskiemu – tu masz pole do popisu. Pamiętaj! Ucz się od Wiśniewskiego – on dedykował asekurancko, na dwa fronty!

## Jakub Winiarski, recenzje, omówienia

Chcesz pisać recenzje jak Jakub Winiarski? Chcesz dołączyć do unikatowej na skalę światową szkoły krytyki literackiej, zwanej „bursztynem”? To muszę ci od razu powiedzieć, że nie masz żadnych szans. Prędzej nauczysz się kopać piłkę jak Ronaldo – chyba, że dostosujesz się do moich wskazówek:

1) Zapuść brodę, najlepiej o długości ok. 6 mm i w sklepie Vision-Ekspress zamów sobie okulary. Szkła weź neutralne. Pamiętaj: broda i okulary dodadzą tobie aury intelektualnej, z którą równać może się tylko aura człowieka w sobolach, z berłem w rękę i koronę na głowie. A dlaczego w Vision-Express? Bo taniej i nawet dwie pary dadzą (druga w gratisie), a póki co nie kosisz forsy za wersówki w „Fantastyce”.

Jeżeli już wyglądasz jak intelektualista, to pora byś zaczął pisać jak intelektualista. Uważaj, teraz podam tobie gotowy wzór na tekst, jako tzw. „uczona gadkę”.

A) Wynotuj sobie z google ( np. <http://encyklopedia.pwn.pl/haslo.php?old=1&id=446945>) kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt (pamiętaj, im więcej sobie takich tytułów wynotujesz i zapamiętasz, tym lepszy będzie z ciebie bursztynek wśród przedstawicieli tej jakże szacownej szkoły krytyki literackiej, do której pretendujesz) tytułów książek należących do tzw. kanonu literatury. Co to takiego kanon? Ano kanon, to kanon – czyli słowo, którego nie musisz rozumieć tylko wykuć na blachę.

B) Przygotuj sobie tzw. **Szablon Mistrza**, który będziesz traktował jak ewangelię. Zero aberracji!:

*Ta niesamowita książka złożona jest z .....[wstaw liczbę rozdziałów książki, którą recenzujesz] przykładnie napisanych opowiadań, sytuujących się na granicy prozy i poezji, jawy i snu. W pierwszym odruchu przychodzi na myśl pełne mądrości i smutku ..... [wstaw dowolną pozycję z kanonu literackiego, który sobie przygotowałeś], tutaj jakoby pożenione z metaforycznie rozwichrzonymi .....[tu także daj tytuł z listy i nie pytaj mnie co to znaczy: „jakoby pożenić z metaforycznie rozwichrzonym”], albo ..... [tu to samo]; przypomina też podszytą kabałą prozę..... [tutaj tylko nazwisko z listy] i surrealne zapiski..... [ i tu też]. Ale może skojarzyć się również z tym, co obecnie robi w literaturze..... [tu też wklej nazwisko autora ale z końca listy – jakiegoś gościa, który w odróżnieniu od anonimowego autora Gilgamesza żyje]”*

Małe ps.

**Szablon Mistrza** – czyli wzór recenzji, który powstał na podstawie tekstu Jakuba Winiarskiego opublikowanego w którymś tam z numerów „Fantastyki”, w dziale: „RECENZJE KSIĄŻEK” (nie pamiętam numeru tej „Fantastyki”, bo wyrwałem kartkę z dziełem Mistrza, a reszta poszła w kosz), poświęconego książce Agnieszki Kuciak „Animula Blandula”.

Jak to wygląda w praktyce? Weźmy taki oto przykład. Przeczytałeś *Tomka w krainie kangurów Szklarskiego* i chciałbyś się podzielić ową radosną nowiną ze światem kultury. Posługując się szablonem samego Mistrza. Piszesz zatem:

*Ta niesamowita książka złożona jest z kilkunastu przykładowie napisanych opowiadań, sytuujących się na granicy prozy i poezji, jawy i snu. W pierwszym odruchu przychodzi na myśl pełne mądrości i smutku Percewala z Walii Chrétien de Troyes, tutaj jakoby pożenione z metaforycznie rozwichrzonymi Opowieściami kanterberyjskimi Chaucera Geoffrey albo O naśladowaniu Chrystusa Tomasz a Kempis; przypomina też podszytą kabałą prozę Cellini Benvenuto i surrealne zapiski Georga Büchnera. Ale może skojarzyć się również z tym, co obecnie robi w literaturze Eduardo Mendoza.*

Taki tekst wysyłasz emailem do redakcji jakiegoś czasopisma – a tych jest sporo – i zaręczam, że żaden redaktor go nie odrzuci. Sam widzisz zresztą jak bardzo uczony tekst napisałeś. Jeżeli zechciałbyś zaryzykować, to posługując się szablonem Mistrza możesz spróbować napisać maturę pisemną z języka polskiego na poziomie basic. Potrzebujesz tylko ściąg z kanonu literatury no i – jeżeli nie zdołasz do maja 2009 r. przyswoić, także ściąg z Szablону Mistrza.

C. Oprócz niebywale użytecznego w twojej karierze recenzenta Szablónu Mistrza, będziesz potrzebował także pewnej umiejętności streszczania czasopism / książek. Jako recenzent ani się spostrzeżesz, a trzy razy dziennie pod twoim oknem będzie trąbił kurier DHL-u, przywożący 30 kilogramowe paczki z gratisami: darmowe egzemplarze wydawnicze do recenzji. I dopiero teraz zobaczysz jaka to mordęga. Sto książek dziennie do przeczytania, trzydzieści tygodników każdego tygodnia i do tego te miesięczniki. Pierwsze będziesz czytał, ale kiedy zorientujesz się, że fizycznie nie wyrabiasz poprosisz kogoś z rodziny żeby pomogli. Żeby czytali a później tobie opowiadali. Będziesz motywował ich do pracy, obiecując wieczną sławę i kilka stówek w peelenach. Ale oni cię oleją, bo oni zawsze olewają. Wówczas wpadniesz na tzw. **Pomysł Samego Mistrza**: zamiast recenzji będziesz pisał omówienia, które nie będą omówieniami ale streszczeniami.

Tutaj też przyda się tobie gotowy schemat **Pomysłu Samego Mistrza**:

„..... [tytuł pisemka]. *Na okładce* .....[opisz okładkę, by ludzie zobaczyli, że naprawdę widziałeś chociaż to pisemko]. *Wypada więc na początek pogratulować, co niniejszym czynię. Moje serdeczne gratulacje* .....[po co te gratulacje? Grzeczności nigdy za wiele – tak naucza wielki Mistrz Jakub Winiarski]. *A teraz - co w numerze. Na okładce także* .....[eh, ta okładka, o niej najłatwiej – bo okładki w odróżnieniu od spisu treści widać i nie trzeba rozrywać folii, dlatego pisz dużo o okładkach, bierz przykład z Mistrza.] *Poza* .....[imie i nazwisko pierwszego lepszego autora w omawianym pisemku] *w numerze inni poeci i poetki. M.in.:* ..... [tu podobnie, ale wynotuj kilka nazwisk], *oraz nie wiem czy nie najciekawszy w tym numerze -* ..... [uwaga, to pierwszy sąd wartościujący jako krytyka! Nie bój żaby, tu nie będzie uzasadnienia, wklej dowolne nazwisko, byle znajdowało się w omawianym numerze]. *By jednak nie było, że faworyzuję poetów, pozwolę sobie dać fragment* ..... [zacytuj coś, obojętnie co] *w którym można przeczytać m.in.:* „.....” [miedzy cudzysłów wstaw cytat, pamiętaj żeby nie był ani zbyt mały ani nazbyt duży. Małe cytat oznacza, że będziesz musiał więcej napisać od siebie by zapełnić kolumnę. Namęczysz się, a po co? Duży cytat będzie podejrzany – będą zawistnicy gadać, że nie chciało się tobie pisać i ktoś może wpaść na pomysł, że może nie potrafisz pisać i że korzystasz ze schematu]. *O tych obrazach zapomnieliśmy, ale powinniśmy je sobie przypomnieć:* “.....” [tu znowu cytat]. *Bardzo to*

*smakowite. A to dopiero początek, bo jest jeszcze .....* [i od tego miejsca możesz stosować **Schemat Samego Mistrza** od początku]”

Małe ps. II

**Schemat Samego Mistrza** został opracowany na podstawie „**Przegląd prasy. Październik 2008**” **Jakuba Winiarskiego, opublikowany na portalu nieszuflada.pl**

## 10 Tropów Mistrza

Jednym z rzadkich tekstów, z tego rodzaju, w których autor w ekshibicjonistycznym szale twórczym obnaża swój warsztat jest recenzja *tfu, tfu Macierzyńskiego*, którą Winiarski opublikował na portalu nieszuflada.pl. Ten tekst analizowany był przez różne placówki badawcze, w tym przez Centrum interpretacji i Pozatekstowych Analiz (CiiPA). Badacze zwrócili szczególną uwagę na charakter sądów wartościujących oraz ich natężenie w tak krótkiej notce. I to właśnie ośrodkowi CiiPA ludzkość zawdzięcza odkrycie pierwszego Schematu Mistrza w nauce zwanej winiarszczyzmem. Okazało się, że istnieje takich 10 różnych, tzw. **Tropów Mistrza**, takich że wprowadzając nazwisko dowolnego poety do każdego z tychże Tropów (w miejsce kropek), uzyskuje się gotową recenzję literacką.

### Oto 10 Tropów Mistrza

- 1) *„Wiersze ..... są zabawne, ironiczne, melancholijne, formalnie dopracowane, zgryźliwe, sentymentalne, łagodne, ostre, wulgarne, liryczne, i raz jeszcze zabawne.*
- 2) *„ ..... nie szuka pewników, zajmują go paradoksy, pewniki są niebezpieczne, a paradoksy dają do myślenia.”*
- 3) *„..... to zgrywus, a stworzony przez niego podmiot liryczny lubi podrażnić korę mózgową czytelnika”*
- 4) *„Poezja ..... to swoista odmiana ponowoczesnej liryki bluźnierczej, przeciwieństwo, jak myślę, liryki religijnej i dewocyjnej.”*
- 5) *„..... swobodnie wkracza w te rejony, które poeci religijni i dewocyjni obwarowali licznymi zakazami”*
- 6) *„Dla ..... nie ma tabu innego, niż tabu wiersza splaszczonego przez dogmaty. To dla poety bardzo korzystne tabu.”*
- 7) *„Wiersze..... są takie wzruszające może również z tego powodu, że są śmieszne.”*
- 8) *„Wiersze ..... są takie śmieszne może również tego powodu, że są wzruszające.”*
- 9) *„wiersze ..... są i wzruszające i śmieszne jednocześnie. „*
- 10) *„W wierszu ....., to też wg mnie zaleta niebagatelna, wszystko, co śmieszne, może się zdarzyć. „*

[**10 Tropów Mistrza**, zrekonstruowano na podstawie: **Jakub Winiarski, Poeta dowcipny po stracie (Piotr Macierzyński, "Tfu, tfu")**, [nieszouflada.pl](http://nieszouflada.pl)]

Otóż nieortodoksyjni badacze z CiiPA są zdania, że tychże **10 Tropów Mistrza**, jest dowodem na pobyt Jakuba Winiarskiego w którymś z tybetańskich klasztorów, w którym szkolił się w zakresie techniki **10 Punktów Zapalnych**. Ową unikalną sztukę walki, która polegała na uśmiercaniu wroga samym tylko spojrzeniem na odpowiednie miejsca na ciele ofiary, została przez Winiarskiego zaadoptowana dla potrzeb krytyki literackiej.

A teraz zupełnie serio – oto kolejny szablon, który może dowolnie wypełniać i wysyłać różnym redakcjom. Połącz to jeszcze z **Szablonem Mistrza**, o którym powyżej napisałem i stajesz się z dnia na dzień wybitnym krytykiem literackim. Super! Teraz i ty możesz być jak Winiarski!

### **Najważniejsze:**

Najważniejszym jednak etapem wtajemniczenia w tajniki winiarszczyzmu będzie twoja kariera w dowolnym wydawnictwie literackim. Szukasz takiego, zatrudniasz się na początku jako wolontariusz i roznosisz prasę. W międzyczasie wymyślasz sobie ksywkę – niech to będzie Kuba Piwkofski i od tej pory swoje teksty podpisujesz ksywką. Dlaczego? Bo naczelny, któremu będziesz podrzucał swoje teksty na biurko (przecież to ty roznosisz pocztę, ty decydujesz o być albo nie być literatów), nie może się skapnąć, że autorem tych recenzji (a schematy Mistrza to gwarantują) jest chłopak na posyłki w jego redakcji. Wkrótce przejmiesz wydawnictwo – wszak dowiodłeś, żeś sprytny, że masz łeb na karku. No ale głupio będzie siebie wydawać – dlatego już wiesz, jak ważna jest ksywka.

I na koniec, o czym pamiętać także musisz – ty nie masz być jak Jakób Mortkowicz, ale jak Jakub Winiarski. Żebyś czasami się nie pomylił, bo karierę szlag trafi!



## In vino vanitas

Biuro Zawsze Dziwnych Eksperymentów Tekstowych (BZDET) specjalizuje się w najdziwniejszych analizach najróżniejszych tekstów. Badacze BZDET-u znani są z tworzenia literackich precedensów. To właśnie oni poddali kabalistycznej interpretacji dwustronicową instrukcję obsługi skórzanego paska do spodni, dzięki temu dowodząc pośrednio, że dziewiętnasta centuria prorocstwa Nostradamusa dotyczy rytuału godowego zaskrońców, a nie końca epoki panowania białego człowieka.

Jednak nieśmiertelną sławę badaczom z BZDET-u przyniosło odkrycie tajnego kodu kryptopoezji.

Ostatnimi czasy odkrywanie kodu w dziełach sztuki stało się międzynarodowym trendem. Jest kod da Vinci, kod Szekspira nawet kod Matejki. Badacze z BZDET-u postanowili odkryć kod w innych dziedzinach artes. Badania nad projektem o kryptonimie: Kod Odkryj Teraz (KOT) trwały aż 24 minuty. Kiedy 1440 sekunda KOT-a dobiegała końca a badacze z BZDET-u tracili nadzieję na powtórzenie sukcesu Browna, zdarzyła się rzecz niebywała. Oto, któryś z zdesperowanych hermeneutów krzyknął: „Mistrzu pomóż!”. I nagle w jednej chwili wszystkich olśniło. Badacze spojrzeli po sobie porozumiewawczo i na trzy czte i ry mruknęli: „Winiaaaaaarski, taaaaaaaa”.

Dalszy bieg zdarzeń był łatwy do przewidzenia. Sięgnięto po kolejne – najnowsze - niebywale odkrywcze wypracowanie, sporządzone wg niezmiennego oraz niezawodnego Szablonu Mistrza i okazało się, że zawiera ono kod kryptopoezji. Ażeby ów kod odkryć, należało poddać tekst odpowiedniemu formatowaniu w popularnym edytorze tekstu.

Oto tekst po sformatowaniu:

**Jakub Winiarski, Świat prawdziwy, inny (Roman Honet, “moja”)** [opublikowane na portalu: nieszuflada.pl]

### 1.

*Czemu Chrystus (vel “jezu”), którego postać przewijała się w latach wcześniejszych w liryce Honeta dość często, stał się w “mojej” jedynie skromnym i jakby z lekka wyautowanym “widzem”? Czemu sakramentalne “amen”, jakim Honet zakończył swego czasu kilka swoich mocnych, szyderczych, a bywało, że i bluźnierczych w wymowie wierszy, zastąpione zostało innymi słowami - łagodniejszymi, mniej drapieżnymi? Nie wiem. Czemu – to znowuż ruch chyba w druga stronę, od neutralności ku wyostrzeniu obrazu - “wydmuszka” z wiersza “berlin” stała się nagle “ikoną”? Nie wiem tym bardziej. Być może Roman Honet – poeta, który już dawno uznany został za cokolwiek enigmatycznego, hermetycznego i może nawet – przez przeciwników - brnącego w ciemność lirycznego wyrazu – postanowił dowcipnie żywić enigmatyczności, hermetyzmu, ciemności i - to na pewno - niespodzianki wzmóc i podkreślić,*

*czyniąc w ten sposób wiele dla ożywienia akademickiej krytyki literackiej, z jej pasją do porównywania i wytyczania linii rozwojowych. Nie wiem. Nie mam pojęcia. Jakkolwiek by zresztą nie było: proszę się nie dać zwieść. Wiersze z trzech poetyckich książek Romana Honeta zaprezentowane pod wspólną nazwą “moja” jako wiersze z “alicji”, “pójdziesz synu do piekła” oraz tomiku “serce”, to nie tylko wznowienie trudno dziś osiągalnych tytułów pod jedną okładką, to przede wszystkim zaprezentowanie liryków i poematów Romana Honeta w nowych, częstokroć bardzo odbiegających od pierwotnych, wersjach autorskich.*

Następnie do tekstu wprowadzono tzw. **regułę CO2**. Nie chodzi tu o dwutlenek węgla, ale wyróżnienie co drugiego wersu:

Czemu Chrystus (vel “jezu”), którego postać przewijała się w **latach wcześniejszych w liryce Honeta dość często, stał się w “mojej” jedynie skromnym i jakby z lekka wyautowanym “widzem”? Czemu sakramentalne “amen”, jakim Honet zakończył swego czasu kilka swoich mocnych, szyderczych, a bywało, że i bluznierczych w wymowie wierszy, zastąpione zostało innymi słowami - łagodniejszymi, mniej drapieżnymi? Nie wiem. Czemu – to znowuż ruch chyba w drugą stronę, od neutralności ku wyostrzeniu obrazu - “wydmuszka” z wiersza “berlin” stała się nagle “ikoną”? Nie wiem tym bardziej. Być może Roman Honet – poeta, który już dawno uznany został za cokolwiek enigmatycznego, hermetycznego i może nawet – przez przeciwników - brnącego w ciemność lirycznego wyrazu – postanowił dowcipnie żywić enigmatyczności, hermetyzmu, ciemności i - to na pewno - niespodzianki wzmóc i podkreślić, **czyniąc w ten sposób wiele dla ożywienia akademickiej krytyki literackiej, z jej pasją do porównywania i wytyczania linii rozwojowych. Nie wiem. Nie mam pojęcia. Jakkolwiek by zresztą nie było: proszę się nie dać zwieść. Wiersze z trzech poetyckich książek Romana Honeta zaprezentowane pod wspólną nazwą “moja” jako wiersze z “alicji”, “pójdziesz synu do piekła” oraz tomiku “serce”, to nie tylko wznowienie trudno dziś osiągalnych tytułów pod jedną okładką, to przede wszystkim zaprezentowanie liryków i poematów Romana Honeta w nowych, częstokroć bardzo odbiegających od pierwotnych, wersjach autorskich.****

Eksperti z BZDET-u, nie tylko wynotowali wyróżnione wersy odpowiednio sformatowanego wypracowania Jakuba Winiarskiego, ale w naukowej bazie danych, które mieli do dyspozycji postanowili odszukać analogii, zapożyczeń, ewentualnych tekstów podobnych tudzież bliźniaczych. Oto co otrzymali:

/tekst A/

*Czemu Chrystus (vel “jezu”), którego postać przewijała się w “widzem”? Czemu sakramentalne “amen”, jakim Honet zakończył słowami - łagodniejszymi, mniej drapieżnymi? Nie wiem. Czemu*

*nagle “ikoną”? Nie wiem tym bardziej. Być może Roman Honet –  
przeciwników - brnącego w ciemność lirycznego wyrazu –*

/tekst A1/

*Powiedz, powiedz czemu świat twój milczy cały blady od wzruszeń  
Niczym słońce zaćmione przez księżyc czekające na chwile poruszeń ?  
Czemu, czemu pragniesz dojrzeć w oknach świata część odległą  
Niczym drzewo więdnące bez skargi czekające na deszcze z nadzieją!*

/tekst 2A/

*czyniąc w ten sposób wiele dla ożywienia akademickiej krytyki  
nie było: proszę się nie dać zwieść. Wiersze z trzech poetyckich  
tomiku “serce”, to nie tylko wznowienie trudno dziś osiągalnych  
bardzo odbiegających od pierwotnych, wersjach autorskich.*

/tekst 2A1/

*Wstań, powiedz nie jestem sam i nigdy więcej już nikt nie powie  
Sępie miłości, nie kochasz Ja, jestem panią/panem mych snów  
Moich marzeń i lęków moich straconych dni moich łez wylanych - łez...*

Hermeneuci z BZDET-u mają jeszcze problem z doszlifowaniem 2A i 2A1, ale uważają, że w dziedzinie odkrywania kodu kryptopoezji w opracowaniach klasyków polskiej krytyki literackiej osiągnęli przełom, chociaż jak sami zastrzegają: tajemnicę formatowania tekstu / szerokość marginesu prawego i lewego / zatrzymują póki co w tajemnicy. Kiedy zapytałem przewodniczącego projektu KOT, dlaczego nie chcą ujawnić parametrów, ten zdradził mi, że opracowane one zostały na podstawie „Posłowia”, które napisał Jarosław Mikołajewski do „Sprzedawców kieszonkowych lusterek” autorstwa Joanny Wajs. Więcej szczegółów nie zdradził.

## Dariusz Pado, peryferie raju

Wiersze można pisać na różne sposoby, stosując różne rodzaje poetyk. Używając techniki „zdań dziwnych”, „szatkowania prozy” czy inny z omówionych w tym miejscu zabiegów technicznych, można pisać wiersze i być poetą. Jednak w polskiej poezji jest też miejsce dla tych, co nie piszą wierszy a są poetami. Wydawać się to może na pozór rzeczą niemożliwą, a jednak. Polski Parnas Poetycki, podobnie jak każde miejsce, w którym najważniejsza jest poprawność polityczna, ma zarezerwowane miejsce dla inwalidów. Innymi słowy istnieje coś, co określa się jako parapoetyka.

Parapoetyka posiada jeden tylko warunek formalny: mianowicie wymaga, aby autor jako człowiek posiadał jakiś rodzaj ułomności psychofizycznej, a najlepiej gdyby pobierał miesięcznie zusowską rentę inwalidzką.

W ramach parapoezji – czyli w obszarze wytworów autorów-parapoetów – różnicuje się. Najlepsze wydają się dzieła tych parapoetów, którzy mają uszkodzone w jakiś sposób mózgi. Oczywiście nie jest to zjawisko nowe, kiedyś artyści świadomie oddawali się rozkoszom w najgorszych francuskich burdelach, by zarazić się syfilisem, który w epoce przedpenicylinowej prowadził do uszkodzenia mózgu. Dzisiaj trudno o takich syfilyków-artystów, a jak wiadomo: natura nie znosi próżni, więc sztuka, w tym przypadku poezja wypełniła w swych szeregach pustkę po wyleczonych syfilykach-poetach, tzw. parapoetami.

Od parapoetów, oprócz zaświadczenia o ułomności, nie wymaga się niczego. Najważniejsze jest, by pisali i wyrażali zgodę pisemnie na publikowanie w ich biogramach notki o niepełnosprawności. Warto zaznaczyć, że teksty parapoetów dopiero wówczas stają się wierszami, gdy zostaną wydane w formie albo tomików poetyckich, albo też opublikowane na forach poetyckich w dziale „wiersze”. W innym przypadku teksty parapoetów nie są możliwe do zidentyfikowania jako wiersze.

Tematyka, do której sięga parapoezja, to zdarzenia proste, zwykle to opisy motywów autobiograficznych. Podobnie jak od paraolimpijczyków, od parapoetów nie wymaga się wiele – tu się liczy idea walki z własną ułomnością!

I właśnie takim parapoetą jest dyslektyk **Dariusz Pado** (chyba nie ma takiego jego biogramu, w którym nie byłoby wzmianki o dysleksji). W swoim tomiku *Peryferie raju* Pado będzie wspominał dzieciństwo. Napisze:

*pierwsza msza śniły się dzwonek i komeżka później podlewanie bratków u dziadka Staszka z zieloną konewką z cmentarza na rynek kołem za kilo szmaty kopa jaj nasiona gwizdek i medalik dalej chowanie się w spiżarce tu stukanie w moździerz wieczorem mycie szyi czekanie aż zapyta: zgadnij co nam dziś przyniosą - chłopczyka czy dziewczynkę*

I kiedy rozzarowany takim poziomem refleksji potencjalny konsument tego tomiku zada sobie pytanie: „Kurwa, co to za gnój?”, parapoeta Pado napisze:

*przyprowadzałaś mnie do ogniska gdzie ja spalałem się ze wstydu wszystko przez podarek - dysleksję przekraczającą brzuszki zaparowującą szkła denka grubsze od przeciwnoecznych zerówek*

oraz opowie o tym, jak z klocków układał wyraz: „grób”:

*po całym cielsku świetlicy rozjaśniającej tę klatkę pamiętasz - mieszały się kartoniki liter wysypywane z szafki zlepionej z pudełek po zapatkach [b][r][ó][d], [g][r][ó][b], [d][r][ó][b], [g][r][ó][d] [b][r][ó][g], [g][r][ó][d], [d][r][ó][d], [p][r][ó][g]*

Te deklaracje w połączeniu z informacją o dysleksji z biogramu zmiękczą najbardziej zatwardziałe serca krytyków literackich, wzruszą najbardziej wysublimowane zmysły estetyczne kolekcjonerów i konsumentów poezji. Każdy sobie wyobrazi w tym momencie Darka, który mierzy się z własną ułomnością; Darka, który nie poddaje się ślepemu losowi, który zdaje się go nie oszczędzać; Darka, który dumnie wypina pierś ku słońcu, prostuje się i woła do nieba: „Nie poddam się! Nie!”

Jak widać na przykładzie *Peryferii raj*, w parapoezji nie ma podziału na podmiot liryczny-autor. Tu zawodzi prosta systematyzacja oraz kanony interpretacyjne. Zresztą nie o to chodzi w parapoezji. Jej największą wartością jest wartość terapeutyczna. Z jednej strony umożliwia ona kanalizowanie wszystkich negatywnych emocji parapoetom, z drugiej jakby „polepsza” ewentualnych odbiorców. Czytelnik, po przeczytaniu *Peryferii raj* oprócz tego, że odnajdzie w sobie ukryte pokłady empatii, zacznie sobie powtarzać: „Zobacz! On może! To i ja mogę” – i właśnie w tym aspekcie parapoezja ma w sobie coś z ducha paraolimpiady.

## Jacek Dehnel, wyprawa na południe

W pewnym zwoju z Qumran oznaczonym sygnaturą Q:5-10-15, który przechowywany jest w Supertajnej Superstrzeżonej Superskrytce Superośrodka Superbadań Superliterackich (SechSmalS) zapisano proroctwo w języku aramejskim. Specjaliści od języków martwych odczytali zachowane fragmenty:

### Kolumna V

1. *A golił on się nie [ będzie ] ... /*
2. *I pierścień mie [ ć / dź:? ] ... { alt.zn.: będzie miał / będzie z miedzi }*
3. *A w czasie przemieszczać się będzie w oka mgnie [ niu ]*
4. *I kiedy ogoli się brzytwą ostrą, wyp [ rawi się ] na południe ze stałą prędkością.*

### Kolumna VI

1. *Czarny będzie kostium [ jego ]*
2. *A skarpetki nosił będzie b [ iałe ] do lakierok. Mieć będzie p [ elerynę / palto (?) ] czarne.*
3. *A i wiersz napi [ sze ] o tym, co zobaczy w trak [ cie podróży / torze (?) ]*
4. *Zobaczy słonia.*

### Kolumna VII

1. *Ale poetą to on n [ ie / a pewno (?) ] będzie.*

Od chwili ogłoszenia drukiem treści zwoju Q:5-10-15 w światku poetyckim zawrzało. Pojawili się różni interpretatorzy kolejnych wersów tego zwoju. Na podstawie dokładnej przecież charakterystyki postaci tam opisaney rozpoczęli oni debatę o tzw. wybrańcu. W ramach tego dyskursu skryształizowały się trzy obozy: historyków, aktualistów i futurystów. Historycy byli przekonani, że „wybraniec” wraz z zespołem cech charakterystycznych jest faktem historycznym. To znaczy, że pojawił się on w tradycji dziejów kultury i tam też należy go poszukiwać. Innymi słowy: wszelkie poszukiwania mają być ograniczone do badań spuścizny literackiej wg kryteriów zawartych w zwoju. Przeciwnego zdania byli futurysty. Skonstruowali oni teorię pomocniczą – doktrynę proroctwa samego w sobie – na podstawie której dowodzili, że proroctwo dotyczy tylko i wyłącznie czasu i zdarzeń przyszłych. Dlatego też kategoria wybrańca traktowana jest przez futurystów jako twór o charakterze intencjonalnym, jako pewien zbiór cech o charakterze idealnym, a nie jako fakt historyczny.

Najciekawsze badania (najciekawsze z perspektywy polskiego czytelnika, ponieważ w ramach tychże badań pojawił się wątek polski) rozwijane były w ramach aktualizmu.

Aktualiści byli zdania, że wybraniec opisany w zwoju Q:5-10-15 istnieje aktualnie i co więcej: na podstawie opisu przedstawionego w zwoju możliwa jest jego pełna identyfikacja. I właśnie przedstawiciele środowiska aktualistów rozpoczęli intensywne poszukiwania wybrańca. Tym oto sposobem dokonano tzw. polskiego odkrycia – odkryty został Jacek Dehnel – poeta licealista. Na marginesie dodać należy, że polskie odkrycie zakończyło spór,

który mógł doprowadzić do rozłamów w ramach obozu aktualistów. Dotyczył on wersu 2 V Kolumny.

Aktualiści zwrócili przede wszystkim uwagę na książeczkę „wyprawa na południe”. To właśnie w tym zbiorze wierszy dehnelowskich niemiecki badacz prof. Georg von Plastick und Stückateriia odnalazł fragment tzw. bezwzględnego braku różnicy. A trzeba wiedzieć, że prof. Georg von Plastick und Stückateriia był najwybitniejszym przedstawicielem nauki zwanej stylometrią. Do rzeczy. Otóż niemiecki profesor odkrył, że wers 4 Kolumny V zwoju Q:5-10-15 jest niemalże literalnie zgodny z jednym z fragmentem wersu w wierszu Jacka Dehnela (**Powrót**). Jednak bezwzględny brak różnicy nie odnosił się tylko do tego tekstu. Sam tytuł bowiem jest zgodny z 4 wersem V Kolumny zwoju.

W wyniku odkryć prof. von Plastick und Stückateriia zainteresowano się **Jackiem Dehnelem** i jego tomikiem wierszy: **wyprawa na południe**. Przyjęto bezkrytycznie założenia niemieckiego aktualisty i rozpoczęto analizę zawartych w tomiku kolejnych tekstów.

Pierwsze na co zwrócono uwagę, to tzw. motyw liceum w tekstach Jacka Dehnela. Okazało się, że eksponowany jest on wprost lub implicite w kolejnych wierszach tomiku **Wyprawa na południe**. Oto pierwszy wiersz tomiku Jacek Dehnel dedykuje nauczycielce z LO, zachowując etykietę licealną, którą posługuje się każdy dobrze wychowany licealista z czerwonym paskiem na świadectwie – to znaczy obdarzając panią magister Szatkowską tytułem profesorskim.

Czerwony pasek, który zdobi jego cztery cenzurki będzie jego prywatną szkarłatną literą. Jako człowiek dojrzały, świadomy grzechu oraz sposobu, w jaki zdobywał czerwone paski na świadectwach licealnych Jacek Dehnel złoży *confessio*: „*geografii nigdy nie poznałem*” (**Z perspektywy**).

Ale należałoby zadać sobie pytanie następujące: dlaczego Jacek Dehnel tak bardzo eksponuje motyw liceum w swoich wierszach? Odpowiedzi na to pytanie można by poszukać u Freuda u Junga, nawet u Gobineau czy Heckla – jednak można tej odpowiedzi poszukać u źródła, w tekstach poety Jacka Dehnela.

W jednym z tekstów poeta Dehnel posługuje się obrazem: „*czterdziestu wagonów żwawych licealistów i licealistek*” (**Festiwal**).

Pierwsze, co zastanowiło badaczy to tzw. dżentelmeński asonans. Otóż zgodnie z opisem wybrańca zrekonstruowanym na podstawie zwoju Q:5-10-15 wysunięto tezę, że jeżeli takowy istnieje, to musi być przede wszystkim dżentelmenem. Będzie zatem ubierał się jak na dżentelmena przystało, będzie mówił jak dżentelmen i maniery także będzie miał dżentelmeńskie. Jednak w przytoczonym obrazie z tekstu **Festiwal** pojawił się po raz pierwszy w twórczości Jacka Dehnela tzw. dżentelmeński asonans. Oto bowiem poeta Dehnel wspomina najpierw „*żwawych licealistów*” a dopiero później „*licealistki*”. Innymi słowy, chłopcy są przed dziewczynkami, a przecież główna zasada dżentelmenów brzmi: „*Panie mają pierwszeństwo*”.

U Jacka Dehnela ów dżentelmeński asonans ma jeszcze inny wymiar. Otóż predykat „*żwawy*” wydaje się odnosić tylko do kategorii „*licealistów*”, „*licealistki*” zaś umieszczone wprawdzie jako człon koniunkcji, pozbawione zostały wszelkiego wyrazu. Czytelnik bowiem podąża tropem „*czterdziestu wagonów żwawych licealistów*”.

Ten aspekt poezji Jacka Dehnela, w którym posługuje się on jako poeta-wybraniec-dżentelmen tzw. dżentelmeńskim asonansiem wymaga jeszcze dodatkowego opracowania. Wracając jednak do motywów licealnych w tomiku **Wyprawa na południe**. Kolejny trop odnajdujemy w tekście **Powrót**. Tutaj każdy czytelnik – pod warunkiem, że ukończył kiedyś tam liceum – odnajdzie fragment własnej przeszłości, ale nie tej zwykłej, prozaicznej, powszechnej. Lecz tej najcenniejszej, pierwszej, tej intymnej: czyli ruchanka w kiblu na długiej przerwie lub w trakcie dyskoteki. Dehnel napisze o : „*muszli, zamkniętej / szczelnie, lśniącej, cielistej, pertworóżowej / srebrzystoszarej muszli wspólnych śniadań, seksu, / kłótni, zaczerwienionych / ust,*” („**Powrót**”).

Czytając Dehnela trudno oprzeć się tym obrazom przeszłości, które na nowo ożywają. Trudno zapanować nad halucynacjami, nad powracającym zapachem cipy koleżanki, która pozwoliła tylko na palcówkę. I ten smak, kwsakowaty, diagnozowany na palcu wskazującym jeszcze długo po. I mimo iż Jacek Dehnel doprecyzuje odcień emalii pokrywającej kolejne „zamknięte muszle” cersanitu, to i tak czytelnik odwoła się do własnych doświadczeń. Na tym polega moc obrazowania w poezji Jacka Dehnela, który rozkaże swoim bohaterom, by w alkowach raczej „*czule orali*” niżli „*rznąli*” czy „*pieprzyli*” (wiersz datowany: **7. X. 1903**). Cokolwiek znaczy owo „*czule oranie*”, na jakim to czarnoziemie należy orać, czy też jakie mady spulchniać i co też ma z tego wyrosnąć – nie wiadomo. Ale pewne jest: bez pracy nie ma kołaczy.

Kolejny trop licealny w wierszach Jacka Dehnela związany jest z lekcją języka polskiego. 45. minutową monotonię, w której najważniejsze było oczekiwanie na dzwonek, obwieszczący przerwę Jacek Dehnel opisał następująco: „*Wszystkie te wydarzenia nie warte cezury, / jedenastozgłoskowca, jambów i trochejów: przymknięcie / oczu, kiedy o drzwi cię opieram i mówisz: „zaraz / przyjdzie” ja: „zawsze się spóźnia” ty: „Ile? Dziesięć / minut?” - „Ostatnio godzinę”. I godzina, trochejów warta, / anapestów, jedenastozgłoskowca, cezury i jambów, ale / nie opisana, nie do opisania, pośpiech, dzwonek na / dole i kroki na schodach i zdyszane uśmiechy*” (**Szal**).

Na pocieszenie dodać należy, że 45 minut z antykiem to nic w porównaniu z kursem gramatyki opisowej. Ale na motyw studiów w poezji Jacka Dehnela czytelnicy zdaje się będą musieli poczekać.

Jacka Dehnela można traktować na serio. Można chcieć dostrzec w licealiście, który wykuł podręcznika do polskiego na blachę reinkarnację Czesława Miłosza. Można, ale po co licealistom odbierać młodość? Kiedy człowiek traci w sobie dziecko, przestaje być człowiekiem.

Pozostaje zawsze na końcu: 1 wers VII Kolumny prorocstwa zapisanego w zwoju Q:5-10-15.



## Agnieszka Wolny-Hamkało, Ani mi się śni

Zapewne dzieje się czasami tak, że osoba, pragnąca zostać polskim poetą, przyjmując pozę rodinowską głowi się: „O czym by tu napisać wiersz?”. Następnie ów ktoś łakomie spogląda na jaszczurkę wygrzewającą się w letnim słońcu i w chwili, gdy umysł rozświetla boskie illuminatio, gdy na usta ciśnie się okrzyk: „Mam! Mam wiersz!”, okazuje się, to co się zwykle okazuje w takich chwilach: „chuj i pizda z wiersza wyszła”. Innymi słowy delikwent ów, wyposażony w progowy co najmniej zmysł estetyczny w mig pojmie, że obserwacja faktu: „Jaszczurka wygrzewająca się w słońcu” nie ma w sobie niczego niezwykłego, że jaszczurka to jaszczurka, że słońce, to słońce i że nawet kamień, na którym się wygrzewa nie ma w sobie za grosz metafizyki. Wówczas dociera do człowieka odwieczna prawda, że poetą się jest, nie można się nim stać.

Jednak przypadki niektórych polskich poetów falsyfikują nawet tak naoczną prawdę, jak powyższa. Okazuje się, że poetą można być stosując tzw. poetykę obserwacji zwykłej – czyli opisywać zdarzenia prozaiczne w porównaniu, z którymi przysłowiowe jaszczurki wygrzewające się w słońcu będą najbardziej oniryczno-metafizycznym faktem.

Przodującą poetką w tej dziedzinie jest **Agnieszka Wolny-Hamkało**. Jej tomik z 2005 r. *Ani mi się śni* jest zbiorem tekstów powstałych w oparciu o najzwyklejsze obserwacje. Oto przykład:

Agnieszka Wolny-Hamkało postanowiła kiedyś sobie, że zostanie poetką. Napisała kilka wierszy i wysyłała je na różne konkursy, do różnych wydawnictw. Prawdopodobnie podzieliła wówczas los wszystkich tych, których teksty nawet nie są w redakcjach czytane. W analogicznej sytuacji człowiek, będący na miejscu Wolny-Hamkało odpuściłby sobie. Zająłby się na przykład marketingiem bezpośrednim, konserwacją powierzchni płaskich czy innym wymagającym zajęciem, ale Agnieszka była inna. Otóż postanowiła przerobić ową obserwację prostą – czyli swoje doświadczenie w konkursach i perypetie z wydawcami - na kilka tekstów, które nazwie wierszami. Wolny-Hamkało napisze o godności, o zachowaniu honoru w obliczu „szanownej inkwizycji” – jurorów, których rozpiera chuć. (Tu się należy szacunek dla poetki-Agnieszki, wielu bowiem nie mogło oprzeć się literackiemu robieniu lasek w drodze do kariery)

*...Dokona tu przeglądu  
komisja szanownej inkwizycji  
pijana jak przewodniczący jury, któremu  
czy ktoś wreszcie zrobi laskę za nagrodę główną  
(Wawrzyn Sąddeckczyzny, Laur Mikołowski)?*

### [Rakoszyce]

W innym tekście Agnieszka Wolny-Hamkało rozprawi się z krwiożerczymi wydawcami:

*Kombinat emituje metale ciężkie. Jest  
połączenie międzymiastowe:  
wydawnictwo Zielona Sowa*

*i wydawnictwo Biały Kruk.  
Dygnitarska świta, korektorska szycha,  
mały funkcjonariusz sprawiedliwej władzy.  
Pan wyniósł swój uśmiech na zewnątrz.  
Rachunek w czarnej skrzynce - postowie  
do wieczoru, panowie do portfeli (kto ostatni ten król).  
Kim tu jestem? To jeszcze jest moja książka.*

**[Towar]**

Pomijając zaangażowanie z jakim Wolny-Hamkało walczy z obłudą, interesownością światka literackiego – za co należą się jej wyrazy uznania – okazuje się, że Agnieszka Wolny-Hamkało nie odkrywa ameryk, nie tylko nie atomizuje umysłów czytelnicyznych ale i nie mobilizuje do najprostszych refleksji. Otóż Wolny-Hamkało kanalizuje swoje uczucia, powstałe na bazie prostych obserwacji, w wersach i kolejnych strofach. Przecież zjawiska tzw. „środowisk”, „robienia lasek”, „dawania dupy”, „jebania na zapleczu za kilo kiełbasy” są tak powszechne, że aż zwykłe – mimo tej niepojętości i barbarzyństwa, które pojawia się na poziomie semantycznym, na płaszczyźnie zdrowego rozsądku są czymś nie tyle akceptowalnym, co uważanym za powszechne, za standardowe. Z tego powodu obserwacja Agnieszki Wolny-Hamkało, opisana w wierszu jest bardziej prozaiczna niż jaszczurka wygrzewająca się w słońcu. Któż z was nie słyszał, nie był świadkiem lub też sam nie kurwił się dla kariery? A kto z was widział jaszczurki na żywo, wygrzewające się w słońcu?

Nie jest jednak tak, że Agnieszka Wolny-Hamkało opisuje w wierszach tylko mechanizmy rządzące środowiskiem literackim, które zaobserwowała. Stosując poetykę obserwacji zwykłych stara się opisać zdarzenia codzienne. Pisze:

*Takie dni się zdarzają: śniadanie w Teatrze Stu,  
księżyc jak kieliszek z obwódka. A śniło mi się, że  
mam długie włosy, wykonuję gesty bardzo religijne i  
mam ładnie na imię...*

(\*\*\*)

Czy jest w tym, o czym piszesz Wolny-Hamkało coś niezwykłego, jakiś rodzaj unikalnej refleksji, może obserwacji czy też wybitnej zabawy syntaksą? Nie, zamiast tego pustynia, w porównaniu z którą Gobi jest aquaparkiem. Ktoś mógłby powiedzieć, że cytat jest intencjonalny, że być może wiersz się rozkręci, że za chwilę będzie pan ubrany cały na białe, który powie coś mądrego, coś co powiedzieć światu trzeba i należy. Dla tych wszystkich kolejna część:

*Ale sen już nie promieniuje, pod  
tym względem skończył się karnawał. Szwy pękają  
miętko, i zima rurami wraca do nor, zimie rzeka  
pościeliła w kanale.*

(\*\*\*)

I zakończenie dla tych wszystkich optymistów, którzy naprawdę spodziewali się w tekście czegoś niezwykłego, jakiejś formy uniesienia poetyckiego, choćby na poziomie formalnym:

*Ta niedziela zagrzebana w pościeli  
już się w pełni spełnia: rozmawiamy nago o świętach,  
przerywamy sobie, głośno wypowiadamy głupstwa.  
Takie dni są wieczne: butelki bez wieści turlane przez wiatr.*

(\*\*\*)

W innych swoich tekstach zebranych w tomiku *Ani mi się śni* Agnieszka Wolny-Hamkało nie wychodzi poza przyjętą poetykę obserwacji zwykłych. Jako poetka Wolny-Hamkało zmieni się w radziecką SMIENĘ w czarnym futerale, zawieszoną na szyi jedermann-amatora. I na tym polega sukces Agnieszki Wolny-Hamkało jako poetki. Nikogo nie interesują marnej jakości czarno-białe zdjęcia wykonane przez amatora-jedermann, jednak jeżeli autorem rozmytych, nudnych zdjęć będzie artysta (w tym przypadku Wolny-Hamkało), każdy będzie dopatrywał się w nich czegoś niezwykłego.

Autorka *Ani mi się śni* zdaje sobie sprawę z tego mechanizmu interpretacyjnego. Dlatego też będzie starała się za wszelką cenę stosować pewne środki warsztatowe, których zadaniem będzie zakamuflowanie banalności obserwacji, z których uczyni wiersze. Będzie uciekała się do warsztatowych (formalnych) aksjomatów poetyki zdań dziwnych. Dla przykładu:

*Siąść wysoko // i splunąć w dół, aż warkoczyk śliny zatoczy / się, zalsni jak sprzączka  
pomiędzy okiem / latarni a ceratą cienia.*

#### [Travel Channel]

I kiedy czytelnik będzie się zastanawiał czy on nie ułożyłby bardziej dziwnego zdania na temat prostej czynności plucia, Wolny-Hamkało zaskoczy go kolejną prostą obserwacją na temat plucia i śliny, ale tym razem w innym zapisie:

*„Nocą uprawiają plucie / flegmą jaskrawą jak lajkra. / Miasto wtedy tli się jak kolorowanka.”*

#### [Negatyw]

Okazuje się, że motyw „śliny” w poezji autorki *Ani mi się śni* ma niebagatelne znaczenie. I kiedy czytelnik zacznie się zastanawiać nad istotą flegmy, nad różnicami w jej konsystencji i barwie, nagle Wolny-Hamkało serwuje kolejną finezyjną deskrypcję obserwacji zwykłej:

*„Sina z zimna, ale cała w letnim trendzie /Nike i Reeboka z całej siły próbuje / wyglądać na  
znudzoną”*

#### [Lejdi Smyk]

Łatwo sobie wyobrazić podobny fragment z bezdomnym pieskiem w mroźny dzień.

#### Podsumowując:

Poezja Agnieszki Wolny-Hamkało rozczaruje wymagających czytelników. Tych wszystkich, którzy za każdym razem bez kompleksów ośmielają się skonfrontować swój umysł z tekstem, poetka ta odeśle z kwitkiem do domu. I trudno się dziwić owym frustracjom, o których pisze

Wolny-Hamkało w **Rakoszycach i Towarze** – w roku 2005 tylko Biuro Literackie mogło wydać takie wiersze. Tylko.

## Przemysław Owczarek, Rdza

W pewnych kręgach naukowych dyskutowana jest teza o tzw. kosmicznej wienie poetyckiej. Nie chodzi tu o debatę nad metafizycznym aspektem tego, co określa się ogólnie natchnieniem poetyckim, lecz o możliwość ingerencji w poetycki akt twórczy czynnika związanego z cywilizacją pozaziemską. Istotnym argumentem w tejże debacie, potwierdzającym ową tezę miał być tomik poetycki **Przemysława Owczarka** pt. *Rdza*.

Polscy hermeneuci szkoleni w supertajnym ośrodku Area 51 i 1/8 w zakresie: **Demaskowania Utworów Pozaziemskich (DUP)**, odkryli, że Przemysław Owczarek musi być albo stęsknionym za rodzinną planetą kosmitą, który używając tajnego, zrozumiałego tylko dla intelektów pozaziemskich kodu komunikacyjnego, stara się nawiązać kontakt z rodzinną planetą, albo szpiegiem kosmicznym, który przekazuje niezbędne dla kolonizacji niebieskiej planety informacje mocodawcom z innej planety.

Z przebadanych wg kryteriów DUP-y kolejnych utworów z tomu „Rdza” Przemysława Owczarka, polscy hermeneuci wynotowali i poddali odkodowaniu następujące fragmenty o pochodzeniu pozaziemskim:

*rzeka grzebała na dnie obce imiona*

### [Zakole]

Naukowcy są zdania, że Owczarek chce przekazać na rodzinną planetę komunikat o tym, że tlenek wodoru występujący na ziemi nie jest przyswajalny przez organizm obcych (sraczka i te sprawy). Dlatego w przypadku ew. kolonizacji kosmici-rodacy muszą zabrać picie z sobą.

*sosny karmiły powietrze  
mężczyźni tonęli w tranzystorowych unitra.  
cień lizał tyżki i cicho rzało słońce,*

### [pójdź, pójdź]

Tutaj hermeneuci są podzieleni w ocenach. Jedni uważają, że fragment ów dotyczy charakterystyki rytuałów godowych stymulowanych działaniem chlorofilu. Przeciwnicy tej interpretacji wskazują na jej zasadniczą słabość: odbiorniki produkowane przez UNITRA są wysoce awaryjne, co wyklucza kopulację. Co innego SONY.

*siedział nad zupą, a jedzenie klepało za niego  
pacierz*

### [maxim]

Wszyscy specjaliści DUP-y są zgodni, że Owczarek wysyła rodakom sygnał, że jedzenie ziemskie, nawet w postaci płynnej, nie ma żadnej wartości odżywczej dla organizmów obcych.

*Na drodze piasek łaskotał skórę.  
Dęby stały syte od promieni  
Brzeg wił się w stronę doliny*

**[inter secundo]**

Dupolodzy są przekonani, że ten fragment przedstawia charakterystykę topografii terenu niebieskiej planety. Podanie dokładnych danych na temat ukształtowania terenu, jego pokrycia, nachylenia względem słońca itp. itd. jest niezbędne dla prawidłowego zaplanowania kolonizacji. I tak: „Dąb syty promieniem” ma robić za wieżę międzyplanetarnej kontroli lotów, a „wijący brzeg” za lądowisko i pas startowy. Zaś „łaskoczący piasek” ma być doraźną rozrywką dla obcych, zanim nie odkryją ziemskiego wynalazku jakim jest: prostytutka.

W kolejnych częściach tomiku *Rdza* Przemysław Owczarka badacze DUP-y natknęli się na bezpośrednią charakterystykę homo sapiens sapiens, którą sporządził Owczarek z zamiarem wysłania obcym. Oto:

*Mama jak guziec ryje w ogrodzie*

**[sierpień]**

Naukowcy polscy dzięki powyższemu fragmentowi odkryli, że Przemysław Owczarek nie jest jedynym agentem obcych na ziemi i że kolonizacja już się rozpoczęła.

*Dupa mnie boli, mówi babcia.  
Babcia to lubi czytać mitologię. A w rzece śmiesznie. Spódnice musi podkasać. Widzę jej blade, chude łydki. Stoi w środku płycizny, małe rybki skubią jej pięty. Chichocze i prosi, żebym podał rękę.*

**[wrzesień]**

Badacze DUP-y nie wiedzą jeszcze jaki jest sens takiej charakterystyki sposobu rozmnażania się ziemian, jaki relacjonuje obcym Przemysław Owczarek.

*Samochód połyka śnieg. W brzuchu ma wichurę.*

**[luty]**

Ten fragment daje powód sądzić, że kolonizacja ziemi nie zakończy się powodzeniem. Ziemianie nie opracowali jeszcze technologii silników samonapędzających się śniegiem, ale taka relacja, którą zdaje poeta-kosmita, może odstraszyć obcych, którzy nabiorą fałszywego mniemania na temat technologii ziemskich.

W kolejnych kosmicznych wierszach z tomiku *Rdza*, badacze Area 51 i 1/8 odkryli opis ziemi w erze pokolonizacyjnej, kiedy zostanie opanowana przez rasę obcych. W związku z tym, że ziemskie wyobrażenia na temat tego, co kosmici mogą zrobić z niebieskiej planety pozostaną zawsze obciążone błędem antropomorfizacji, badacze z DUP-y postulują, by sens kolejnych fragmentów rozumieć literalnie. I tak: rzeki po kolonizacji nie będą rzekami, a spojrzenia spojrzeniami, ale:

*rzeka napętni spojrzenie*

**[olcha]**

Pojawią się także niezwykle drzewa:

*drzewa mają gęsią skórkę.*

**[santero]**

Nawet dobowe cykle dnia i nocy zmieniają się:

*WIECZÓR SKRAPLA OPOWIEŚĆ W ZIARNISTY OSAD FOTOGRAFII*

Czaple nie będą jadły ryb, tylko:

*czapla przynosi /odrobinę świtu,*

a:

*z książek rosną grzyby na cienkich / nóżkach, owady mówią językiem / mlasków i jest piotun,  
ołów w łodygach*

**[łowy na żelaznego Jana]**

W ogóle wszystko będzie inne na skutek promieniowania ze statków obcych. Najgorsze będą jednak temperatury ujemne:

*przymrozek / skalpuje drzewa*

**[Głębin]**

Oczywiście można jeszcze długo wyluskiwać kosmiczne zdania kosmicznego poety z kosmicznego tomu o kosmicznej *Rdzy*, która w domyśle pokrywa statki kosmiczne eskadry Aliensów a następnie zredukować je do absurdu. Wszak tu tylko absurd wydaje się być jedyną możliwą redukcją. Można też zadać pytanie: po co ten cały kosmos? Czy po to – jak dowodzą dupolodzy – by ułatwić pozaziemskim istotom kolonizację niebieskiej planety, a może przedstawione tu kody są desperacką próbą skontaktowania się Przemysława Owczarka z odbiorcą.

Owczarek jako poeta, który wyciąga żarzący się palec wskazujący w stronę czytelnika może jedynie bawić. I choćby nie wiem jak głośno wołał: „Przemek chce być słuchał!”, to i tak tego poważnie brać nie sposób. Chyba że trafi na kogoś, kto nie tylko słyszy głosy z kosmosu, ale także złowieszcze, zwiastujące rychłą zagładę gatunku homo sapiens sapiens: „*tkanie tapicerek*” **[virgo]**

W takim przypadku poeta może liczyć na 1000 % empatię.

## Piotr Czerniawski, 30 łatwych utworów

Adepcie poezji! Zanim zapoznam cię z kolejnym rodzajem pisania wierszy, chciałbym abyś przestudiował poniższe wersy. Analizując je, postaraj się odkryć ich sens. Być może ty będziesz tym historycznym szczęśliwcem, któremu się uda go odgadnąć.

Oto wersy:

- 1) *Tego samego wieczoru babuszka ze Lwowa zapędza swojego dwumetrowego wnuka do spiżarki*
- 2) *popatrz, mam tu w słoiku słońeczko*
- 3) *na wypadek trzeciej nocy światowej.*
- 4) *Stara ty i głupia*
- 5) *Wołodia spluwa w dłonie*
- 6) *włącza telewizor*
- 7) *Niemieccy hokeiści spluwają na lód*
- 8) *na dwójce terroryści również na coś czekają*
- 9) *Zapala bielomora*
- 10) *Wołodia ociera pot z czoła*
- 11) *marzy. Liczy*
- 12) *pięć kursów do Przemysła*
- 13) *wideo. Prezent od szwagra*
- 14) *kaseta z Wilkiem i Zającem.*

Kiedy już przeczytałeś i przestudiowałeś tych 14 wersów, zadaj sobie pytanie: Czy jest w nich coś szczególnego? Interesującego? Nadzwyczajnego?

Myśl, myśl, myśl....

A kiedy już umysł twój wyprodukuje wielkie „NIE” – jako odpowiedź na powyższe pytanie, to spróbuj poukładać te wersy w całość, która mogłaby mieć jakąś szczególną wartość estetyczną, poznawczą (w ogóle jakąkolwiek wartość).



14 wersów wymyślił **Piotr Czerniawski** i opublikował w formie wiersza (3), w tomiku *30 łatwych utworów*, kładąc jednocześnie podwaliny pod tzw. poetykę znaków interpunkcyjnych.

Ażeby zrozumieć istotę owej poetyki, która łączy formistów z tymi, którzy prymat przyznają treści, należy najpierw zapoznać się ze specyfiką zdań / wersów tworzonych przez Piotra Czerniawskiego dla potrzeb nowej poetyki.

Otóż Czerniawski lubuje się w prostych zdaniach oznajmujących, które znaczeniowo zmiernają do banału, którego autor się nie wypiera. Przeciwnie – banal pod przykrywką „łatwości” został przemycony przez poetę już w tytule omawianego tomiku. Można zaryzykować tezę, że banalność w poezji Piotra Czerniawskiego podniesiona została do rangi absolutu. Każdy kolejny tekst składający się na tomik *30 łatwych utworów* to mikstura wersów banalnych. Losowo cytuję:

*może, tydzień później. Idzie ulicą / Szewską, bolą go korzonki. W / zagłębiu szyi równo: szpaler / górników, podbijanie karty, / idzie ulicą Szewską, // guzik. Burdel nieczynny, / przyjęcie towaru.*

**(O czymś innym)**

Kilka stron dalej:

*chłodniej: dzielony na pół / lipiec. Na skwerze Ernsta / Thalmanna dziadek ławkowiec / szczerzej otula się kocem-*

**(Na obraz nakłada się obraz i znika)**

Banal jako taki, oraz banal Czerniawskiego ma to do siebie, że może być obsługiwany przez byle kogo. Banal bowiem – w każdej swojej postaci – nie posiada instrukcji obsługi. Innymi słowy, nie wymaga kwalifikacji czegoś świadomości ma Piotr Czerniawski. Dlatego też jako poeta, Czerniawski ucieknie się do prostej sztuczki, by pozyskać czytelnika o wyrobionej świadomości estetycznej. Mianowicie, Czerniawski, by zakamuflować banal użyje przecinków, spacji, kropek, myślników – czyli wszystkich znaków technicznych, które umożliwią mu budowanie takich form tekstowych, które pozwolą zakamuflować ów banal.

### **Oto przykład.**

Posłużę się ponumerowanymi wersami z jednego z wierszy Czerniawskiego (3). Poukładam je dowolnie ( Można parzyście, można nieparzyście, można stochastycznie. W każdym wypadku efekt złożenia tych wersów w całość będzie miał taką samą wartość co oryginał.)

Dowód:

**(stochastycznie: 2,5,4,7,8,14)**

*popatrz, mam tu w słoiku słońeczko  
Wołodia spluwa w dłonie  
Stara ty i głupia  
Niemieccy hokeiści spluwają na lód  
na dwójce terroryści również na coś czekają  
kaseta z Wilkiem i Zającem*

Mógłby to już być wiersz, ale – żeby wierszyk glans miał – należy wprowadzić znaki interpunkcyjne.

**Zatem:** Niech się stanie wiersz!

*popatrz, mam tu w stoiku słońeczko. Wołodia spluwa  
w dłonie. Stara ty i głupia. Niemieccy hokeiści spluwają na  
lód, na dwójce terroryści również na coś czekają. kaseta  
z Wilkiem i Zającem*

**Oryginał zaś wygląda tak:**

*Tego samego wieczoru babuszka ze Lwowa  
zapędza swojego dwumetrowego wnuka do  
spizarki, popatrz, mam tu w stoiku słońeczko, na  
wypadek trzeciej nocy światowej. Stara ty i głupia,  
Wołodia spluwa w dłonie, włącza telewizor.  
Nemieccy hokeiści spluwają na lód, na dwójce  
terroryści również na coś czekają. Zapala  
bielomora, Wołodia ociera pot z czoła, marzy.  
Liczy, pięć kursów do Przemyśla, wideo. Prezent od  
szwagra, kaseta z Wilkiem i Zającem.*

(3)

Po samodzielnym przeprowadzeniu eksperymentu na formie, czytelnik dojdzie do wniosku, że sam jest poetą. Każde operacja na wersach banalnych musi skutkować dziełem w postaci wiersza.

Niektórzy z czytelników natomiast dostrzegą pewną analogię między Piotrem Czerniawskim jako poetą a poetą Romanem Kaźmierskim. W wierszach Kaźmierskiego każdy wers posiada autonomię. Może funkcjonować samodzielnie jako porzekadło ludowe, mądrość wiejska, powiedzonko etc. Wersom Czerniawskiego daleko oczywiście do statusu owych mądrości, ale pod względem technicznym charakteryzują się równą autonomią, co wersy Kaźmierskiego. Można nimi tasować do woli, tworząc przy tym do woli kolejne łatwe bo łatwe, ale jednak utwory.

Jednak Czerniawski musiałby być romantycznym samobójcą środowiskowym, gdyby poprzestał na banale. Nongratyczna specyfika banału oddziałuje jako odium szczególnie na tych, którzy się nim posługują. Ale na to Piotr Czerniawski wynalazł lekarstwo.

By być – lub by nie przestać być – salonfähig jako poeta, Czerniawski ucieknie się do prostej sztuczki, by pozyskać czytelnika o wyrobionej świadomości estetycznej. Mianowicie, Czerniawski, by zakamuflować banał użyje przecinków, spacji, kropek, myślników – czyli wszystkich znaków technicznych, które umożliwią mu budowanie takich form tekstowych, które pozwolą zakamuflować ów banał. Czytelnik napotykać w trakcie lektury sztucznie poszatowany wers, albo myślnik, który spada z nieba będzie się zastanawiał nad znaczeniem zabiegu technicznego, a nie nad znaczeniem wersu. Na tym polega tajemnica poetyki znaków przestankowych.

Czerniawski by stymulować ośrodki sensotwórcze wprowadzi do wersów kilka obcojęzycznych wyrazów, kilka mądrych nazwisk. Ale to i tak znaki interpunkcyjne będą największą wartością tomiku *30 łatwych utworów*.

## Maciej Woźniak, *Obie strony światła*

Niezbadane są źródła natchnienia polskich działaczy lirycznych. Analiza zbioru złożonego z wszystkich literackich Owczarków, Wiśniewskich, Dehnelów, Padów und so weiter, a także z produktów oznaczonych logo Bargielska, Kuciak, Radczyńska itp., dostarcza czytelnikowi oprócz zabawy, także informacji o ewentualnych źródłach, z których czerpie polski poeta, w procesie pisania wiersza.

Na tym tle **Maciej Woźniak** nie wyróżnia się niczym. Jego tomik pt. *Obie strony światła* jest niezbitym dowodem potwierdzającym teorię, że polski wieszcz jest jak Makgajwer: z każdego rzeczownika jest w stanie uczynić motyw przewodni wiersza. W przypadku Woźniaka jest to rzeczownik: *światło*.

Makgajwer potrzebował jedną tabliczkę gorzkiej czekolady, kultowy scyzoryk szwajcarski oraz gumę do żucia, by powstrzymać radioaktywny wyciek z uszkodzonego reaktora. Maciej Woźniak potrzebował światła z lampki nocnej, która stoi prawdopodobnie na jego biurku, oraz świergotu słowików, które tylko Borowiczkach jest w stanie pokierować bezbłędnie palcem wskazującym, by ten uderzał w odpowiedni klawisz qwerty, żeby napisać kilkadziesiąt wierszyków na temat „światła”.

Technicznie rzecz biorąc Woźniakowi wystarczy jeden rzeczownik „światło”, by być wieszczem.

Jeżeli ktoś uważa, że na temat „światła” można napisać tylko, że jest i że jest takie smaki lub owakie, jest w błędzie. I Maciej Woźniak jako poeta jest gotów każdego takiego ktosia jest gotów w każdej chwili wyprowadzić z owego błędu.

Oto niektóre pomysły Macieja Woźniaka na to, jak z rzeczownika „światło” zrobić nie tyle proste zdanie, ale twór liryczny - wers:

- 1) *Światło, jasna szybo.*
- 2) *Światło, soczewko / szlifowana uparcie przez wieki*
- 3) *Światło, strumieniu bijący ze źródła gwiazdy.*
- 4) *Światło, skalpelu tnący zwiotczałą skórę złudzeń.*

W tym właśnie każdy z czytelników powinien zadać sobie w duchu pytanie: co to za światło? Może to jakieś cudowne światło, a nie made in osram.

Wątpliwości okazują się jak najbardziej uzasadnione, co potwierdza sam poeta. Okazuje się, że światło Woźniaka znalazłoby zastosowanie nie tylko na kanwie poezji, ale w zakładach precyzyjnej obróbki materiałów twardych, gdyż – o czym informuje poeta: „*Światło, ty tak delikatnie, jak / nikt inny wyglądasz ostre rysy*”.

W zakładzie fryzjerskim też się przyda ten rodzaj światła, do rozczesywania włosów klientek, które światło „*rozczesuje, gdy splątane*”.

Światło Woźniaka ma inne zastosowania techniczne. Oprócz tego, że może robić za pilnik, papier ścierny, fryzjerskie zgrzebło do rozczesywania dredów, światło – zdaniem poety – doskonale spełni swoje zadanie jako ekwiwalent lateksowej wagi w wersji kieszonkowej, dmuchanej sztucznej lali czy też styranej dłoni. Okazuje się, że nikt tobie nie zrobi tak dobrze, tak czule jak światło: „Światło, ty tak czule, tak bez śladu / ironii całujesz moje źrenice”.

**(List do światła)**

Maciej Woźniak jako poeta wykazuje większe ambicje aniżeli wymyślanie różnych niestandardowych użyć „światła”. Dlatego w kolejnych tekstach sięgnie po wyszukane metafory o ładunku poetyckim zdolnym zniszczyć siedemdziesiąt Hiroszim. Oto one:

„poblądłe witraże tęczyówek”

„kościanna obręcz werbla skóry”

„miękkie motelki wiatru”

„spękane zwierciadło poezji” (to jest nieśmiertelny szlagwort wszystkich śmiertelnych poetów polskich)

„nagły dreszcz”

„przezroczyste wieko powietrza”

**(Zuzanna Ginczanka, list...)**

„fale senności”

„ślepe promienie słońca”

„miedziana moneta pamięci”

„echo powraca wilgotnym, dusznym tchnieniem cembrowiny”

**(Leonor Fini...)**

Niemal wszystkie teksty Macieja Woźniaka z tomiku *Obie strony światła* nadają się na slogany reklamowe koncernów produkujących żarówki. To, co pozostanie po oddzieleniu owego „niemal”, jest świetnym materiałem na piosenki dla Anny Marii Jopek. W tym aspekcie wrażliwość Macieja Woźniaka odpowiada niedysponowanemu Poniedziałskiemu, który wymyślił dla żony Kydryńskiego tekst:

„Ufamy światu a on nam jakby mniej. Ufamy światu, jak paki kwiatów gdy jesień jeszcze hen. Ty idziesz świecie w świat i nie oglądasz się. Ja świata poza tobą nie widzę, najtrudniej kochać mniej. Im dalej nam świecie do siebie, tym nam i mniej tęskno, za każdy gram manny niebieskiej płacę słoną rzeką” (z płyty **Nienasylenie**)

Każdemu czytelnikowi, w ramach akcji: „**I ty możesz wieszczyć!**” proponuję zamienić rzeczownik „świat” na „światło”. Wartość estetyczna tekstu, który powstanie na skutek owej zamiany będzie porównywalna z każdym tekstem tomiku *Obie strony światła* Owczarka.

## Roman Kaźmierski, Sen odwykowy

Jeżeli filozofia ma być rodzajem miłości, to wyobrażam je sobie jako nieprzerwane trwanie między pachnącymi Kenzo Jungle Elephant udami pięknej kobiety, kiedy akompaniując sobie na fortepianie śpiewałaby weillowskie Youkali. Taki rodzaj kochania, w którym estetyka miesza się z fizjologią; w którym dźwięk to m.in. jęk, krzyk, to bezwzględne zawieszenie głosu tak jakby dalszy ciąg nie istniał; w którym między ustami a skórą pojawiła się przepaść bezwzględna; w którym między podmiotem a przedmiotem istnieje przestrzeń ascetyczna, pierwotna – zredukowana zaledwie do odcienia i kilku rzeczy; w którym kochanie jest technicznie perfekcyjne ale jednocześnie bezwzględnie nieobliczalne w kolejnych chwilach swego trwania.

Innymi słowy: jeżeli filozofia ma być rodzajem kochania, to musi być poezją. Sam Hegel – także jako Hegel landmanowski – kiedy wszelkie akademickie komentarze na chwilę ulegną zapomnieniu, przemówi jako poeta:

*Dusza bez ciała nie byłaby niczym żywym.  
I na odwrót. Zarodek nosi w sobie drzewo i  
ma w sobie siłę jego, chociaż nie jest nim jeszcze.  
Drzewo odpowiada całkowicie prostemu obrazowi  
Zarodka. Jeżeli ciało nie odpowiada duszy  
To musi być czymś nędznym.*

**/Hegel, Zas. fil. pr., 343/**

Nie inaczej ma się rzecz z Martinem Heideggerem – bożyszczem wszelkiej maści hermeneutów, którzy dali się uwieść urokowi daseinu.

*Was besagt das Zeigen eines Zeichens?  
Die Antwort ist nur dann zu gewinnen  
Wenn wir die angemessene Umgangsart  
Mit Zeigung bestimmen. Darin muss genuin  
Auch seine Zuhandheit fassbar werden.  
Welches ist das angemessene Zu-tun-haben  
Mit Zeichen?*

**/Heidegger, S.u.Z., 79/**

Historia filozofii uczy, że każdy filozof (o ile jest filozofem) jest poetą. Jednak problem z implikacją polega na tym, że jest jednokierunkowa. I tu pojawia się kwestia, która wymaga rozstrzygnięcia: czy każdy poeta jest filozofem? Albo inaczej: czy wartość prawdziwościowa zdania: „Nie każdy, kto jest poetą jest filozofem” jest 1 czy może 0.

Żeby zadość uczynić wszystkim błogosławionym, cichym, którzy łakną w domowych zaciszach sprawiedliwości, kwestię ową będę starał się rozstrzygnąć na przykładzie wierszy polskiego poety, o największych pretensjach filozoficznych. Poety, który domaga się doszukiwania w swoich tekstach oczywistych nawiązań do światowego nurtu heideggeryzmu;

poety, którego tekstami zainteresowali się, fascynaci Heideggera oraz miłośnicy języka polskiego – czyli: niemieccy hermeneuci z Fryburga; poety, który przychodzi i odchodzi; poety, który domaga się by każdy jego tekst był komentowany na odcinku przynajmniej 50. postów; poety, który jest w stanie napisać 300 wierszy miesięcznie i się w ogólnie nie spocić w trakcie – czyli na przykładzie wierszy **Romana Kaźmierskiego** opublikowanych w tomiku **Sen odwykowy**.

Wiersze Romana Kaźmierskiego, składające się na *Sen odwykowy*, są utrzymane w jednej poetyce, w której Kaźmierski tkwi od początku swojej drogi poetyckiej. To reporterskie migawki szybsze niż najszybszy istniejący flesz, zapisane w formie zdań doskonale autonomicznych, które następnie w dowolnych połączeniach składać się mogą na nieskończoną liczbę wierszy.

Z tomiku *Sen odwykowy* wynotowałem autonomiczne zdania zawierające spójnik „albo” (dlaczego z „albo”? dlatego, że jak nic nie wyjdzie z wątkami heideggeriańskimi, to może uda się z pierwiastkami kirkegaarderskimi w poezji Kaźmierskiego):

*Koniec października udaje początek świata / Albo koniec*  
(sen bajkowy)

*Nadzieja / musi dużo trenować i tresować psa / dzieciństwa, żeby był szybszy. Niż samochód /  
/ albo ta piękna dziewczyna / uprawiająca jogging i miłość francuską.*  
(sen dojrzały)

*Bić albo nie bić. W twarz /albo kopnąć w kalendarz przemocy.*  
(sen gwałtowny)

*Skończyć z ojczyzną / Da sobie radę albo nie*  
(sen odwykowy)

*na wypadek upadku / albo wpadki*  
(sen relatywistyczny)

*otwierając oczy albo odwrotnie*  
(sen telefoniczny)

*Nie wiadomo / kiedy jest się za starym na to i owo / i za młodym żeby tak albo siak*  
(sen tradycyjny)

*Żeby mi było bardziej do twarzy z twarzą. Albo / inaczej: zrozum mnie kiedy indziej, teraz  
jestem zajęty*  
(sen urodzinowy)

Mimo, że wersy / zdania / frazy Kaźmierskiego z charakterystycznym „albo” pochodzą z różnych tekstów składających się na tomik *Sen odwykowy*, w dowolnym połączeniu mogą śmiało funkcjonować jako osobny wiersz. Na przykład:

1)

**sen albo sen**

*Koniec października udaje początek świata. Albo koniec  
Nadzieja musi dużo trenować i tresować psa dzieciństwa,  
żeby był szybszy. Niż samochód albo ta piękna dziewczyna  
uprawiająca jogging i miłość francuską. Bić albo nie bić.  
W twarz albo kopnąć w kalendarz przemocy. Skończyć  
z ojczyzną. Da sobie radę albo nie na wypadek upadku  
albo wpadki otwierając oczy albo odwrotnie. Nie wiadomo  
kiedy jest się za starym na to i owo i za młodym żeby tak albo  
siak żeby mi było bardziej do twarzy z twarzą. Albo inaczej:  
zrozum mnie kiedy indziej ,teraz jestem zajęty*

Jestem pewien, że każdy czytelnik znajdzie w tym zlepku coś dla siebie, coś czym się zachwyci, coś, co wprawi w rodzaj unikalnej refleksji. I za taką uniwersalność i autonomię wersów należy się Kaźmierskiemu pochwała. Każdy wers / fraza / zdanie, przez niego wymyślone ma taki stopień ogólności, że bez zgrzytów semantycznych funkcjonuje swobodnie w każdej istniejącej lub potencjalnej strukturze, jaką jest wiersz.

Pytanie jednak, na które staram się odnaleźć odpowiedź brzmi: czy każdy poeta jest filozofem (ewentualnie, czy zbiór potencjalnych falsyfikatorów dla zdania: „nie każdy poeta jest filozofem, jest pusty). Czy tekst „sen albo sen” może funkcjonować w ramach specjalistycznego dyskursu filozoficznego?

**Doświadczenie 1:** (*usuwanie enterów*):

Koniec października udaje początek świata. Albo koniec Nadzieja musi dużo trenować i tresować psa dzieciństwa, żeby był szybszy. Niż samochód albo ta piękna dziewczyna uprawiająca jogging i miłość francuską. Bić albo nie bić. W twarz albo kopnąć w kalendarz przemocy. Skończyć z ojczyzną. Da sobie radę albo nie na wypadek upadku albo wpadki otwierając oczy albo odwrotnie. Nie wiadomo kiedy jest się za starym na to i owo i za młodym żeby tak albo siak żeby mi było bardziej do twarzy z twarzą. Albo inaczej: zrozum mnie kiedy indziej, teraz jestem zajęty

**Resultat:**

Usunięcie enterów nie przyczyniło się do powstania tekstu filozoficznego.

**Doświadczenie 2:** (*Zastosowanie interpunkcji sensotwórczej Piotra Czerniawskiego*)

*Koniec.  
października udaje,  
początek świata. A,  
lbo koniec Nadziej,  
a  
musi dużo trenowa.  
ć i tresować psa dz,  
ieciństwa, żeby był.*



*szybszy. Niż samoc,  
hód albo ta piękna d,  
ziewczyna uprawiają:*

*ca jogging i miłość francuską. Bić albo nie bić.  
W twarz albo kopnąć w kalendarz przemocy.  
Skończyć z ojczyzną. Da sobie radę albo nie na  
wypadek upadku albo wpadki otwierając oczy a-*

*lbo odwrotnie. Nie wiadomo kiedy jest się za starym na to i owo.  
i za młodym żeby tak albo siak żeby mi było bardziej do twarzy.  
z twarzą. Albo inaczej: zrozum mnie kiedy indziej, teraz jestem.  
Zajęty*

### **Resultat:**

już lepiej. Poetyka interpunkcji sensotwórczej Czerniawskiego sprawdza się. Początek tekstu i jego koniec mogą śmiało funkcjonować w sferze filozoficznej jako uwaga o charakterze alfaomegicznym. Jednak tekst jako całość, mimo niewątpliwego uroku, nie może równać się z najlichszym chociażby fragmentem z *Die Fragmente der Vorsokratiker* (**Dielsa/Kranza**).

O! Właśnie! Może należy spróbować odnaleźć istniejące, lecz zaginione analogie między poszczególnymi wersami Kaźmierskiego a zachowana spuścizną presokratyków?

Weźmy fragment Anaksymandra, i dla potrzeb dowodu – przytoczę go w ojczystym języku Heideggera:

*Anfang und Ursprung der seienden Dingen ist das Apeiron.*  
(**DK, 12 B 1**)

Z dzisiejszego punktu widzenie zdanie owo nie jest czymś niezwykłym. Jeżeli jednak uzmysłowimy sobie, że wymyślono je ponda dwa i pół tysiąca lat temu okaże się ono wynalazkiem na miarę koła.

Czy w tekstach Kaźmierskiego można odkryć podobne fragmenty, o podobnej wartości? Przeszukując kolejne wiersze Kaźmierskiego czytelnik odkryje takie wersy:

*Oszukujesz, czasie. Udajesz, że wystarczają prawdopodobieństwa  
Człowiek człowiekowi widokiem. Zza szyby.*  
(**sen zegarmistrzowski**)

*Niepokój z widokiem na mrok.  
Zbliża się, oddala: jest.*  
(**sen zimowy**)

*Wołanie, wywoływanie podobieństw  
Jak w telewizji szeptać drukowanymi powtarzać ostrożnie kaleczyć językowe obcości.*  
(**sen, dalsze ciągi**)

a tu przykład rebusu, którego rozwiązanie będzie możliwe wówczas, kiedy ludzkość opanuje technikę wskrzeszania umrzyków, by dzięki temu powołać do życia Polaków, którzy rozpykali tajemnicę Enigmy:

*Byle kto, pierwszy lepszy niż gorszy co dążył, nie zdążył Nawet na twoje milczenie się spóźnił*

**(sen nad ranem)**

### **Podsumowując:**

Kiedy Adorno przeczytał Heideggera napisał małą broszurkę: *Jargon der Eigentlichkeit* (**GS, 6/1998**), w której opisał mechanizm stosowany przez jego kolegę po fachu. Jego zdaniem zaskakujące neologizmy, zaskakujące mutacje związków frazeologicznych, które uczyniły z języka niemieckiego język heideggerianisch mają tylko jeden cel: oszukać czytelnika, by przemycić jakąś tam ideologię.

Nie podejrzewam Romana Kaźmierskiego, by przemycił jakąkolwiek ideologię jako poeta. Ale uważam, że te 5000 zdań, które wymyślił i w oparciu o które konstruuje kolejne swoje niezliczone teksty, mają jednak heideggerowską implikację: oszukują czytelnika, ogłupiają by nie spostrzegł się, że autor, który je wymyślił nie ma nic do powiedzenia. Każdy kolejny tekst, który publikuje Kaźmierski w oczekiwaniu na nieśmiertelność, na objawienie się całemu światu w heideggerowskim *Lichtung* potwierdza ową tezę. Ani Jan Trach ani nrml ani żadne inne wcielenie nie wymknie się z pułapki żargonu Kaźmierskiego.

## Jacek Bierut, Igła

W którejś tam z odsłon przygód Tytusa, Romka i A'tomka poddawana pionierskiemu eksperymentowi ucłowieczenia małpa, w jednym z testów na wrażliwość muzyczną traci przytomność. Śni jej się taka oto scenka:

Tytus – czyli małpa – tym razem jako pan hrabia jedzie w zaprzężonej w dwa konie i powożonej przez odpicowanego stangreta karocy. Jedzie sobie, jedzie i pewnie jechałby tak przez kolejnych 20 stron komiksu, gdyby nie spotkał chudego Romka, który w tym śnie robił za zabiedzone acz utalentowane muzycznie pacholęcie ze skrzypkami własnej roboty w rękę. Tytus kazał zatrzymać konie, wychylił szympansi łeb za okno i zapytał:

- Gdzie idziesz Romuś?
- Do miasta panie.
- Co niesiesz Romuś?
- Skrzypki na granie – odpowiedziało pacholę i zademonstrowało próbkę swych artystycznych umiejętności: „Do miasta idę brzdęk, brzedęk, skrzypecki niosę, brzdęk, brzdęk, żeby tam panom brzdęk, brzdęk, zagrać po trose”

Hrabia Tytus de ZOO wysłuchał Romusia do końca, uśmiechnął się i z wyraźnym uznaniem powiedział:

- Sprytnyś. Masz wyższe zdolności muzyczne. Zrobię cię organistą. Naści talara na struny i kalafonię.

Romuś, bydlę nienawykłe do takich dowodów łaski pańskiej, zdjął czapę, padł na kolana by okazać szacunek wielmoży. Jednak jak na bydlę o rodowodzie słowiańskim przystało nie ograniczył się do prostego: „dziękuję”. Zaczął kombinować:

- Dzięki za hojność waszej wielmożności – powiedział – ale kontent bym 2 talary otrzymać, bo dewaluacja teraz okrutna...

W tym miejscu sen się urywa. Hrabia Tytus ocknął się, nie doczekawszy tryumfu ruchu komunistycznego, który wydoiłby z niego wszystkie talary. Romuś przestał być pacholęciem. Powrócił do Polski z 1985 r., w której od dawna nie istniały różnice klasowe. A redaktor merytoryczna – pani Krystyna Brachańska-Wardęcka, sprawująca pieczę nad księgą XVII przygód gadającej małpy, grubasa w okularach i chudzielca w dziwnych butach a'la kowbojki – nie złożyła wniosku o natychmiastowe aresztowanie Chmielewskiego, który odważył się, ustami swoich komiksowych postaci poddać krytyce konsekwencje bezkrytycznego wdrażania w życie zasad ekonomii socjalistycznej.

Socjalizm z całym swym ampułta jebnął z hukiem. Komiks o ucłowieczaniu małpy także, chociaż huk po śmierci Chmielewskiego będzie ciut mniejszy. Ale pozostało pytanie: co utalentowany wieśniak – i nieważne czy jest to Janko Muzykant, Jozsko Broda czy komiksowy Romek jako pacholę – może dać miastu, gdy te odkryje w wieśniaku talenty i wessie go, wchłonie w swoją tkanę odrywając od zielonych łąk, pól, ciepła krowich placków w które wkłada się boscie stopy, gdy zmarzną od rześkiej rosy porannej ścielącej się po łąkach w październikowe dni.

Pytanie to pozostanie otwarte niezależnie od jakiegokolwiek odpowiedzi. Bowiem każda odpowiedź będzie skażona czasem, od którego uwolnione zostało pytanie samo. Nie zwalnia to jednak z poszukiwania odpowiedzi. Dlatego i ja zabrałem się za odkrywanie istoty duchowego wkładu wieśniactwa w rozwój kultury miast, chociaż wiem, że jest to poszukiwanie igły stogu siana.

Jako, że igła jeżeli się zgubi, zawsze gubi się w stogu, a stogi jeżeli zdobią już jakiś krajobraz, to tylko krajobraz śielskiej wsi, dlatego za materiał badawczy obrałem sobie książkę poetycką **Jacka Bieruta**, pt. *Igła*.

Pierwsze, drugie, trzecie a nawet czwarte i piąte wrażenie po lekturze *Igły* Jacka Bieruta, któremu nijak nie potrafiłem się oprzeć wiązało się z przestrzenią miejską, do której trafił wrażliwy na piękno wieśniak o duszy artysty i sercu tak czystym jak naiwnym. W *Igle* bowiem przestrzeń się rozdziera w manichejską alternatywę: *ulica / woda (Muzyka)*, *kamień / księżyc (XII)*, *zima / lustro (Piłkarska zima)* – by stać się modusem lemowskiego *Szpitala przemieniania*, jako „miasto przemieniania” (**Miasto**), jeszcze jednym dogmatem o transsubstancjacji.

Światy te przenikają się rozmywając swoje ostre zakresy, by przybrać formę neoromantycznego ale ukatrupionego Lewiatana, o którym Bierut ogłosi z mocą proroka, wieszczącego swoje przepowiednie z tytułowej strony dzieła samego Thomasa Hobbesa z 1651 r.:

*Dzisiaj odwiedziłem miasto, które / miało zniknąć, widziałem igły w / oczach ludzi, którym gnały światy, / patrzyłem jak płasko jest*

### (Którego nie będzie)

Miejska kosmologia, widziana przez bierutowego podróżnika pierwotnie ma charakter przewidywalny i znany. Dobowy cykl dnia przyporządkowany prawom mechaniki, konsumpcja, bezsilność – to wszystko zawiera się w credo **Igły**:

*Wstaję i taje, jem śniadanie i śpię, / i wstaję, zamykam oczy przed / kupowaniem.*  
(**moje pół**)

Lecz ten sam podróżnik, który jest u Bieruta wieśniakiem, jest także poetą. Dlatego w pewnym momencie, na kwadrans przed refleksją o treści:

*czerwone budynki wchodzą / pokornie / w ziemię ptaki szykują szare piórka / liście dławią się igłami powietrza / otartego z obrzeży.*  
(**wojna**)

podróżnik wyjmie z kieszeni foliowy woreczek z równo odliczoną porcją 50 wysuszonych grzybków, z cieniutkimi nóżkami. Dokładnie pięćdziesiąt zmumifikowanych łysiczek lancetowatych, które wyjmie i włoży do ust.

Zacznie przeżuwać. Suche grzybki będą przyklejały mu się do zębów i podniebienia. I ten nieznośny smak, do wyrzygania.

Po kwadransie wszystko się zmienia. Tak samo jak po bierutowej Wojnie w tomiku Igła. Kolejne teksty będą relacjami z narkotycznych podróży rojącymi się od psylocybinicznych wrażeń, których sens znany jest tylko jednemu id i tylko w chwili odurzenia. Zaczyna się trans, taniec Olmeków. Rozpoczyna się zapomnianie, rozpoczyna wędrówkę „to samo”, które błędnie do siebie powraca:

*zapominanie w obcym / mieście / kiedy twarze palce księżyc / nie ograniczają tego / czemu  
wszystko / i na zawsze / nie mam siły dać / czy wziąć*

**(idem per idem)**

W kolejnych tekstach **Igły** psylocybina umożliwi dotarcie do metapłaszczyzn. Przedmiotem refleksji nie będzie już świat zewnętrzny, ani wewnętrzny lecz refleksja sama. Wspomagany siłą 50 grzybów poeta wyzna:

*nie napisałem wiersza o którejś z tych chwil / o tym jak palę ogień leżę zaplątany / w skórę  
Róży jak prężę się na górze / rozplątując wiatr o sypianiu na kruchości / bo wiersz powinien  
być o tym pustym / miejscu, które nagle spostrzegasz / na fotelu obok siebie miejscu po mnie*

Tomik *Igła* Jacka Bieruta to dowód na to, że wieś, oprócz 4M (masła, mąki, mięsa i mleka) może zaferować miastu w XXI w. wiele, także w zakresie rozwoju kultury ducha, sztuki wieszczenia, produkcji tomików poetyckich. To dowód na to, że dotacje unijne przeznaczone dla rolników nie idą na marne. Bowiern regularne koszenie łąk, zwłaszcza tych podmokłych, które jest warunkiem koniecznym dla uzyskania dotacji, sprzyja mnożeniu się grzybów halucynogennych.

To czego zabrakło, to opowieści z krainy 500 suchych grzybków. Można się tylko domyślać ciągu znaków, rozwikłanej receptury stworzenia w postaci formuły:

*Aaaaaa,nas.a.d.....ddd..3.42223//////////*

Uniwersalnego i ostatniego wersu polskiej poezji.

W tomiku **Igła** Jacka Bieruta jest jednak coś. Jest taka narkotyczna atrakcyjność, ciekawość samopoczucia, która popycha do pierwszej strzykawki z brunatnym płynem, do pierwszych kryształków LSD, do pierwszych 30 grzybów. Coś, co nęci, kusi. Obrazy, których jakość zachęca do indywidualnych prób. Do eksperymentu magistralnego w celu wywołania podobnych obrazów.

## Bogusław Kierc, Cło

*Amen. Zdążyłaś zacerować nocą / te przetarte na płótnie tej białej koszuli miejsce, o / którym myślę, i nie wiedzieć po co nadaję temu jakiś sens; żeby rozczulić // się gdy nieco sennego o tej porze pociąg równomiernie kołysze, jakbym dalej tulił ciebie we śnie / i raptem.... -*

**(odjazd)**

to szanowni państwo, nie jest fragment przemówienia Churchilla wygłoszonego w Fulton, którego – co dziwić nie może - nie zrozumiał Stalin i wszyscy wiemy jak to się skończyło.

Przytoczone słowa wbrew pozorom nie są także tajną wskazówką dla zakonspirowanego w sztabie Wehrmachtu agenta polskiego ruchu zbrojnego, by o ile to możliwe nocą przedarł się przez płot i, mimo iż to bez sensu, pokochał się z grubą, blondwłosą Heidi, która robiła za dróżniczkę w nieodległej stacji kolejowej. Przesłanie ideologiczne byłoby jednoznaczne: „Polacy pierdolą okupantów!”

Cytat ten – co pewnie rozczaruje niektórych - nie pochodzi także z zaginionego woluminu, którego treść, rozpoczynająca się od sakramentalnego „Amen” wyprzedalaby przykazania z Malleus Maleficarum nie o lata, dekady ale całe stulecia.

Mimo rzucającego się w oczy podobieństwa między tym cytatem a zakodowanymi meldunkami przekazywanymi przez zatrudnionych w armii USA Indian szczepu Navaho, ten tekst nie ma żadnego związku z tym kręgiem kulturowym. Chociaż nie byłoby trudne wykazanie podobieństw formalnych i materialnych między frazą:

*„moje dobieja się do mnie, wstaje / ze mnie: mniej ważna”*

**(zielona noc)**

a komunikatem o zrzuconiu napalmu w rejonie Iwo-Jimy oznaczonym na mapie jako Area 3A56, gdzie miał przebywać generał Hu-Jin Tao, który zakodowany przez kryptografa – czystej krwi Nawaho – sierżanta Luck’a Rarefooll’a – wyglądał następująco:

*„Ihakasha nandu-k’i ikha ikha shintu mat’iku hula na’juzia w-dsiessi’ eciu”*

(Akta, Syg. 2II/198-11US)

Podobnie rzecz miałyby się z fragmentem:

*„gdybym się nie obudził, mógłbym nie pamiętać // tego, co było przedtem; to co było potem było mięsiście ściśnięte z nasieniem i potem / na zewnątrz ciała chyba (bo nie-mnie); pamięta // pościel świadczy, że ciało nie tylko pamięta,”*

**(pierwsza trzecia druga pierwsza)**

W tym przypadku jednak należy sięgnąć do mądrości matematyków antyku i – podążając za sugestią zawartą w tytule – przy odczytaniu skorzystać z Kwadratu Polibiusza. Po wielu próbach okazałoby się, że otrzymujemy prosty komunikat:

*„Nie zasypiaj w pociągu, bo cię okradną”*

Sprawa jednak komplikuje w trakcie lektury kolejnych zaszyfrowanych meldunków.  
Dla przykładu:

*„Mam, poza blaskiem na morzu, te prawie / niewyobrażalne sprawy odrobinę naciągające /  
fabuły snów (przecież // nie sprawdzających się nijak na jawie: / choćby czekanie na wolna  
kabinę w sanitariacie (czytaj: toalecie)”*

**(napis)**

wyjaśnienia tego fragmentu nie podjął się nawet najslawniejszy kryptolog światowy -  
Kierownik Katedry Kryptografii na Sorbonie – prof. Jahn von Ahnal.

Jako ciekawostkę dodać należy, że von Ahnal głosi szeroko dyskutowaną w świecie nauki  
tezę o tzw. FUNKCJI LITERY X, której główną zasadę streścić można następująco:

*- istnieje przynajmniej jeden ciąg znaków taki że, zawiera literę X, która to litera ma funkcję  
pozajęzykową.*

Prof. Jahn von Ahnal ilustrował prawdziwość swej teorii na przykładzie nazwiska rodowego.  
Jego zdaniem tzw. „nieme h”, które zapisują kolejne pokolenia von Ahnalów za każdym  
razem, gdy składają swój podpis, nie ma żadnego uzasadnienia językowego. Jednak istnienie  
owego „h”, którego się nie wymawia a tylko zapisuje ma szerokie uzasadnienie  
pozajęzykowe. Tak przynajmniej uważa Jahn von Ahnal, sugerując jakoby „nieme h”  
wprowadzone zostało do języka przez lobby niemieckich czeladników z XII w., którzy  
zajmowali się wyrobem tuszu z sadzy i przycinaniem gęsich piór do pisania. Było jasne, że z  
ich perspektywy: im więcej liter w wyrazie tym lepiej – szybciej wytracał się tusz, szybciej  
tępiło pióro. Dlatego wprowadzili oni do użycia tzw. pierwszą niemą literę – w tym  
przypadku „h”.

Ale wracając do szyfrogramów. Powszechnie znane jest zamięłowanie Polaków do krzyżówek,  
enigm, rebusów i innych zagadek. Dlatego dziwić nie powinno, że polscy poeci także zajęli  
się kolekcjonowaniem i wymyślaniem kolejnych zakodowanych informacji. Dziwić także nie  
powinno, że Biuro Literackie chcąc powtórzyć sukces: Rejewskiego, Różyckiego i  
Zegalskiego zdecydowało się wydać księgę kodów sporządzonych przez **Bogusława Kierca**,  
pt. *Cło*, z którego pochodzą cytowane wyżej fragmenty.

Dziwić jednak może i powinno, że wydawca tomiku *Cło* nie poszedł za ciosem i nie ukazały  
się na polskim rynku dostępne w Bibliotece Kongresu szyfrogramy Navaho. Wydanie ich na  
60. stronach tekstu wzbudziłoby większe zainteresowanie niż kalambury Bogusława Kierca o  
stopniu komplikacji równym pytaniu:

**Czy Chrystus umarł na:**

- a) krzyżu
- b) skrzyżowaniu
- c) rozwiązując krzyżówkę

## Maciej Robert, Puste pola

Nie powinno nikogo dziwić, bo nie dziwi to też mnie, że tym, który szturmem zdobył zaplecza redakcji wydawnictw literackich był nie kto inny ale Jacek Dehnel. Na tle wydawanej na dzień dzisiejszy poezji, jego produkcje na temat nagłych refleksji, które produkuje jego umysł bądź to w trakcie podróży rodzimą PKP bądź to przejażdżek równie rodzinnym PKS-em, stanowią ostoję sensu, zrozumienia. W konfrontacji z rymowankami np. Czerniawskiego, Woźniaka, Radczyńskiej, teksty Dehnela, nawet gdy są opisem flory osiedlowych sztucznych jezior zaprojektowanych przez PRL-owskich urbanistów (**wizjer**) muszą wzbudzać zachwyty. Taki też zachwyty wzbudzają. A dlaczego? Odpowiedź jest prosta: bo zachwyty wzbudzać muszą.

Przeraźliwie zrozumiałe dehnelowskie wersy o złotej rybce, która spod lodu łypie na wygłodzonego, zziębłego rybaka i wydaje się do niego mówić: „nie ma chuja!” wygrywają walkowerem pojedynki z wszelkiej maści poezjowymi bełkotnikami. I być może pierwszy raz w życiu, ale zawsze pierwszy raz być musi, przyszło mi pochwalić młodzieżowego działacza – Jacka Dehnela, za jego klarowne, proste w treści i formie teksty, których interpretacje zakłócać są jedynie aberracjami meteorologicznymi.

Niniejszym posypuję głowę popiołem. W akcie skruchy, by dać dowód szczerości intencji i autentyczności żalu, pozwolę nawet wziąć mój lewy sutek w usta każdemu pokrzywdzonemu na co najmniej minutę i possać go. Pozwolę wyssać sobie z piersi ostatnie resztki mego samczego potu, testosteronu, soku męskiego. Oddam istotną część siebie z małym zastrzeżeniem: nie ogolę cycków.

A kiedy już usiądziesz zadowolony z siebie. Kiedy, zwaliwszy konia, spocznieś. Zacznieś używać substancji szarej w sposób taki jaki ja jej używam i zobaczysz. Nie ma chuja! – usłyszysz znajomy głos fisza spod lodu, bo tylko mrożonki nordisa jesteś w stanie przyjąć bez przykrych konsekwencji o charakterze gastrologicznym. I dowiesz się, że jest takie coś, co zwie się:

„ale do rzeczy:”

W poszukiwaniu alternatywy dla salcesonu lansowanego przez wrocławskie Biuro Literackie, do pasztetowej, która ścieli się pod nogami userów nieszuflada.pl, w opozycji do wszelkiej maści dehnelów, czerniawskich, radczyńskich, kuciakówien – przyglądałem się innym wydawcom

Pierwsza i dziewicza była kserokopia.art.pl. Łukaszewicz trafił w dychę z Pasewiczem. Ufając opiatom bełkotu zaufał Bargielskiej – funfelce (klasyczna relacja destrukcyjna: wydawca wydaje znajomych, bo są znajomymi) – no i stało się, kserokopia zredukowana została do zapisu gadki telefonicznej między Jarkiem i Justysią, o treści:

Jarek:

- Cześć Justyś, jak się masz?

Justyś:

- Źle. Mam okres.



Jarek:  
 - Oooo..  
 Justyś:  
 - Żadne kurwa oooo  
 Jarek:  
 - A co?  
 Justyś:  
 - Chujów sto  
 Jarek:  
 - Czyli China-Shipping  
 Justyś:  
 -No.

Trudno przypuszczać by ten dialog mógł zainteresować kogoś spoza fatalnego tandemu zainteresowanych interlokutorów. Dlatego los kserokopii, stał się udziałem miliona wydawnictw jednorazowych. Gdybym zadał pytanie Łukaszewiczowi: dlaczego nie wydał tekstów Przemka Łośko? Wiem, że byłoby to jawne kolesiostwo, jasne, ale w przypadku Łośko można być kolesiem – jego teksty, jak to mawiali starożytni Rosjanie: sprechen fuer sich selbst. Tu porażka wydawnicza nie wchodziła w rachubę. Czy Łukaszewicz i Łośko nie byli najślawniejszymi dezterami nieszufady? Jasne. Czy są funflami? Jasne. Ale jasne jest także, że w tym przypadku kategoria funfla nie ograniczałaby się wyłącznie do ilości wspólnie wypitej wody, wspólnie wyruchanych dupeczek – członkiń fanklubu – ale w tym przypadku za „funflem” stałyby teksty rozkapryzonego tygrysa, Benedykta dumm’a i innych wirtualnych wcieleń Przemka.

Historia ludzkości roi się od takich „zmarowanych okazji”, ale to nie jest żaden argument za tym, by okazje były marnowane. Jednak – czego dowodzi historia historii ludzkości – okazje mają to do siebie, że najbardziej lubią być marnowane i dlatego do wydawnictw trafiają *puste pola* (chodzi o tomik **Macieja Roberta**, wydany przez Wydawnictwo Kwadratura w Łodzi, w 2008 r.).

Dlaczego akurat książka poetycka Roberta służy tu za przykład antydydatyczny, za szwajnpłac, na który można się odlać, którym można się podetrzeć nie narażając się na zarzut dewastacji kultury czy w ogóle towarzyskiego fopa?

Dlatego, że akurat tomik Macieja Robaka wpadł w moje szkaradne łapy. I teraz przyznam szczerze: biorąc kolejną owo dzieło do rąk miałem nadzieję, że napiszę jakiś ładny tekst o dobrej książce, że będzie inaczej niż zwykle. Przyznaję, że moja nadzieja graniczyła w pewnym momencie z pewnością – ale graniczyła zaledwie przez dokładnie pierwszych 3 i ½ wersu wszystkich wierszy, które wchodziły w skład tomiku.

Cyt.:

*zaraz za oknem jadalni rozpościerał się  
 sad – jeden krok już wystarczał, by  
 dotykać czereśni i jabłek, wspinać się na  
 drzewa. Naręcza  
 ....”*

(**dekady**)

Później zaczęło się typowe, polsko-narodowe, poetycko-wieszczowskie bagieneczko. Bo oto,

tam, gdzie są trzy kropczki, w oryginale poeta umieścił „oktawy”, by – co powszechne wśród polskich wieszczów – skazać wszelkich interpretatorów na domysły, na podróżowanie ślepymi uliczkami w przekonaniu, że zmierza się w kierunku absolutu.

Można cytować teksty Macieja Roberta składające się na tomik „puste pola”. Można, przy zachowaniu szczególnych środków ostrożności, próbować odgadywać „co poeta miał na myśli?”, gdy pisał:

„pleśni moszczą się wygodnie w lepkiej / opadzinie” (**dekady**)

„mięso w asyście kwaśnych soków” (**tło**)

„złowieszcze grudki kurzu” (**bezokolicznik**)

„uderzeniowe fale czołgają się na / przelaj” (**wybuch**)

[zagadki-kalambury wybierałem losowo z kolejnych tekstów Robaka z tomiku *Puste pola*.]

Można cytować bez końca, by w ostateczności wpaść w pułapkę dehnelizmu – czyli te same sidła, które zastawił Jacek Dehnel na czytelników w tekście: „wizjer”. A mianowicie Dehnel rzuca swoim czytelnikom – zarówno akolitom jak i doktrynalnym krytykom – karasia na stół i obwieszcza głosem wieszca:

- Proszę państwa, to nie jest karaś, to nie jest także ryba, to jest proszę Państwa ichtis!

- cooooo?

- ichtis, proszę Szanownego Państwa, żadna tam ryba!

No i rozpoczyna się siermiężna łopatologia, w której to co pod spodem oznacz świat nieznaną, to co na wierzchu oznacz świat znany, który poznajemy przez ludzące zmysły. Pojawia się dychotomia, uniwersalna eschatologia, archetyp ryby, chrystusa, lodu, wody – miliard interpretacji, w których gównem nie jest gównem ale finalnym produktem metabolizmu. ale najważniejsze, że pojawia się poeta niezrozumiały, niedoceniony, który pisze niby o welonach z akwarium, ale to nie welony ale glonojady z pyskiem przyspawanym do szyby mocą praw natury. A skoro natura, to natychmiast *lex naturae / ius naturalis*; to stan natury i Rousseau, to to, to owanto.

U Macieja Roberta jest podobnie, z małym zastrzeżeniem. O ile Jacek Dehnel pisze prosto – wręcz siermiężnie, w tej samej manierze, tym samym stylem, w tym samym miejscu i w tym samym momencie stosując te same znaki interpunkcyjne – tak Robert w tomiku „puste pola” dla odmiany szuka swojej szansy w nieprzewidywalności: chciałby zaskoczyć. Zaskakując zaś, a precyzyjniej się wyrażając: starając zaskoczyć czytelnika, stosuje chwyt przewidywalne, oklepane. Począwszy od poetyki zdań dziwnych, skończywszy na zdaniach fingujących sens.

Innymi słowy: kompletny niewypał.

Dla przykładu:

*Noc wzięta i poszła. Teraz trzeba  
przewietrzyć  
znaki wygniecione w stęchliźnie pościeli  
(grzech zostawiać tak wszystko) rozwiesić ją  
na przecie wyczyszczonym z rdzy, gdzieś w  
kącie ogrodu”*

**(obroty)**

I konia z rzędem temu, kto odpowie na pytanie: co poeta miał na myśli?

Konia oddaję łaskawie, bo wiem, że poeta w tym przypadku, gdy przemawiał nie myślał.

## Jacek Gutorow, Linia życia

Dychotomie, alternatywy oraz zdania w stylu: „jak nie pizda to robaczek” od początku istnienia tego rodzaju świata ludzkiego, które określa się mianem kultury, wytworzyły nieskończenie wiele punktów odniesień, nieskończenie wiele perspektyw wartościowania, z których każda może nieskończony zbiór kryteriów – to jest takich zdań, które aby były pozytywne, muszą korespondować w klasycznym sensie „aedequatio” z rzeczywistością, w odniesieniu do której są stosowane jako kryteria oceny.

Wśród tej bezsprzecznej mnogości istnieje jeden, szczególnie ulubiony i intensywnie eksploatowany przez polskich wieszczów punkt widzenia i wartościowania, który określić można jako:

### **Sza chamy! Pan patrzy!**

Na początek kilka wyjaśnień:

1) Każdy polski wieszcz jest wytworem miasta, przestrzeni miejskiej. Nieważne czy dorastał w stolicy (sic!), moszcząc się wygodnie na salonach ministerialnych, które odwiedzał we wczesnym dzieciństwie w towarzystwie towarzysza genseka papy, niani, lub hrabiny mamy; czy też by basatykiem poczętym w zaciszu śląskich familoków, majtasem z wiecznie usmoloną mordą z której przebijał blask oczu i błysk śnieżnobiałego uzębienia.

2) Każdy wieszcz, jeżeli jest wieszczem a nie poetą, dokarmia Wenerę. Są na to dwa sposoby:

A) Udaje się do takiego miejsca w mieście, o którym wszyscy wszystko wiedzą, ale o którym, nikt nic nie mówi – a w każdym mieście jest przynajmniej jedno takie miejsce – i wybiera sobie dziewczynę z syfilisem. Kupuje wino i jeżeli poważnie traktuje swoją misję wieszczczeni, jeżeli na serio traktuje prorocstwa Miłosza, pani profesorki z liceum, pani Jadzi z Ośrodka Kultury, w którym debiutował, to bez chwili zastanowienia decyduje się na uświadomiony krok nietzscheański. Szybikiem obala winko, zostawiając trochę na dnie dla towarzyszącej mu damy, której bieliznę przeżarły wszędobyłskie prątki, i kiedy ta wysysa resztki z flaszki, on ma już jest po drugim orgazmie i dla odmiany wpycha jej penisa do nieumytej pupy, w nadziei że tu będzie ciasniej, że poczuje siłę stosunku, że doświadczy istoty jebania w dupę – czyli tego, o co wstydził się poprosić każdą dotychczasową wycackaną kochankę. Kiedy dama odstawia flaszkę, on – niczym rasowy wieszcz – chwytą ją za włosy i mówi językiem Szekspira:

- A teraz majdir nadstaw ryj, spuszczyć się na twarz.

Kiła pozostawiona sama sobie, atakuje w pewnym momencie centralny ośrodek nerwowy. Biogramy artystów z epoki przedpenicylionwej dostarczają nierzadko dowodów, że kiła zbliżała niejednokrotnie do takich form transcendencji, do których nawet bogowie nie mają dostępu. Jednakże, jak każda kochanka rodzaju żeńskiego, tak i kiła ujawnia swoją moc jako crudelitas – karze swoich kochanków śmiercią. A wiadomo, po śmierci jeszcze żadnemu poecie nie udało się napisać wiersza, dlatego poeci-wieszczowie w większości wybierają sposób na Wenerę „B”.

**B)** Ten sposób na Wenerę niesie z sobą mniejsze ryzyko niż metoda „A”, ale jest nieproporcjonalnie bardziej bezpieczny. Dlatego to ten właśnie opcja B jest tak popularna wśród wieszczów polskich poszukujących tematów na wiersz – czyli, używając żargonu natchnieniowców: natchnienia.

Metoda jest prosta:

Wsiada się do autobusu PKS / MZK albo kupuje miejscówkę, w którymś ze śmierdzących składów PKP, na którym, ktoś dla jaj wymalował sprejem napis: ICE, i jedzie się na wieś.

Po przyjeździe, gdy stopa wieszka zetknie się z dziewiczym podłożem, na którym nawet Wojtyła nie odcisnął swoich mięsistych warg, ciało i umysł wieszka przesywa rodzaj prądu metafizycznego. Wieszka jako mieszczuch czuje jednocześnie dystans i jedność. Przechodząc obok jedyne go spożywczego na wsi, pod którym grupka stałych klientów w kufajkach celebrytuje wino, podając sobie flaszkę z ręki do ręki w przekonaniu, że któryś z nich ma moc samego Nazarejczyka i że być może rozmnoży życiodajną substancję, wieszka jak nigdy do tej pory dostrzega dystans jaki dzieli go od reszty gatunku. W tej chwili wie, że jest inny, że nie należy do nich.

Kiedy do jego uszu dobiegają rytualne, niemal obrzędowe słowa:

- Kurwa, jak on ją jebał hehehe!
- Kto? Heniek?
- Heniek z Mariuszem na spółe
- Pierdolisz?
- To kurewka!
- Nie gadaj, Jadzia jest porządku, nie ma się do czego przypierdolić
- Dlatego się jebie z każdym hehehe. Skocz po wino

Wiesz polski, który mimo woli uczestniczy w tej mutatis mutandis mszy, dostrzega w tej prostocie sacrum. Nie obrzydza go estetyka tego miejsca, w tych nieogolonych twarzach, bladych spojrzeniach, bezzębnych uśmiechach, w tych kufajkach z błyszczącymi rękawami od potu i baboli widzi świętość, którą natychmiast chce przerobić na wiersz. Wie, że to jego szansa na kolejny tekst, że w końcu musi zapełnić tych kilkanaście, kilkadziesiąt stron tekstu, które zamówił u niego wydawca. Dlatego pospiesznie sięga po karteluski, które zawsze ma przy sobie, na wypadek, gdyby go zniemacka napadło natchnienie, następnie zapisuje wiersz.

Przedstawiony sposób B na Wenerę też, podobnie jak sposób A, nie jest pozbawiony wad. Oto niektóre z nich:

- Wydawcy znają świetnie ową metodę pisania i nie za bardzo chcą drukować wiersz o tematyce bukolicznej, zwłaszcza że literatura roi się od tego typu tekścideł.
- W trakcie eskapady na wieś można, co nie jest rzadkie, spotkać innych znajomych poetów-wieszczów z miasta, którzy również poszukują natchnienia między chłopami polskimi. Trudno wykombinować wymówkę, usprawiedliwienie dla swej eskapady na łono natury, tym bardziej że na polskiej wsi łono natury zostało zastąpione użytkiem dotowanym unijnym, na którym trawa rośnie pod kątem 90 stopni względem podłoża.

Wieszcz **Jacek Gutorow** nie zdecydował się na eksperyment magistralny i nie umówił się na randkę z krętkiem bladym w zaciszu równie bladego światła latarni. Wiedział jednak, że jako wieszcz aby nie wypaść z obiegu, z salonowych dyskusji o literaturze polskiej, o współczesnej poezji i sosach majonezowych w sałatkach rautowych, które treściowo były bardziej twórcze i interesujące niż debaty o kolejnych czterdziestostronicowych zeszytach-debiutantów z Biura Literackiego, musi jednak wydać jakiś tomik. Dlatego też wieszczowski instynkt, podskórna potrzeba bycia salonfaehig, zmusiła go do wyjazdu na wieś, w celu dokonania fachowych, lirycznych, poetyckich obserwacji, które następnie wydał pod zbiorczą nazwą *Linia życia* (Kraków 2006).

Oto, co Jacek Gutorow zobaczył na wsi, w trakcie swego jednogodzinnego pobytu. Relacje z pierwszej ręki, wraz z tłumaczeniem. Czyli Jacek Gutorow rozmawia z panem Wiesławem Wemborkiem, jednym z mieszkańców wsi, który ma tylko 40 arów pola, na którym sadi ziemniaki, cebulę i marchew dla królików, które hoduje na mięso:

**Jacek Gutorow (J.G.):**

-*słońce rzuciło ścięte romby / i trójkąty (preludium)*

**Wiesław Wemborek (W.W.):**

- *Gdzie? Co? Jakie kurwa romby?*

**J.G.**

- *„Rodzaj instytutu liści, niewątpliwie. Bo szło się / pod górę / z gałązki na gałązkę” (preludium)*

**W.W.**

- *Chłopie, wypieś dopiero pół wina a pierdolisz jak ja po 3 flaszkach*

**J.G.**

- *„A wszystko przez ten stoik z miodu/ stojący na półce w sieni, skaleczony / drzazgą słonecznego światła” (rekolekcja)*

**W.W.**

- *Czesiu – do kolegi obok – zobacz, to przez metyl. Ślepie chłopina, ślepie. Wpierw romby i kwadraciki, teraz drzazgi świetlne. Nie wolno pić wódki z meliny od grubej Barbary. Ona go od ruskich kupuje.*

**Czesiu**

- *No.*

**W.W.**

- *Jacek, nie odpierdalaj nam tutaj numerów. Pij jak masz pić i nie strasz. My cię na pogotowie nie zawieziemy. A karetka też nie przyjedzie. Nie da rady przejechać po tej drodze, znowu Kazik będzie ją wyciągał traktorem...*

**J.G.**

- *Ma za sobą długi pusty tunel/ niedokończonych zieleni, zadr, ran (kompozycja)*

**W.W.**

- *Żaden tunel, tylko droga się rozmokła. Asfalt mają u nas dopiero za trzy lata położyc...*

**Czesiu:**

- *Daj mu spokój Wiesiu, chłop z miasta szybko się najebał. A mówią, że ci z miasta to lepsi hehehhe*

**J.G.**

- *Tkwisz uparcie w tej nieruchomej pozie (kompozycja)*

**Czesiu:**

- *Kto kurwa tkwi? Że niby ja? Pierdolnąć ci? Co?*

**W.W.**

- *Daj mu spokój, pijany jest. Czesiu, daj...*

**J.G.**

- *Biegniesz wstecz / jak zagadka, ku własnym początkom (kompozycja)*

**W.W.**

- *Jacek, jak ty coś złego na mnie mówisz teraz albo na Czesia, to ja sam ci przyjebie zaraz. Odwołaj to!*

**J.G.**

- *Woda podchodzi, łasi się do stóp (lekcja rysunku)*

**Czesiu**

- *Skąd wiesz, że u nas była powódź w zeszłym roku?*

**W.W.**

- *Jacek nie zmieniaj tematu, tylko odszczekaj to, że się cofam wstecz, czy tam biegnę, czy tam inna tautologia. Odszczekaj, bo pożałujesz!*

**J.G.**

- *Luka w biografii powietrza (kilka fotografii...)*

**Czesiu:**

- *Wiesiek, coś się do niego przyjebał. On ma dość, chłopina ululał się na amen...*

**W.W.**

- *Ja? Przyjebał? A jak ty się przyjebałeś, to co? Mi nie wolno? W końcu to ja go pierwszy zobaczyłem i do mnie pierwszego zagadał. To mój poeta z miasta, a nie twój. Znajdź sobie swojego!*

**Czesiu**

- *Wiesiek, ty nie zadzieraj ze mną, nie zadzieraj. Bo jak do mnie przyjedzie poeta, to nawet ci butelki nie dam zobaczyć, ty....*

**J.G.**

- *Studnia w sadzie, otwarta na zieleń nieba. / W wodzie odbite marzenie w drodze w górę (Kilka fotografii...)*

**W.W.**

- Ciiii, Czesiu, poeta ma wizje. Zamknij się i słuchaj. Nasz wieszczu ma wizje!

**J.G.**

- I jeszcze stróżka milczenia (**Kilka fotografii...**)
- biały blask z wystrzępioną rosą (**Kilka fotografii**)
- Na przykład brzozy. Ich światło rozszczerzone / na gałązki (**akwarele dla Grzegorza**)
- ich pnie rozmazują się / jakby gestom wiatru towarzyszył powidok (**akwarele...**)
- niebo, obwód wyjęty nagle z pieca pogody (**akwarele...**)
- rynnami / spływa pierwsze światło (**akwarele...**)
- przysypiają zasypiani deszczem uniesionych / brwi (**wirginaliści**)
- Twarze napotkane jakby w pośpiechu / nie płacą frycowego marmurowym blokom / ziemi (**ciepło...**)
- żółte miasto odzyskuje wzrok (**niedokończony przekaz...**)
- listy / pisane bez powiek, bezzwrotne. (**smuga**)
- resztki dnia robią bokami / nad linią horyzontu (\*\*\*)

**Czesiek**

- Wiesiu, ja wiem, że to twój poeta, ale jeżeli on dalej będzie w takim transie, to on się może już z tego transu nigdy nie wydostać. Pamiętasz jak było z tym poetą, którego Roman przyprowadził?

**W.W.**

- Eee, tamten od Romana, to się najpierw tydzień w lesie błakał. Z głodu nażarł się wilczych jagód i dlatego się z transu nie wydostał.

**Czesiek**

- No nie wiem, Wiesiek, sam nie wiem

**W.W.**

- Dobra, na wszelki wypadek spadamy. Weź mu zrób rewizję w portfelu, niech chłopak wie, że był na wsi. Za świeże powietrze i takie wizje, to trzeba wybulić.

**Czesiek & W.W.**

- He, He, He, He

**J.G. do policjanta, który przesłuchiwał poetę na okoliczność wiadomego zdarzenia:**

- We śnie był horyzont, a nad nim tajemnica historii życia (**późny kwartet**)



## Anna Magdalena Pokryszka, Każdego dnia

Jest taka część mózgu ludzkiego, która na pewnym etapie rozwoju osobniczego odpowiedzialna jest za produkcję jednej myśli, myśli szczególnej i specyficznej – refleksji, bez której niemożliwe byłoby przetrwanie rodzaju ludzkiego. Mianowicie: „czym się różni chłopiec od dziewczynki”.

Odpowiedź na to pytanie ma charakter dogmatyczny. Dzieci przyjmują często na wiarę słowa zakłopotanych rodziców, którzy posiłkują się mało naukowymi teoriami o pszczołkach, kwiatach, kapustach, królikach czy bocianach.

Niektóre z pociech, te bardziej dociekliwe, w poszukiwaniu odpowiedzi podglądają rodziców, gdy ci się kąpią w łazience. Porównują się. Konfrontują biologię dziecka i dorosłego człowieka na podstawie konkretnych punktów odniesień. Na tej podstawie chłopcy i dziewczynki zdobywają wiedzę unikalną, bagaż doświadczeń, który wyprzedza rozwój ich samych – dowiadują się różnicy narządów płciowych.

Zanim owa *differentia specifica* przeniesie się na inne płaszczyzny niż tylko biologiczne, chłopcy i dziewczynki zniechęcą się wzajemnie, po to by jako mężczyźni i kobiety mogli się pokochać.

Jednak w określonym przedziale życia jednostkowego, takim, że A dąży do B i powstaje C, jako produkt dialektyki penisowaginalnej, inna część mózgu zaczyna produkować kolejne ważne pytanie – refleksje na temat różnicy między kobietą a mężczyzną, jako istotami kulturowymi.

I o ile wcześniej mężczyzna był gotów wierzyć, że jego status wynalazcy jest równy tej konkretnej kobiecie, której przynosi kwiaty, między udami której najbardziej lubi spędzać czas. O ile ta konkretna kobieta, w tej właśnie chwili, gdy jej ciało drży, a jej palce wpijają się w plecy mężczyzny, jest pewna, że tak będzie zawsze, że będzie mu równa – że jedyną różnicą między ON – ONA, będzie ta archaiczna starohebrajska końcówka „a”, która dzieliła „isz” od „isza” - tak nagle, niepostrzeżenie pojawia się przekonanie o nieprzekraczalnej różnicy kulturowej między penisem i waginą. Między porządkiem patriarchalnym, dzięki któremu latamy w kosmos i odwiedzamy dna oceanów, a porządkiem matriarchalnym, po którym kultura rodzaju ludzkiego odziedziczyła kilka mitów o babach z odciętymi cymbalami, figurkę wenus z willendorfu oraz szczególnie rodzaj poezji – tzw. poezji waginalnej.

Poezja waginalna posługuje się charakterystycznymi środkami wyrazy i ustaloną strukturą formalną. Badania empiryczne dowodzą, że w dziewięćdziesięciu procentach przypadków wiersz zatytułowany: „ \* \* \* ” albo „**bez tytułu**”, albo czymś na kształt „ptaków skrzydlatych” został napisany przez istotę, która nigdy nie pokazała gołej klaty na lekcji wuefu.

Oдноśnie języka.

Język poezji waginalnej jest tym samym językiem, który motywuje znudzonych mężów do poszukiwań głębszych doznań erotycznych niż te, które zapewnia domowa alkowa.

Kobiety-wieszczki lubują się w:

„*ciszy nocnych myśli*” (**ptaki skrzydlate** )

„*promieniach miodowych*” (**ptaki skrzydlate**)

Poezja waginalna słynie też z tzw. jednowyrazowców, czyli – krańcowej formy przerzutni.  
Na przykład:

*tu i teraz  
biegnie  
słowo  
dnia  
zabiegane  
od rana  
wyciąga  
ręce*

**(słowo)**

Skłonność do jednowyrazowców może być przejawem wewnętrznej potrzeby zrobienia dłuższych przerw w trakcie czegokolwiek. Może być to także oznaka impotencji twórczej. Jedno zdanie złożone w przedstawieniu jednowyrazowym robić może za cały wiersz.

Istotną cechą poezji waginalnej potrzeba zapomnienia. Tylko kobieta jest w stanie wymyślić taką strofę:

*jeszcze nie dotarłam  
do krainy  
wiecznego zapomnienia*

**(in statu nascendi)**

Kultura zachodu przeżyłaby zapewne bez tej strofy, ale gdyby została ona wcześniej wymyślona przez mężczyznę, to zapewne wyglądałaby ona następująco:

*jeszcze nie dotarłem  
do krainy  
wiecznych łowów*

**(z pamiętnika Wodza Bycze Jądro)**

Można się teraz rozpisywać na temat kulturowego znaczenia motywu łowów i spania. Można prawić o mężczyznach, zdobywcach, łowcach i wynalazcach i kobietach, które cały dzień spędzały przy garach, gotując żarcie, za które dostawały regularne manto i dlatego są senne. Można zaprząć do rozważań całą antropologię. Ale tu wszelki dowód będzie zbędny. Poezja waginalna w tomiku pt. *Każdego dnia*, z którego pochodzą wszystkie cytaty, występuje in flagranti.

Nie ma się zresztą czemu dziwić, bowiem w tym miejscu okładki, w którym zwykle umieszczone jest imię i nazwisko autora, czytamy: **Anna Magdalena Pokryszka** – wszystkie końcówki „a” – zatem mamy pewność, że Anna Magdalena Pokryszka zamiast penisa ma między nogami waginę.

Ten brak penisa doskwiera Annie Magdalenie szczególnie w ostatnich partiach wydanego przez wydawnictwo Mamiko dzieła.

Tam pojawia się najwięcej, charakterystycznych dla poetyckiej odmiany intellectus vaginalis, słynnych jednowyrazowców.

Oto jeden z nich:

*jesteś początkiem  
wszystkiego*

*żadna chwila  
bez ciebie  
jesteś przeznaczeniem  
na dobro*

*zawsze  
na wysokości*

*jesteś życie  
czyste*

*krew nasza  
źródło serdeczne*

*czerwona jarzębina*

**(serce)**

Gdyby nie zwodniczy tytuł, a należy wiedzieć, że zwodnicze tytuły są także charakterystyczne dla waginalnej odmiany poezji, czytelnik mógłby przypuszczać, że wiersz jest wyrazem tęsknoty za dobrym seksem. Jednak tak nie jest.

Poetka nie pozostawia złudzeń, w kwestii interpretacji – oto ona, istota skończona wystąpiła do pojedynku z samym stwórcą (istotne jest, że wyobrażenie autorki o absolicie jest rodzaju męskiego), w którym regulaminowym orężem będzie próg empatii. Wynik tego pojedynku jest z góry przesądzony. Baba z oczywistych względów wygra, bowiem żaden mężczyzna – a stwórca jest tu jednym z mężczyzn – nie będzie w stanie powołać do istnienia, nawet przez fiat następującej kombinacji:

*nadziejo  
spływająca  
z ramion*

*liniami ciała*

*tapetujesz ściany  
mojego pokoju*

*w głuchy wieczór*

*kiedy księżyc  
puka w okno*

**(Nadzieją i liniami ciało tapetuje pokój)**

Stratedzy – od Clausewitza zaczynając a na Razinie kończąc – dowodzą, że jeżeli istnieje realne prawdopodobieństwo przegrania pojedynku, to lepiej od niego odstąpić. I pewnie dlatego Najwyższy milczy, zamiast wejść, jak to zwykł w takich przypadkach czynić, w metafizyczną relację z poetą. Zamiast ścierać się w odwiecznym sporze Bóg-poeta, po lekturze jednowyrazowców, Pan kontempluje piękno tej części swego stworzenia, które – na swoje podobieństwo – obdarował soczystymi, żyłastymi penisami.

## Jerzy Illg, Wiersze z Marcówki

Lektura własnych tekstów dostarcza mi tego rodzaju satysfakcji, jaką osiągnąć można tylko podczas oglądania internetowych stron porno. Jako urodzony empata utożsamiam się ze słowem pisany tak samo jak z bohaterami statycznej scenki rodzajowej, utrwalonej w małym blokowym mieszkanku gdzieś na Zakaukaziu, o nagiej babci i jej nagim wnuczku.

Pornografią i swoimi dziełami mógłbym masturbować swoją duchowość w nieskończoność. Mógłbym, ale każdorazowo pojawia się, co zakłóca kontemplację piękna. Niespodziewana aberracja: gwałtowny skok endorfin w jednym przypadku, nagła myśl (w sensie idea) w drugim.

Czytając traktat o poezji, która sączy się żółtawym ciekiem o zapachu zgniłych śledzi z umysłów waginalnych; o tym, że między poezją waginalną a penisoidalną istnieje przepaść nie do pokonania, nagle dopadła mnie myśl taka oto:

Oprócz kobiet i mężczyzn istnieją także formy pośrednie: shemale.  
Czy w związku z tym, skoro mówimy o poezji męskiej i waginalnej, można także mówić o poezji lejdbojowskiej?

Byłoby dużym nadużyciem dowodowym, gdybym w poszukiwaniu argumentu potwierdzającego tezę o istnieniu poetyki lejdbojowskiej szukał wśród tekstów, które nie były prezentowane w tym miejscu. Wychowany w duchu poszanowania dla zasad nauki i jej rzetelności, związany mocą wydukanego z trudem spondeo ac polliceor, postanowiłem przejrzeć omówione do tej pory tomiki by odnaleźć argument „za”.

I tym sposobem trafiłem na tomik **Jerzego Illga**, pt. *Wiersze z marcówki* (Kraków 2003)

### FORMA

A) Wszystkie wiersze zawarte w tomiku *Wiersze z marcówki* mają jeden i ten sam tytuł. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie to, że tytuł ten każdorazowo brzmi:

\*\*\*

W tym przypadku Jerzy Illg zdeklasował wszystkie rymujące gospodynie domowe. Szacowne damy różnych profesji, parające się profesją rymowania, zazwyczaj po ułożeniu prostego rymu w postaci: przysła koza do woza, długo nie mogą wyjść z szoku poznawczego i dlatego tytułują swoje teksty: \*\*\*,tak trudno podejrzewać Jerzego Illga nie tyle o szoki poznawcze, co o brak pomysłu na tytuł. Ale całe szczęście w ZNAKU oprócz Jurka Illga są jeszcze bezimienni redaktorzy, których misja jest prosta: za wszelką cenę ocalić markę wydawnictwa!

Jedni z nich piszą do google i zamawiają linki sponsorowane, po to aby strona [www.znak.pl](http://www.znak.pl), niezależnie od okoliczności pojawiała się zawsze na pierwszej stronie i zawsze jako pierwszy rekord. Inni zaś, ci bardziej twórczy, którzy potrafią wykonać coś więcej niż krótki fonkol do google'a, zajmują łamaniem tekstu. I to właśnie jeden z tych anonimowych redaktorów,

którego nazwiska historia nie pozna; jeden z tych bezimiennych bohaterów, od których roi się historia ludzkości, zredagował *Spis treści* w tomiku *Wiersze z Marcówki*.

Tym samym powstał jeden z najlepszych wierszy w tomiku. Oto fragment:

*W górskim domu...  
Trwając nieruchomo...  
Czekam, aż wiatr...  
Im dalsze pasma grzbietów...  
Jak dobrze oddalić się od ludzi...*

*Kroję drobno rzodkiewkę...  
Śliwy bardzo brzemienne w tym roku...  
Zieleń już cięższa mi głębsza...  
Wiatr...*

I tak dalej, i tak dalej, aż na pewnym etapie rozwoju tekstu ktoś mógłby posądzić Romana Kaźmierskiego o współudział w pisaniu i pomysł na taką a nie inną redakcję tekstu. „Spis treści” w tomiku Jerzego Illga jako żywo przypomina każdym swoim wersem doskonale autonomiczne zdania, których używa Kaźmierski w swojej poetyce: „5000 zdań z czarnego notesika”. Każdy wers z jednej strony doskonale autonomiczny z drugiej zaś doskonale pasujący do reszty.

**B) Poeta nie stroni od waginalnych jednowyrazowców.**

**Przykład:**

*im dalsze pasma  
grzbietów  
tym jaśniejsze*

(\*\*\*)

*Wiatr  
Cisza  
Błogość  
Ć*

(\*\*\*)

*Krople na gałęziach jodeł  
niepoliczone.  
Na czas napowietrznego  
lśnienia  
Jestem z nimi*

(\*\*\*)

Aby docenić wartość jednowyrazowców należy raz w życiu:

Przeczytać

Coś  
 Takiego  
 Co  
 Jest  
 Jednowyrazowcem  
 A  
 Przecież  
 Być  
 Nim  
 Wcale  
 Nie  
 Musi  
 Bo  
 Po  
 To  
 Wymyślono  
 Zdania  
 By  
 Nie  
 Było  
 Jednowyrazowców

## TREŚĆ

Dowód z formy można uznać za wystarczający dla potwierdzenia istnienia poetyki lejdbojowskiej, na przykładzie rymowanek Jerzego Illga. Jednak odczuwałbym pewien wewnętrzny dyskomfort, który udzieliłby się zapewne każdemu czytelnikowi, gdybym zadowolili się zwykłym formalizmem. Przejdźmy do treści.

Przykład Radczyńskiej, Kuciakówny i innych wieszczek polskich dowodzi niebywalej łatwości z jaką kobiety są w stanie rymować. Wystarczy bowiem małż na plaży, pan Jezus na krzyżu, i gorący maj by powstał nie jakiś tam zwykły wiersz, ale dzieło – pomnik kultury śródziemnomorskiej. Trudno się dziwić Illgowi, że także pragnie wpisać swoje nazwisko w panteon gwiazd polskich, że chce stanąć w jednym szeregu z armią klonów, której wzorem była przeurocza Paris Hilton. Potrzeba sławy i uznania wpisana jest w konstytucję duchową i genetyczną każdego przedstawiciela gatunku homo sapiens sapiens, dlatego też i Jurek Illg tworząc dzieła o:

*Kroplach na gałęziach jodeł*  
*Śnieżnych dywanach*  
*Pochylonej czereśni*  
*Szeleście ruchomej bieli*  
*Szczytujących nabrzmiatych pąkach*

Itp. Itd.

także nie jest wolny od tej przypadłości gatunkowej, która każe kobietom rozkraczać uda przed szefami by awansować. Czego się nie robi dla sławy?

Pisząc o ziemi, o śniegu, o trotuarach, o tym, że zimno i że jest miło Jerzy Illg doskonale wpasowuje się kampanię marketingową, która ma na celu uchronić „Znak” przed Axelem Springerem, którego oddech czuje na swoich katolickich plecach.

Illg pisząc rozczula, rozkliwia. Kreuje swój wizerunek jako małej, niewinnej dziewczynki, która potrzebuje czułości i ciepła nawet pedofilskiego, byle tylko nie drętwieć w tym chłdzie na ulicy wierząc w ożywczą moc ciepła palonych zapalek.

Każdy tekst z tomiku (oprócz oczywiście “Spisu treści”) *Wiersze z Marcówki* uwalnia od myślenia, odwołując się do instynktów najbardziej powszechnych – instynktów macierzyńskich.

Kobiety, matki, młode dziewczęta, gimnazjalistki - wszystkie Polski od 2003 r. szukają swojej Marcówki, swojej oazy, swoich chmur wędrujących po niebie, swoich szczytujących pąków i ogrodów. A tych bab znajdzie się przynajmniej 500, co zapewnia wydawnictwu zwrot kosztów druku i promocji oraz pozwoli utrzymać się na agresywnym rynku wydawniczym.

Wracając do zagadnienia poetyki lejdibojowskiej.

Przytoczone argumenty dowodzą, że taki rodzaj poetyki istnieje i ma się dobrze, skoro promowany jest przez wydawnictwo „ZNAK”. Pozostał tylko ostatni eksperyment do przeprowadzenia – tym razem empiryczny, by ostatecznie potwierdzić lub wykluczyć fakt istnienia poetyki lejdibojowskiej. Przeprowadzenie go wymaga jednak pośpiechu. Shemale szybko pozbywają się penisów.



## Klara Nowakowska, Składnia.

Kobiety, kiedy zrezygnują ze swoich społeczno-kulturowych ról i odejdą od garów i pieluch by oddać się bez reszty pisaniu wierszy, tworzą dzieła niezwykle. Współczesna poezja polska dostarcza wielu takich przykładów. Justyna Radczyńska w przerwie między prezesowaniem Fundacji jeżeli już napisze wiersz, to natychmiast staje się on szlagierem kolportowanym przez wysoko nakładowe czasopismo „Wędkarz” – adresowane jak wskazuje nazwa dla wędkarzy. Z kolei dzieła Agnieszki Kuciak ze względu na tematykę na pniu skupowane są przez „Gościa Niedzielnego”, a te lepsze z nich skupowane są przez tajne kongregacje watykańskie i wykorzystane zostaną zapewne w prozelitycznej misji Kościoła na Zakaukaziu. Dzieła kolejnych wieszczek polskich: Justyny Bargielskiej j i Agnieszki Wolny-Hamkało także zaskakują siłą estetycznego rażenia nie tylko rodzimych krytyków, ale przedstawicielei Ambasady Chińskiej Republiki Ludowej. Bargielska doskonale przeszczepia język chiński w odmianie mandaryńskiej na grunt słowiański dowodząc, że wers: „hej łysy piesku łots ap?” znaczy mniej więcej tyle co: „poproszę cztery sajgonki na wynos”. Natomiast Wolny-Hamkało zadziwia ekspertów z Chin prostymi refleksjami. Wskazuje swoim poetyckim palcem odpowiedzialnym za wskazywanie na psa i ogłasza światu jako poetka: „proszę państwa to jest pies”. Chińczycy nie dziwią się konstrukcji wypowiedzi, ale dumie, która rozpiera polską wieszczkę każdorazowo po takich poetyckich deklaracjach.

Podsumowując.

Intellectus vaginalis, który myśli po polsku, kiedy już wyprodukuje wiersz, to nie ma zmiłuj się. Dlatego każdy wydawca w ślepo drukuje kolejne tomiczki dzielnych, wieszczących dziewczuch, gdyż każda taka publikacja a priori skazana jest na komercyjny sukces. Nie inaczej rzecz się miała z dziełem *Klary Nowakowskiej pt. Składnia*.

Klara Nowakowska jak każda szanująca się Klara, ma między nogami cipę. Oprócz tego Klara ma większe cycki niż mój kumpel ze studiów, który przy wzroście ok. 170 cm ważył jakieś 45 kg.

Fajny był, bo szybko się upijał i jak kupowaliśmy litra na dwóch, to dla mnie zostawało jakieś 800 ml, gdy on w tym czasie już leżał w sztok urżnięty na wyrku w pokoju 811 akademika. Chudzina była straszna. Ale uparł się chodzić razem ze mną na akademicką siłownię. Pierwszego dnia – debiutując w roli siłacza – koleś zrobił furorę. Trafiliśmy akurat na dokarmionych i wytrenowanych siatkarzy z AZS-u. Wszyscy ryczeli ze śmiechu jak kumpel kładł się na ławeczkę i z trudem wyciskał pusty gryf. Ale po treningu, kiedy poszliśmy pod prysznic koleśiom, ba! nie tylko im, ale mi także nie było do śmiechu. Koło okazał się mieć największą pałę jaką kiedykolwiek widziałem. A trzeba przyznać, że specjalizuję się w estetykach filmów porno z okresu honeckerowskiego, dlatego mam jakieś wyobrażenie na ten temat. Jednym słowem: temu niepozornemu chłopczykowi między nogami wyrosła miniaturowa noga, sięgająca gdzieś do 2/3 długości uda w swobodnym zwisie. Najzabawniejsze było to, że wszyscy wówczas, którzy byli pod prysznicem gapili się w jedno miejsce: na tego obrzydliwie wielkiego chuja z dosłownie rozdziawionymi ze zdziwienia mordami.

Kolejny trening, na który także przyszedł ze mną wyglądał inaczej. Ci sami siatkarze AZS-u z szacunkiem po kolei podchodzili do koleśia, wyciągali łapki i mówili: „Cześć”. Nie było

takiego, który nie chciał podać ręki polskiej wersji krzyżówki Jonaha Falcona z Rocco Siffredim.

Ja tu gadu gadu, a miało być o kolejnej kobiecie, której się przyśniło, że jest Adamem Mickiewiczem. Zatem do rzeczy.

Klara Nowakowska postanowiła ogłosić swoje wieszczowskie dzieła drukiem. Trudno mieć jej to za złe. Taka ochota targa wnętrzem każdego wieszca polskiego bez względu na płeć.

I stało się jakoś tak, że uzbierała kilkadziesiąt sztuk dzieł własnych, które wrocławskie wydawnictwo z nieznanym powodów wydało każde na osobnych stroniczkach. Tak oto powstało kilkadziesiąt stron tomiku „Składnia” – a mogło być ich zaledwie 8. dzięki zastosowaniu czcionki TNR 3 pkt., rezygnacji z interlinii i pod warunkiem, że dzieło umieszczono by pod dziełem i tak dalej, a nie jak jest – każde na osobnych stronach.

I tu mała uwaga do wydawców poezji polskiej: może warto by się zastanowić nad sensem tego marnotrawstwa materiału. Gdyby zmniejszyć czcionkę i zrezygnować z uporczywego umieszczania każdego z wierszyków na osobnej stronie, to wówczas zmniejszyłyby się ogólny koszt druku. Tomiczki wieszczów można by sprzedawać nie po 9,90 pln / szt., ale w cenie papieru toaletowego z lepszej półki. Dałoby to szansę na szerszy rezonans mądrości wieszczowskiej. Wszak wiadomo, że książki / gazety / wiersze / komiksy i cały piśmienny dorobek cywilizacyjny najlepiej przyswaja się w zaciszu kibelka w godzinach 7.00-7.12. Jestem sobie w stanie świetnie wyobrazić papier toaletowy reklamowany w Łoskocie przez uśmiechniętego Jacka Dehnela, który w programowej przerwie prezentowałby – oczywiście za odpowiednią opłatą wynegocjowaną przez pracodawcę Justynę Radczyńską z bezpośrednim dystrybutorem srajtaśmy firmy „Jumbo” (ten papier, który produkuje „Regina” nie jest zły, ale ma mniej rekordów w google. Przegrywa stosunkiem: 9.000 : 13.000 z „Jumbo” – co nie jest w przypadku wieszcy polskich bez znaczenia) jedną z białutkich rolek i ogłaszałby spokojnym głosem wyuczony na blaszkę slogan: „Wykorzystaj do ostatniej litery. Zwyczajnie zużyj!”.

To byłby genialny zabieg piarowski promujący poezję wśród szerszych mas społecznych a nie tylko wąskich grup znawców, ekspertów i krytyków literackich, którzy utrzymują się z klepanych recenzijek gdzie popadnie. Oczami wyobraźni widzę Ministra Kultury, który zachwyca się publicznie tym pomysłem kształtowania umysłów i dusz narodu polskiego. Widzę te skry ognia, powstające na skutek tarcia wieszczowskiego przekazu konfrontowanego z porannym umysłem chlebowpierdalacza, który tuż po podtarciu pryszczatego dupska i uruchomieniu mechanizmu spłukowego geberitu zmienia się w anioła, by zbawić wszystkich innych, namawiając do poezji.

Nie bez znaczenia jest to, że fizyczny rozmiar rolki papieru toaletowego - pozornie nieskończona długość, która się zawsze niespodziewanie kończy oraz idealna dla poezji edytorska szerokość 11,5 cm, nadają się idealnie do nadrukowania nań dzieł wieszczów polskich.

No i znowu się rozgadałem, a miało być o Klarze Nowakowskiej i jej dziełach. Przywołuję siebie po raz ostatni do recenzenckiego porządku i dyscypliny pisarskiej.

Jak już wspomniałem Klara Nowakowska pisze wiersze. A pisze zwykle tak, że po pierwszych dwóch wersach się odechciewa czytać dalej.

Losowo wybrane przykłady:

**(składnia)**

*Teraz obraz się zmienia;  
przebudzona we śnie*

Oczywiście można by mnożyć pytania o to co to ma niby znaczyć: „przebudzenie we śnie” i jak to się ma do „zmiany obrazu”. Można wdać się w czczą – jak się okaże za chwilę – gadkę z tekstami i z własnym umysłem, ale w zasadzie wszystkie pytania, które powstają po przeczytaniu pierwszych dwóch wersów dzieł Nowakowskiej same w sobie pozbawione są jakiegokolwiek znaczenia. To pytania puste, czysto pozorne. Kolejny przykład:

**(hymn miejski)**

*Samym środkiem  
jezdni: świt trzyma na*

Następny (cytowany w kolejności z tomiku „Składnia”)

**łatwość przenikania**

*Na przystanku zawinięci w  
pleśń, znużeni; ze śladami*

Oczywiście po tych wersach, jak po każdym dwóch pierwszych wersach tomiczka Klary Nowakowskiej pojawią się puste, pozorne pytania. Bo nawet gdyby, czytelnik doszukałby się w tej wieszczowskiej metaforze „pleśni” szesnastego dna w postaci teorii o romantyzmie wieku starczego, Klara Nowakowska kolejnymi wersami rozpizga całą strukturę myślową na ten temat w mak. W kolejnym wersie, tuż pod ...*ze śladami* dopisze:

*ranek na czołach, do których  
przyklejone  
strzępy złego snu*

i dalej, na dokładkę, ażeby nie było zbyt mało doda coś o naszych oddechach - czyli o tym wszystkim, o czym może napisać samotna kobieta w chłodny, listopadowy wieczór, kiedy postanowi zostać Mickiewiczem w odmianie vaginalnej.

Klara Nowakowska jako wieszczka narodowa, jest mistrzynią dwóch pierwszych wersów. Żadna inna znana mi wieszczka tak ładnie, tak skutecznie nie zniechęcała mnie do dalszej lektury swoich tekstów. Nie wiem skąd, ale po przeczytaniu:

**nieduży**

*Szum się oddala, pozostaje  
w domyśle; ulica*

wiedziałem o czym będzie ciąg dalszy tekstu. Nie zadawałem sobie pytania o sens oddalenia się szumu, o domyśle i ulicy, ale wiedziałem o czym będzie dalsza część tekstu. Miasto, kino, sztuka, media, mass-media, ikony, pop – to wszystko wpycha wieszczka Nowakowska, tak jak się wpychać powinno. Ruchem gładkim, płynnym, niezauważalnym, gdy do tego dwuwersowego preludium doda:

*Marszałkowska  
jak twarz Greta Garbo z  
czasów,  
gdy kino było nieme i tak  
pełne wyrazu:*

Znamienne pod względem formalnym jest także konsekwentne użycie znaku średnika (;) w drugim wersie niemal każdego z tekstów. Ja oczywiście nie mam pojęcia jakie ma to znaczenie dla tekstu, jaką rolę odgrywa średnik w ogólnej twórczości wieszczki Klary. Ale warto uczulić wszystkich przyszłych biografów tej niebywale uzdolnionej wieszczki na ten szczegół formalny, wszak może on być granicą, intelektualnym rozdrożem w wewnętrznej wędrówce Klary Nowakowskiej ku własnej nieśmiertelności.

Z tej mnogości tekstów, którą w jednorazowej – i przyznam, że śmiertelnej – dawce zaserwowała wieszczka Klara wraz z wydawcą czytelnikowi, jest jedno, które szczególnie sobie upodobałem. Nie dlatego, by porażało oryginalnością – oryginalność w dziełach Klary jest jak tlenek wodoru na pustyni Gobi. Nie dlatego także, by skłaniało do głębszej lub płytszej refleksji, a jeżeli nie refleksji to choćby do morderstwa i żeby było prościej: do zabójstwa teściowej. Nie dlatego. Otóż dwa pierwsze wersy dzieła dwoje odpowiedzialne są za reminiscencję o koleżce z wielkim chujem, z okresu studiów. I żeby dłużej nie trzymać w napięciu: to rzeczzone dwa, szkaradne, potworne, bzdurne, nic nie znaczące, samogwałcące się wersy

*Skonfundowani przed cukiernią  
z dyndającymi w okolicy kolan*

I jak, tu sobie miałem nie przypomnieć Pawła, jego wielkiej pały i konfuzji siatkarzy z AZS-u? Nie można uciec od wspomnień, nie ma ucieczki od przeszłości.

## Marcin Sendecski, Z wysokości. Parcele

W ramach każdej kultury literackiej, niezależnie od szerokości geograficznej, języka czy koloru skóry, funkcjonuje przynajmniej jeden słownik – czyli zbiór elementów / pojęć, wraz z lakoniczną na ogół instrukcją obsługi tychże.

Literatura polska także posiada takie dzieło. Jest nim słownik Samuela Linde. Jednakże w epoce szybkiego internetu, tak odległej od prekambriu prędkości modemowej 30 KB/sek., aura tego wielotomowego dzieła nieco przybladła. W konfrontacji z google nie ma zresztą szans żaden słownik. Żaden, chyba że będzie to dzieło, które wyprzedzi swoją epokę przynajmniej o 28 parseków. Osiągnięcie takiego dystansu przeczy zasadom klasycznej fizyki, ale nie takim zasadom i nie takiej fizyki przeczyli wieszcz polscy.

Otóż w roku 2006 **Marcin Sendecski** postanowił ogłosić drukiem dzieło podwójne - tomiczek: *Z wysokości. Parcele*. Tomiczek Sendecskiego stanowi wartość w sobie. Nie dlatego by zaskakiwał poziomem wrażliwości tudzież refleksji, ciekawą metaforą czy też językiem. Marcin Sendecski w tym dziele okazał się być „poetyckim Kopalińskim” – to znaczy wykorzystał wszystkie znane mu sztampowe metafory dopełniaczowe oraz wszystkie znane mu klisze równie znanych poetek. Wszystkie slogany polskiej poezji zawarł w dydaktycznym podręczniku do poezji pt.: *Z wysokości. Parcele*

### Oto niektóre z nich:

*krew kalecząca skronie* [**31 grudnia**] – występowanie: powszechne. **sem.:** *rel:* INRI, *krew; skroń; życie i śmierć*. **dod.:** czasownik kaleczyć – **od:** kolec → (boleć: rap, Liroy); **od:** kolec → (cierń: Ptaki ciernistych krzewów Richard Chamberlain → *gej:* → Jacek Dehnel : brzytwa, skaleczyć się w okamgnieniu brzytwą / odciąć coś sobie czymś [w szczególności: odciąć sobie jaja → być eunuchem; *biol.:* wałachem]

*śnieżne pługi krzyczą na postrach* [**stara piosenka**] – występowanie: sezonowe (zima). *sem.:* odśnieżanie, piaskarka, łopata do śniegu; **ew.** jako powiedzenie: zima jak zwykle, jak co roku zaskoczyła drogowców → uwaga: mało śmieszne

*kilka samochodów miele szare błoto* [**stara piosenka**] – występowanie: sezonowe (zima). *sem.:* odśnieżenie dróg [→**idem**]. użycie: w bajkach: „*mełł łoś zębem prawym piernika z domku Baby Jagi*”; w pismach urzędowych: wysoki sędzie, przestępcy po napadzie się zmyli [→**konsonans**]; w poezji. ( **WAŻNE:** liczebnik nieokreślony: „kilka” posiada określona wartość metryczną /3:9/→**zob.:** kaballah)

*twarze żałobników przeglądają się w bruku* [**popołudnie**] – występowanie: z okazji→ pogrzeb (*łac.* funus, -is); zakopać coś, kiedyś, gdzieś → także jako: wykopki, wykopaliska, kopanie rowów, praca, trud, klasa robotnicza, różnica klasowa (→ **Karol Marks, Manifest Komunistyczny**→rewolucyjna rola poety [→ **Włodzimierz Majakowski**]); przeglądać się w bruku: schorzenie pospolite wśród brukarzy z min. 9. letnim stażem pracy; **także:** przypadłość pijaków.

*słowa zwęglaty się w powietrzu [rozmawiałem]* – występowanie: pospolite. **sem.:** Auschwitz→ komin →dym →problem emisji CO2 do atmosfery→konferencja klimatyczna→Donald Tusk + Lech Kaczyński a spór o samolot. także: nie rzucaj słów na wiatr → zob: dowcipy antysemickie nt. ostatniego słowa Żyda zanim został spalony w krematorium.

*plik czarnych ulotek odbierał mi głos [rozmawiałem]* – występowanie: środowiskowe →ulotki, reklama→ marketing biegany zadyszka, milion klatek schodowych [→milion→liczebnik→czterdzieści i cztery = Barack Hussein Obama→ pętla hermeneutyczna; jako: Hussein → Saddam Hussein → terroryzm → **lit.:** *Pałę Paryż.*]

*kurz kładzie się na próg [w czerwcu]* – występowanie: lokalne→ ( [www.menele.pl](http://www.menele.pl); od: spać u kogoś / gdzieś kątem, bokiem, nocować na waleta. **sem. og.:** być zulem.

*mdły zapach kostnicy wciska się do ust [w czerwcu]* – występowanie: środowiskowe. **sc.** nekrofilia → gerc. filia: „miłość” a. miłość platoniczna → **Plato.** *Symp.:* „miłość dojrzałego mężczyzny do chłopca, któremu się zarost na twarzy jeszcze nie pojawił: [*Symp.* 233E]. **sem.:** wciskać coś komuś gdzieś → [także jako: „włazić komuś w dupę”, „mieć coś głęboko w dupie”, „seks analny”]

*kolejka przewraca kartki [w czerwcu]* – występowanie: okresowe → **PRL: kolejkowicz**→ **stacz** [stercz, prostata, rak prostaty, choroba→ śmierć]; komitet kolejkowy. **Także:** nakłady powyżej 100 tys. egzemplarzy → **zob.:** kraina szczęśliwości **Związku Literatów Polskich)**

*sztandary połykane przez wiatr [21 lipca]* – występowanie: okazjonalne. **sem.:** zryw patriotyczny, patriotyzm → (**antysemityzm:** Bij żyda! albo: Ale żydzisz! **ew.** Nie bądź żydem. **erot.:** „robić łaskę z połykiem” → głębokie gardło→ watergate. **Zob. także:** Bill Clinton and Monika Lewinsky.

*listki ognia obejmują zapałkę [być może ]-* występowanie: bajki **zwł.** Andersena. **sem.:** obejmować coś → językiem; także jako: brać do buzi→ssać coś l. kogoś→ patrz: Iwaszkiewicz a awans w *ZLP*

*usta powtarzają popiół [ może spotkasz]* występowanie – tylko tomiki wieszczów → (powód straszny kicz); **sem.:** brak znaczeń [ możliwe znaczenie: kulturowe tzn. jako hasło: palenie tytoniu powoduje raka i choroby serca / palenie zabija]

*w kaleczącym świetle....*

i mógłbym milion podobnych słownikowych potworków stworzyć dla potrzeb literackiej sendecczynny. Mógłbym definiować kolejne tuziny wymysłów wieszczą Marcina Senddeckiego, tracić na to wszystko czas i wódkę (bo bez wódki się raczej nie obędzie). Mógłbym trenować w nieskończoność na materiale, którego dostarcza Senddecki w tomiku: *Z wysokości*

A kiedy przerobiłbym kolejną tonę poetyckich karasi Senddeckiego:

„krwinki błota na ciemnym półpiętrze”  
 „za szybką nasiąkniętą służem pierwszego dnia wiosny”

„bezdźwięcznie przekrzykując psy”  
„niechciany szelest szybkich czystych kropel”  
„szminka tonie w ustach wilgotnego wiatru”  
„asfalt jest miękki dotyka warg”  
„szorstki dym przecina skórę”  
„paznokcie dławią się szeptem”  
„gazety żyją coraz szybciej”  
„łuski tynku na ciele zmieniających skórę bloków”  
„wilgotny banknot z Waryńskim drży z zimna”  
„miasto, zepsuty mięsień”  
„miękkie dzieci”  
„skrzep słońca”  
„budynki w kropli żywicy wyplutej z pociągu”  
....

etc.

Poczułbym się tak samo jak na początku – czyli nijak. Czytając bowiem dzieła Marcina Sendeckiego nie można oprzeć się wrażeniu dejawu: że takie coś się czytało w pamiętnikach zbuntowanych licealistek, których niezgoda na świat i kulturę była wprost proporcjonalna do masy odwróconych krucyfików noszonych zamiast kolczyków w uszach.

## Szczepan Kopyt, [yass]. Prolegomena

Niektórzy uważają, że to wychowanie robi z człowieka poetę. Ale gdyby tak było, to wystarczy odpowiedni żłobek, w którym z kaseciaków marki Kasprzak leniwie sączyłby się *Pan Tadeusz* w melorecytacji Michała Żebrowskiego, a po jakimś czasie cały świat mówiłby trzynastozgłoskowcem.

Inni uważają, że egzotyczna pasja czy równie egzotyczne wykształcenie wystarczy, by pisać wiersze. Ale i ten punkt widzenia ma istotną słabość: każdy bowiem pedofil musiałby być najlepszym poetą. Nie można bowiem odmówić egzotyki tejże pasji, jaką jest pedofilia. Wówczas organy ścigania poszukiwałyby pedofilii nie dlatego, by chronić najmłodszych przed zgubnymi skutkami miłości, ale na zlecenie Ministerstwa Kultury, które musiałoby znaleźć zajęcie dla Grażyny Torbickiej, by ta mogła wręczyć jakąś nagrodę, przeprowadzić wywiad, albo wypowiedzieć się o poezji.

Są też fetyszyści, dla których bycie poetą, jest równoznaczne z odpustowym pierścionkiem na małym paluszku, takim co to w trakcie świąt kościelnych straganiarze przed kościołami sprzedają. W zbiorze fetyszy nie może zabraknąć starych kapot, cyrkowych cylindrów i innych, śmierdzących naftaliną szmat z lumpeksów. Fetyszyści literaccy wierzą w magię retro. Są przekonani, że za każdym razem, kiedy ubierają strój z innej epoki stają się ludźmi z innej epoki. Ta koncepcja także nie jest wolna od aporii. Bowiem pierwszy lepszy menel, który wygrzebałby gdzieś w śmieciach pogryziony przez myszy cylinder, natychmiast ustawiałby się w kolejce do Grażyny Torbickiej, która wręczałaby mu nagrodę Nike.

Ultrafetyszystom nie wystarczają same kapoty, oni chcieliby jeszcze mieć takie same nazwiska jak kiedyś. Każdy z nich z chęcią dodałby sobie jakieś nieme „h” do nazwiska, jakieś „von” przed nazwiskiem. Ale i ta koncepcja ma istotne słabości. Łatwo sobie wyobrazić tego samego menela, który wcześniej dogrzebał się do cylindra, a który teraz majsterkuje żyletką w starym dowodzie osobistym wydrapując literki, dopisując literki by ogłosić światu literackiemu narodziny: von Mehnela. Jednak ani „von” ani „h” nie zagwarantują ciepła sączonego się spod pach ściskającej i całującej Grażyny na gali w Kongresowej.

Podobnych teorii krytyka literacka i teoria literatury zna mnóstwo. Mieszają się one, tworząc kolejne, jeszcze bardziej absurdalne uogólnienia teoretyczne na temat pochodzenia poezji. W tej mnogości jest też tzw. teoria odwrotnej fonii nazwiska. W tej koncepcji, która wyłoniła się z ultrafetyszyzmu, istotną rolę odgrywa naukowa teoria tonu, a ściślej rzecz biorąc: dźwięku nazwiska. Wszystkie skomplikowane wywody na temat rozchodzenia się dźwięku nazwiska w różnych przestrzeniach, oraz wzory i prawa uzależniające jakość pisanych wierszy od wydźwięku nazwiska domniemanego poety można streścić następująco:

**Brzmienie nazwiska jest odwrotnie proporcjonalne do jakości wierszy.**

Innymi słowy: im głupsze, brzydsze nazwisko poety tym lepsze wiersze poety.

I tak:



**Łośko** – brzmi fatalnie, zwłaszcza to „ś”, po którym natychmiast następuje sylaba „ko”. Dla obcokrajowców nie do wymówienia. W ogóle, katastrofa foniczna!

**Radczyńska** – piękne, hrabiowskie nieomal „Raczyńska” ale jednak wkradło się tam „d”. No i nie bez znaczenia jest ta pięknie brzmiąca, sterylne polska końcówka „-ska”.

**Bargielska** – nie tak hrabiowskie jak Radczyńska, ale także o pięknej fonice, chociaż odczuwa się tu implikację czeladniczą, w postaci konsonansu pralniczego z urządzeniem zwanym: magłem (bargiel-magiel). Niektórzy analitycy skłaniają się ku konsonansowi z rzeczownikiem „burdel”, co nie ma większego znaczenia dla estetyki brzmienia.

**Pasewicz** - fonika dobra i gdyby nie intuicyjny rym: „Pasewicz, Pasewicz polskiej poezji królewicz”, to pewnie w „th” znalazłyby się wiersze o omułkach, przegrzebkach, małżach – czyli o tych rewolucyjnych archetypach literackich, które przemycą do poezji szerokim strumieniem Justyna Radczyńska.

**Siwczyk** – fonika fatalna, ale podobnie jak nazwisko „Kuciak”, jest to wyjątek, który czyni z teorii odwróconej fonii nazwiska, teorię. Każda bowiem teoria, aby była teorią, musi posiadać wyjątek.

**Wiśniewski, Kaźmierski, Winiarski** - to ta sama liga foniczna pięknych brzmień. Tu nie ma żadnego zaskoczenia.

Można tak mnożyć argumenty potwierdzające słuszność tej osobliwej eugeniki poetyckiej, jaką jest teoria odwróconej fonii nazwiska, ale moim zdaniem nefalsyfikowalnym argumentem przemawiającym za prawdziwością tej teorii, jest przypadek poety: **Szczepana Kopyta**(o)[nie mam pojęcia jak to odmienić! Fatalna fonika, przy której intuicja deklinacyjna zawodzi].

Trudno mi sobie wyobrazić dzieciństwo **Szczepana Kopyta**. Niepoliczalne tabuny krwiożerczych bestii z tornistrami na plecach, które za nic mają zasady współżycia społecznego, które gównem wiedza o dekalogach, których jedynym celem jest atak i zniszczenie. Setka dzieciaków, która regularnie atakowała na każdej z pięciominutowych przerw małego Szczepana okrzykiem: kopyto! kopyto-skarżypyto! kopyto-koryto! szczepan-fortepian!

Łatwo sobie z kolei wyobrazić mechanizmy samoobrony, które wytworzył mały Szczepan. Tysiące pompek na kostkach, powtórzeń na tricepsa, wszystkie ciosy karate i medytacje njin-jitsu, które miały go wzmocnić, sprawić by był najsilniejszy, by w którymś momencie mógł stanąć sam naprzeciwko bandy prześladowców i krzyknąć:

- A teraz wszyscy macie przepierdalone.

Osamotniony przez skuteczne odium imienia i nazwiska, przez fatalną fonikę, którą sprezentowali mu rodzice, rejestrując jego narodziny w odpowiednim urzędzie, pozostając w skutecznym oddaleniu od społeczeństwa mały Szczepan dorastał, wzbogacając swój świat wewnętrzny – bo tylko to mu pozostało.

Mijały lata, aż w końcu nastał rok 2004. Rok tryumfu i zarazem odwetu – jeden z najpiękniejszych dni w życiu Szczepana. Chwila, którą z nikim by się nie podzielił, nawet

pod rygorem kary śmierci. Oto on, on poeta tryumfujący nad wrogami, nad kulturą, która każdego dnia produkuje legiony małych ss-manów z tornistrami na plecach, których celem jest znalezienie ofiary, popychadła, któremu za głupie imię i jeszcze głupsze nazwisko mogą urządzić mały holokaust w trakcie długiej przerwy między lekcjami.

Tego roku Szczepan Kopyt został laureatem nagrody im. Jacka Bierezina – nagrody, która w odróżnieniu od laurki od Kościelskich – honoruje jakość.

Teraz leży przede mną tomik [yass] **Szczepana Kopyta**. Jestem bezradny. Gubię się w połowie pierwszego wersu tuż za stroną tytułową:

*przepchnij życie przez banal*

Czytam. I gubię się.

## Szczepan Kopyt, [yass]. Parerga

Zgodnie z tradycją oryginalne dywany perskie poznaje się po jednym fałszywym splocie. Każde bowiem dzieło, opuszczające warsztat tkacki czeladnika, którego rękę prowadzi wola Allaha, z założenia jest niedoskonałe. Żaden mistrz tkactwa, który zawierzył doczesność i nieśmiertelność zasadom Koranu, nie odważy się wyręczyć Allaha w tworzeniu rzeczy doskonałych.

Tomik [yass] to zbiór osobliwych tekstów, który można porównać do zbioru liczbowego, w którym wszystkie liczby i cyfry zostały napisane tylko do połowy, a niektóre zaledwie w 30 %. Wierszy, których perfekcja została świadomie zakłócona przez ich stwórcę. Wygląda to tak, jak gdyby autor bardzo się spieszył i chcąc powiedzieć wszystko, co ma do powiedzenia opuszczał swój pomysł w połowie, przechodząc do kolejnego tekstu. Każdy z nich pozostawił jako niedoskonały.

Oto pierwszy lepszy tekst: (**katolicy w barach mlecznych śmierdzą niemiłosiernie**). Tu poeta skończył pisać wiersz po trzecim wersie, osierocając resztą ze swego talent. Pierwsze trzy wersy wyglądają tak:

*katolicy w barach mlecznych śmierdzą niemiłosiernie  
bóg dał im wątróbkę i smażone buraczki  
zginął za ich grzechy*

Reszta pozbawiona jest naiwnej bezpośredniości (naiwność jest w tym przypadku zaletą), zawartej w wyobrażeniu boga, który spragnionych napoi a głodnych nakarmi. Którego nieskończoność wystawiana jest na próbę w trakcie każdej transsubstancjacji, która dokonuje się tuż obok, gdzieś w zatłoczonym barze w godzinach wydawania posiłków. Którego świętość i miłosierdzie testuje się podmieniając ciało jego syna na buraczki i wątróbkę serwowaną równie powszechnie i mechanicznie jak hostie w trakcie nabożeństw porannych.

Sacrum na aluminiowej łyżce, na porcelitowym talerzu z wytartym logo PSS SPOŁEM smakuje za każdym razem. Brak wyboru, brak jakiegokolwiek przeznaczenia. Jednostajny ruch po linii zbawienia, życia może nie tyle wiecznego, ale ważnego tu na ziemi. Sacrum to przeżycie za wszelką cenę, bez godności, bez człowieczeństwa, bez ciała chrystusa. To troska o każdą kilokalorię w mroźny dzień.

W dalszej części tekstu jest tylko radio Maryja, kościół, córki jadące na saksy, gruby ksiądz, który lubi młodzież. W reszcie kończy się uniwersalizm, który ustępuje określonej poprawności lewicowego widzimisię. Sztampa, codzienność kleryków walonych w dupę przez przełożonych. Ale ta sztampa nie jest w stanie odtruć intelektualnie - zakłócić produkcji mózgowej stymulowanej przez wers numer jeden, dwa i trzy.

Kolejny wierszem z tomiku, o którym można jednocześnie powiedzieć, że jest bardzo dobry i zarazem bardzo zły jest **słuchając Stańki**.

*bałagan w pokoju powstaje pewnie*

*dlatego, żeby mnie coś uspokajało  
jest zimno, pani maria nie grzeje wiosną  
która przychodzi szybciej w poznaniu, chyba  
już od lutego, biały sufit i ściany  
przekonują mnie raz do riemanna*

*raz do łobaczewskiego, to proste  
ilinie życia się wygięły w etykę spiral  
dna,*

- i tu się dobry wiersz kończy. W dalszej części następuje wiersz zły. Stosunek relacji dobra i zła jest w tym przypadku prawie 1 : 1. Niespełna 9 wersów dobrych na 20 wszystkich wersów w tekście.

Można doszukiwać się w tej estetycznej dychotomii relacji poety z walki wewnętrznej, która rozgrywa się między siłami dobra i zła na polach autorskiej psyche. Jednak o wiele ciekawsza jest analiza tego nieuklidesowego pokoju, zbudowanego na rozchwianym piątym aksjomacie. Życie w rozciągliwej przestrzeni musi mieć strukturę balonówki, które mimo to dążyć będzie do jakiegokolwiek constans – rozwodnionej sinusoidy klasycznej etyki.

Reszta tekstu? Reszta jest jak zwykle fatalna. Tajemnica białego sufitu ustępuje „kapciom, które prowadzą wojnę podjazdową”, „koleżankom, które śpią na wykładach” czy „gołębiach dziobiących beton”.

I następne, losowo wybrana strona *yass'u*. Kolejny fragment, po którym następuje pustka. 4 wersy conffesioplenciczne, w których skruszony poeta wyznaje:

*włączyłem komputer z przyzwyczajenia  
i piszę wiersz okolicznościowy  
z uwagi na to że wszyscy śpią  
a ja nie*

Później dzieje się to, co dzieć się musi w każdym z kolejnych tekstów z tomiku. Nastąpi 9 wersów, które nie wytrzymują na żadnej z płaszczyzn interpretacyjnych konfrontacji z pierwszą strofą.

Jakieś dwadzieścia lat temu miałem sen. Śniło mi się, że lizałem cipę pewnej dziewczynie / kobiecie. Ile miała lat główna bohaterka mojego snu – nie pamiętam. Właściwie trudno powiedzieć kto był głównym bohaterem tego snu: czy owa dama, czy cipa, czy też charakterystyczny, kwaskowaty, niemożliwy do pomylenia z niczym smak cipy.

W każdym razie było tak, że sen wyprzedzał empirię. Pamiętam doskonale pierwszy raz, kiedy kubek smakowy łączywie napełniałem smakiem, sączącym się z warg sromowych, pochwy czy diabeł wie tam z jeszcze czego.

Pamięć jest o tyle wyraźna, że skojarzyłem wówczas senne marzenie – doświadczenie mentalne, które wyprzedziło badanie empiryczne. Skądś musiałem wiedzieć. Skąd?

*nie jadłem owoców. mam na trzecie konstanty.  
mówię wtedy ...tam wejść. skrzepy tabaki. pomiędzy wargami*

*krystalizuje się seks. że chce się turlać i mieć białą brodę*

(**anarchist cookbook**) 3 wersy z 10. Reszta do niczego.

Nie sposób przeoczyć stereofonii yassowej w tym tomiku. Każdy z diamentów jest perfekcyjnie oszlifowanym brylantem osadzonym w bezwartościowym tombaku. Doskonałe wersy doskonale zaspokajają apetyt, potrzebę, która każe w którymś momencie czytać, doszukiwać się w ciągach: „abcdefghijklmno...” nie tyle treści, ale przekazów. Znaków „STOP”; „ZAKAZ WJADU”; „ZAKAZ PARKOWANIA” – czegoś, co umożliwi orientację w przestrzeniach bolyaiowskich, w których aksjomat dobra i zła zmienia się w część tej przestrzeni, naginając się, wyginając wg ogólnego prawa sinusoidy. Aż korci, by stworzyć trzecią wartość o równym statusie jakie ma dobro i zło. Wymyślić coś, co wymknie się zarówno odcieniom szarości jak i mniejszemu złu – żadnego stopniowania, ale nowa wartość: niewymyślane / niewymyślne X.

*a koleżanka mi mówi  
że wyglądam  
jakbym potrzebował odpocząć  
gdzieś w sanatorium*

*możliwe – mówię*

(**śniadanie w bufecie**) stosunek 5 : 13

Rok temu miałem sen, w którym umierałem. Wyglądało to tak: leżę na łóżku. Nie jestem ani stary, ani młody. Po prostu jestem i umieram. Najdziwniejsze jest to, że wiem, że umieram. Nie jest to śmierć rakowa, wypadkowa, chorobowa – śni mi się prosta czynność umierania. Czynność wygląda tak:

Najpierw zamykają się oczy. Oddech jeden i drugi. Nie ma nic. Jest ciemność, którą zakłóca moja myśl, myśl o tym, że umieram i w związku z tym zaczynam panikować. W międzyczasie ( a „międzyczas” wydłuża się tu do granic możliwości) nabieram powietrza. Głęboki oddech. Jak najgłębszy, byle jak najwięcej powietrza nabrać w płuca. Bo wiem – nie wiem skąd – ale wiem, że to mój ostatni oddech, że żadnego więcej nie będzie. Chcę wykorzystać życiodajną funkcję do granic możliwości. Czuję jak mi płuca rozpieiera.

Leżę. Myślę. Dziwię się, że to tak wygląda. Zaczynam być ciekawy.

Jest ciemno, a ja mam tylko litry zużytego powietrza w płucach i nic więcej. Nie widzę przed sobą ani raju, ani piekła. Widzę pustkę. W końcu wypuszczam powietrze, kończę swój ostatni oddech. I jest ciemno. Żadnej myśli, świetlistego tunelu, ognia piekielnego. Nie ma nic. Nawet czerni przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie. Nie ma żadnej myśli o wszędobylskiej czerni. Nie ma nic.

Tomik [*yass*] Szczepana Kopyta, to obowiązkowa lektura dla każdego, kto lubi dobre wiersze. Ja wiem, że Szczepan brzmi gorzej niż Kopyt, a Kopyt brzmi gorzej niż Szczepan. Ale [*yass*] ma swoją, unikalną fonikę. Jest tak odległa od blichtru, smrodu, fanfaronad wieszczowskich, jest tak bliska umysłowości śródziemnomorskiej, że zaprzyjaźnia się z czytelnikiem.

Jest kawiarnianym stolikiem, który jednoczy najlepszych kumpli. Smakiem polewanej wódki, schłodzonej do konsystencji gliceryny, którą się pije tylko w najbardziej intymnych gronach.

## Mariusz Grzebalski, Pocałunek na wstecznym

W szaleństwie proporcji, matematycznych obliczeń, na wskroś racjonalnych rachunków naprężeń i sił, w statyce, zawiera się ukryty lęk. Wewnętrzny stan psychiczny o nieznanym źródle i przedmiocie, ale na tyle silny, by zmusić architekta do wpisania Maszkarony w projekt linii prostych.

Z poezją, w szczególności polską poezją, jest trochę inaczej. Poezja jako architektonika ducha związana jest z szerokościami geograficznymi, z określonymi punktami na mapie. Wiadomo, że najlepsi poeci to ci z familoków górnego śląska, bo tam bida była i się pokolenie zbuntowało. Najgorsi są z wybrzeża, bo tam naród produkował solidarnościowców i na nic więcej sił duchowych nie wystarczyło. Jednak od zawsze wylęgarnią poetów był Kraków. Gdyby moje życie dało mi szansę wychowania się w Krakowie, między tamtejszymi gołębiami, drzewami, kamienicami; gdybym tylko mógł regularnie przez ostatnie 32 lata zmuszać najmniejszą cząstkę hemoglobiny by zapierdała z prędkością światła po organizmie roznosząc krakowskie powietrze, wówczas na pewno bogowie olimpijscy i wszystkie muzy Hellady przemawiałyby do śmiertelników moimi ustami, a ja sam dzięki skrzydełkom u sandałów oszczędziłbym na komunikacji PKS, nie wspominając o nieśmiertelności, którą odziedziczyłbym w spadku po zdetronizowanym Hermesie.

Ale w niektórych miejscach bogowie odpowiedzialni za natchnienie poetyckie umieścili na straży bram weny poetyckiej przedziwne Maszkarony. Te bezlitosne bestie mają inne zadanie niż ich odpowiedniki architektoniczne. Maszkarony poetyckie mają odstraszać nie poetów – bo jak wiadomo cały dywizjon pancerny generała Heinza Guderiana nie jest w stanie powstrzymać jednego, wychudzonego polskiego wieszca, hodującego namiętnie prątki gruzlicy w płucach, który jak coś sobie postanowi, to nie ma zmiłuj się. O nie! Maszkarony poetyckie mają odstraszać czytelników od rozkochania się w łonie soczystej, wruszającej, absolutnie mądrej poezji.

Ale ktoś mógłby zapytać: po co te maszkarony? Jaki jest sens odstraszenia od poezji potencjalnych czytelników, skoro jak wskazuje doświadczenie empiryczne: żadna z dziedzin tak szybko nie przerabia zjadacza chleba w anioła, jak poezja?

I jak mawiają niemieccy klasycy, którzy przeżyli stalingradzki kocioł, a którzy nie zdążyli napisać swojej wersji doktora Faustusa: hier liegt sobaka begarben. Otóż gdyby nie poetyckie Maszkarony, każdy obywatel państwa znad Wisły, zamiast wypracowywać dochód narodowy brutto, szybowałby po nieboskłonie na anielskich skrzydłach, które niechybnie doprawiłaby mu najczystsza z najczystszych poezji. Gdyby nie Maszkarony poetyckie, nie powstałaby Solidarność, nie byłoby komuny, ani Katynia. Wajda nie nakręciłby swoich filmów a żadne z wydawnictw nie doczekałoby się skryptu z opisem relacji podróży pociągiem i o tym, dlaczego rynek w Smyrnie jest taki zajebisty, że jego blask przyćmiewa rynki krakowskie, opolskie, poznańskie, białogłębkie, ludwikowskie, ługowskie, bobrownickie i chuj wie jeszcze jakie byle były polskie.

To Maszkarony poetyckie, z siłą anielskich mieczy strzegących bram Edenu przed ludzką pokusą nieśmiertelności, chronią Polaków od skrzydeł. I tylko pospolity umysł postrzega w tym obawę bogów przed uśpioną potęgą uczyłowiecznej małpy, która mówi po polsku. Ale

każda chwila głębszej refleksji kieruje sporadyczną, ale jednak myśl słowiańskiej mały ku trosce stwórcy, który reglamentując dostęp do śnieżnobiałych skrzydeł wybawia od troski związanej z ich pielęgnacją i od nieprzyjemnego uczucia wynikającego z cyklicznego pierzenia się.

Dzięki maszkaronom poetyckim świat jest taki jaki jest. Jedni pracują, inni stoją, drudzy nie pracują a leżą, a trzeci pisząc uważają, że są lepsi niż pierwsi, drudzy a nawet niż ci, który tylko stoją.

Chwała zatem Maszkaronom poetyckim! Chwała im, bo gdyby nie one, żaden z nas nie zaznałby trudu stapania po ziemi. Nikt, kto potrafi poprawnie powiedzieć: „gżegżółka” nie doświadczyłby uroku siły grawitacji, która zmusza plemniki do penetracji jak najgłębszych zakamarków kobiecego łona.

Chwała miejscu, które ich najwięcej gromadzi! Chwała współrzędnym: **51°06'36" N / 17°01'20" E!** niech żyje mały punkt na mapie, który chroni nas przed zbawieniem!

W 2007 r., Maszkarony poetyckie zarzyczały tak donośnie, że odgłos ich wycia rozlega się po dzień dzisiejszy pod strzechami najodleglejszych nawet lepianek, w których mówi się po polsku. Wydaje się to przeczyć prawu rozchodzenia się dźwięku w próżni, ale skądinąd wiadomo, że w kraju cudów, ojczyźnie Jezusa, kraju rodzinnym Matki Boskiej i Witta Stwosza, który jak wskazuje imię i nazwisko musiał być Polakiem, klasyczna fizyka zawodzi. Tu nie działa żadna geometria, żadna optyka. W tym kraju liczą się tylko cuda, a człowiek jest człowiekiem wówczas, gdy sprawnie je czyni i z precyzją odprawia czary.

### **Relacja naocznego świadka:**

*„I widziałem bestię wychodzącą z wydawnictwa. Miała dziesięć rogów i siedem głów. W dłoniach stokiłka stron manuskryptu, a na rogach jej było dziesięć diademów, na jej głowach imiona bluźniercze, wśród nich m.in.: **Grzebalski, Mariusz Grzebalski** [podkr. - moje]” (Zez. 9. 19-7)*

Ta sama ciekawość, która każdego dnia wiedzie mnie do piekła, podkuśiła mnie, by odnaleźć owe imię. Co też bez zwłoki uczyniłem. Jeden telefon, drugi i trzeci. Za każdym razem pytam znajomych, którzy są bardziej obcykami w literaturze niż ja: „Wiecie coś o Grzebalskim?” Za każdym razem słyszę wymowne: „Nie. Nic nie wiem. A kto to? Rolnik, technik, traktorzysta?”.

Dopiero po kilku tygodniach odezwał się mój jak zwykle niezawodny przyjaciel z Moskiewskiego Instytutu Zjawisk Paranormalnych – dr Witalij Stuhlpysk. Wysłał on priorytetem załącznik zapisany jako plik PDF (ci Rosjanie! Jak łatwo im przejść obojętnie nad rygorem praw autorskich!) o tytule: *Pocałunek na wstecznym*.

Znam Witalija nie od dziś. To sprawny wyga w świecie nauki. Syn biednej Rosjanki i majora Wehrmachtu – Kastropa Stuhlpyska, który - jakby na przekór nazistom, rozkazom Himmlera i całej tej obłądnej ideologii uebermenscha szukał ciepła i pocieszenia w ramionach wroga, untermenscha, blondynki o imieniu Katarina, w trakcie oblężenia Stalingradu.

Mimo, że Witalij był mądrzejszy od wszystkich skostniałych profesorów stalinowskich, którzy habilitacje robili po tym, jak związali swoje życie prywatne z córkami dygnitarzy

partyjnych, on nie zrobił kariery. Zszedł do wolnorynkowego podziemia naukowego, w którym robił za grube dolary ekspertyzy tekstów. Pracował dla tego, kto płaci. Olał etykę i wszystkie etosy, którymi nafaszerował mu głowę ojciec zanim zginął na zesłaniu w Archangielsku. Musiał przeżyć. Dlatego do lat 90. robił dla KGB, później dla GPU. Jego analizy sylwetek autorskich pod kątem badań stylometrycznych były zawsze wysoko cenione. Dosłownie i w przenośni - obojętnie, kto za nie płacił.

Ale do rzeczy. Skłamałbym, że załącznik przesłany przez Witalija przeczytałem z troską średniowiecznego magistra, studiującego dzieła pisane od deski do deski. Moja lekturę przerwał Maszkaron poetycki – Gorgona, która zmieniła moje pióro w zielony, fosforyzujący jad, odcięty łeb z węzowym językiem podzielonym na pół, który ssyczy, sssyczy. Maszkaron ten ujawnia swoje prawdziwe oblicze w tekście: **Godzina dziewiąta**. Oto ono:

*Zielony masztowiec elewacji pręży  
żagle okien pierwszym słońcu.  
Mewy anten wszczęły na dachu  
światlny zgiełk, czeszą skrzydła  
nad bocianim gniazdem klatki schodowej,  
którąś ktoś opuszczał się w dół.  
Ich pióra dają znaki lusterkiem?*

Kiedy miałem nadzieję, że horror się kończy, że ów szkaradny monster jest tylko projekcją mojego chorego umysłu, że to co czytam nie istnieje, że to, co się dzieje nie istnieje naprawdę – zjawiała się przed oczami dalsza część tekstu:

*Lecz kim jest kobieta bez obaw  
przemierza fale powodziowej trawy  
pieniącej się czarno w korycie Warty  
czyją jest postanką i jakie niesie wieści?*

Nie tylko to, co dobre szybko się kończy, ale także to co szkaradne, złe, co przerażające. Dlatego i wiersz, będący relacją z oblicza Maszkarona, urywa się nagle.

W takich chwilach każdy agnostyk i ateista przekonuje się o mocy i wszechpotędze stwórcy. Świadomość, że wystarczyłby jeden wers więcej, by mózg czytelnika zmienił się w galaretkę, ugnie każde kolano. Nawet tej nogi, którą wieńczy czarny kopyt, obeznany z najtajniejszym duktem piekieł.

Cóż mi teraz pozostało? Nic, ponad misję! Jestem Szymonem, który schodzi ze swego słupa; jestem polskim Chrystusem, który brechę wyciąga każdy gwóźdź zagradzający drogę ku wolności; jestem młotem na czarownice, którego rozmiar, ciężar i sposób działania zawarto w tajemnym malleus meleficarum – jestem tym, który ostrzega was przed Mariuszem Grzebalskim i pozostałymi Maszkaronami poetyckimi miasta Wrocław.  
Safe our Souls! Bowiem, powiadam wam: *extra Vroclaviensiae salus est*.

ps.

**Wydawnictwo powinno rozważyć umieszczenie na tego typu dziełach dopisku: “Czytasz na własne ryzyko”**



## Paweł Kozioł, Wpław

Kolumbijscy przemytnicy narkotyków opanowali wiele technik robienia w tak zwanego chuja celników, policję a nawet agentów FBI, którzy – o czym wiadomo z filmów amerykańskich – są nie do zrobienia w chuja, choćby nie wiadomo jaki ów chuj miałby być.

Redaktorzy wydawnictw literackich, podobnie jak gangsterzy z Ameryki Południowej, także prześcigają się w wynajdowaniu coraz to nowych metod w przemycaniu do oficjalnej rzeczywistości literackiej, salcesonu, który przypadkowo pocięty został na wersy i strofy. Te metody nie są jeszcze tak wyrafinowane, jak te stosowane przez przemytników koki, ale wyraźnie widać gwałtowną tendencję o charakterze nie tyle ewolucyjnym, co rewolucyjnym w zakresie redakcyjnej metodologii wciskania czytelnikom gówna.

Przykładem może tu być dzieło pt. *Wpław*, które napisał pospolity i skromny, żerujący gdzieś na uboczach wielkiej areny poezji, poeta z rocznika siedemdziesiąt i coś tam o imieniu Paweł i nazwisku Kozioł. Razem: **Paweł Kozioł**.

Paweł Kozioł, jak na prawdziwego Polaka przystało, zapragnął być wielki, sławny, mieć dużo pieniędzy, kupić mieszkanie w Warszawie, mieć fajną dupeczkę (najlepiej blond i okularkach w typie metroseksualnym), zapragnął udzielać wywiady w Tel-Awiiwie, w Izraelu i bóg wie jeszcze gdzie. Ale w głębi ducha najbardziej pragnął zostać gwiazdą portalu nieszuflada.pl i żeby jego zdjęcie koniecznie znalazło się na stronie literackie.pl.

Wiedział, że najkrótszą drogą do osiągnięcia celu byłoby małżeństwo z Justyną Bargielską. Po ślubie, który pewnie zostałby obfotografowany z każdej strony przez Gilinga, a który bez wątplenia byłby bezpośrednio transmitowany w Internecie na wszystkich stronach przyszłej zoneczki i co oczywiste – na stronie Biura Literackiego, Paweł Kozioł nie musiałby już nic robić. Zapewne oblubienica, wierna słowom przysięgi sama pisałaby za ukochanego wiersze o rozwieltkach, rekinach, o niepokojącym spadku liczebności populacji krylu w okolicach okołobiegunowych i wpływu tego zjawiska na zwyczajne godowe wala błękitnego. Powstała dzięki temu poezja zaangażowana zapewniłaby Pawłowi nagrodę Nobla. Żaden filmik i żadne staranie Al Gore'a o dobro naturalnego środowiska nie mogłoby się zmierzyć z tekstami płynącymi z kochającego, świeżo poślubionego serca.

Ale Paweł Kozioł nie idzie na łatwiznę. Jest poetą, poetą z rocznika siedemdziesiąt i coś tam. Szlachetny niczym flaszka Russkoje Igristoje rozprawiczana tylko na przełomie mileniów, Paweł okazał się nosić w sobie coś unikalnego, w przypadku polskich poetów tak rzadkiego jak niedźwiadek panda na orbicie okołozemskiej. A mianowicie Paweł Kozioł miał ambicję.

Skoro już zdecydował się zostać poetą, to chciał to zrobić sam, bez niczyjej pomocy – a zwłaszcza żony. Jak postanowił, tak też uczynił. Ani się spostrzegł jak okazało się, że w ciągu kilku chwil zapełnił kilkanaście stron A4 wierszami. Teraz należało je tylko obwieścić światu, pokazać ludziom i aniołom, samemu stwórcy by mógł kontemplować dzieło swego dwunożnego stworzenia.

Dzięki pewnemu wydawcy, dzieło Pawła Kozła ujrzało światło dzienne. Zaległo w internetowych księgarenkach, znalazło się w sortymencie „Taniej Książki”. Paweł Kozioł był

dumny. Musiał być. Kiedy zgodnie z umową wydawniczą redakcja przysłała na adres domowy Pawła egzemplarze autorskie, ten się bardzo ucieszył. Wreszcie mógł się pochwalić nie tyle kolegom i koleżankom, gdyż oni wiedzieli o jego marzeniach, ale przed rodzicami, którzy nie mieli pojęcia, że w miłosnym uniesieniu kilkadziesiąt lat temu spłodzili wieszca.

Z wypiekami na twarzy i wpisana w nią niepewnością oczekiwał reakcji mamy. Nerwowo skubiąc skórki przy paznokciach spoglądał na ojca. „Co tam Winiarski i jego befsztyki, które nazywa eufemistycznie recenzjami! Tylko oni się liczą! Ich zdanie!” – myślał w duchu.

Dlatego łatwo wyobrazić sobie to rozczarowanie, gdy z ust rodzicieli niemalże w tym samym czasie padło pytanie:

- Synku, ładne te próbki tapet. Z jakiego sklepu ci to przysłali? Czy dają rabaty?

Tomik *Wpław* Pawła Kozła, to zbiór tekstów pozbawionych treści w sensie klasycznym.

Brak tu nie tylko przyczyny i skutku, ale przede wszystkim treści, która wypełniałaby przestrzeń między przyczyną i skutkiem, nadając sens temu związkowi. Innymi słowy: w tekstach Pawła Kozła są zdania, wyrazy, znaki i także te interpunkcyjne, ale poza tym nie ma nic. Przykład:

*plącę sieć płaszcz, kable, szwy spójnego  
słowa. i wiersz się sprzęga. zapraszam na pisk  
mikrofony jak mewy: jeden, dwa, trzy. próba*

**(now my charms...)**

Przykład drugi:

*ultramaryna, ultradźwięki w czaszce. więc cała siłą, co została, jest  
niczyja: zwykłe, twarde promieniowanie tła  
na wspólnym zdjęciu. zwykła radioaktywność*

**(and what strength...)**

I ostatni bajszpil:

*wiersz jest najłabszy. lepiony z tej samej  
wegetatywnej wody. zaplątany wokół  
klifów, nadbrzeży, marginesów. szum*

*(chich is most)*

Prawda o dziełach zawartych w tomiku *Wpław* nie wymaga żadnego odkrycia. Powyższe przykłady nie były wyselekcjonowane intencjonalnie, by służyły za argument w dowodzie, którego konkluzja równałaby się owej złej intencji. Cytaty pochodzą z 3. pierwszych, kolejnych tekstów Pawła Kozła, opublikowanych w tomiku.

I zdaje się, że ta prawda o dziełach poety Kozła, nie była obca wydawcy, który zdecydował się wydać *Wpław*.

Każdy wydawca książek marzy o autorze, który napisze dla niego, dla siebie, dla milionowego zysku książkę o Harrym Potterze. Dlatego w redakcjach zatrudniani są specjaliści, którzy potrafią w zalewie manuskryptów odnaleźć to jedno dzieło, tego jednego autora – tego rodzyńka, którego drukowanie zapewni pełną michę dziesiątemu pokoleniu spadkobierców praw autorskich. Ze specjalistami bywa jednak tak, że:

- 1) jako spece mają ustaloną markę w środowisku
- 2) znają innych środowiskowych speców

W pierwszym przypadku oddziałują jako autorytety, które olewając wszelkie prawa estetyki, sensu itp., mocą swojego sakramentalnego „TAK”, starają się uczynić z osła orła. W drugim, występują jako kumple kumpli. A najlepszy kumpel, to ten, który zawsze pomoże albo zrobi coś fajnego, miłego na zasadzie: ty mi i moim kumplom, to ja tobie i twoim. Obowiązuje tu żelazne prawo konsekwencji: kumpel mojego kumpla jest moim kumplem. Łatwo sobie wyobrazić, że i w tym przypadku osłom dorabiane są skrzydła, a tylko dlatego, że osioł lub oślica nagle zechciał wzbic się w przestworza i potrzebował skrzydeł. „Masz jakieś na stanie? Druknij, co ci szkodzi. Nie bądź chujem Romek i tak odchodzisz”

Ale z tomikiem *Wpław* Pawła Kozła było inaczej. Nie wydaje się być prawdopodobne, że któryś z redaktorów mógł parafować druk tekstów bez treści. Przeciwnie. Traktując tomik *Wpław* integralnie – to znaczy: sumując wytluszczenia tekstów, studiując dokładnie obrazki, odszyfrowując anglojęzyczne wstawki, okazuje się że mamy do czynienia z wielkim wydawniczym eksperymentem.

Ale powróćmy na chwilę do kolumbijskich karteli kokainowych i ich metod upowszechniania białego proszku na całym świecie. Okazuje się, że narkotykowi bosowie fundują szkoły, w których biedne dzieciaki na parówkach cielejących uczą się połykania prezerwatyw wypełnionych koką. Parówa połykana jest w całości a następnie wyciągana z gardła. Osobliwa technika może być w pewnych okolicznościach zabawna, jednak dla ubogich dzieci z Ameryki Południowej tego rodzaju lekcje są jedyną okazją by zobaczyć kiełbasę z bliska. Inne techniki polegają na połykaniu dużych czopków wypełnionych białym proszkiem, zbudowanych ze specjalnych polimerów, które mają się nie rozpuszczać w kwaśnym środowisku żołądka. Mają – bo technologia jeszcze wymaga dopracowania.

Wydawca *Wpław* także postanowił przetestować najrozmaitsze metody przemycenia tej wyjątkowej, beztreściowej papki tekstu, do świadomości estetycznej. Zamiast parówek i czopków używa: obrazków i wytluszczenia pewnych części tekstu.

Oto rysunek:

Kwadracik, na nim helikopter, dwie pary babskich cycków (jedne sflaczałe inne sterczące i jędrne), pięć kresek, jakaś konstrukcja przypominająca krzesło i pan stojący za nią. W tle coś tam jeszcze jest, co wymaga dopiero „hermetycznego” koniecznie odkrycia, bo to coś uległo „przesłonięciu” jako „zasłonięciu”, stąd należy uciec się do deskrypcji Heideggerowskiej o prześwicie i o aletei i o innych uczonych rzeczach.

Rysunek nie jest osamotniony w tym zawirowaniu znaczeniowym, które wywołać musi w każdym umyśle taka dawka piktorealnych cycków. Obok rysunczku jak byk stoi dzieło Kozłowe, pt. **And my ending...**, które koniecznie domaga się cytatu:

*ja niby wiem: to znowu dykcja zatrzaśniętych*

*drzwi, grodzi za którymi zaznaczają ostatni  
błękitny pasek w miejscu, gdzie tamta twarda ściana*

Wyjątkowe, niczym megaczopki z kokainą wyplukiwane na durszlaku z kupy pod bieżącą wodą, są także elementy wyfluszczone w tekście. Przykład:

W tekście „**Gentile breath...**” Paweł Kozioł nie zaskakuje pisząc:

*sunie się taśma. spuszcza niebo wszystkie  
tytuły burzy. potem rozwija twój  
lekki oddech, lokuje cały alfabet raf*

Zaskakuje jednak redaktor, który wyróżnił w tekście:

**„źle toczą się puste  
rozmowy jak kalorie alkoholu”**

i:

**„no zobacz”**

oraz:

**„tak się odpływa”**

Połączenie tych pogrubionych fragmentów w całość skutkuje bardzo dobrym i sensownym tekstem w odniesieniu nie tylko do tego konkretnego wiersza, z którego pochodzą te wyfluszczenia, ale do całego tomiku.

Ten eksperyment wydawcy na czytelniku i jego świadomości estetycznej, na żywym poecie jest przede wszystkim eksperymentem na samym sobie. Wydawca, zwłaszcza poezji, ma doskonałe rozeznanie w rynku. Wie, że nie będzie w stanie konkurować z zalewem garmazeryjnym: z salcesonami i kaszankami w miękkich okładkach z klejonymi grzbietami, które płyną szerokim strumieniem z wrocławskiego Biura Literackiego, które specjalizuje się w asenizacyjnych połowach.

Nie ma szans na konkurencję, ponieważ na rynku jest brak poetów. Nie ma kogo wydawać, nie ma towaru, którym można konkurować w bitwie o statystycznego Polaka, który jak wiadomo czyta 1,34 książki / rok.

Z tego powodu wydawca zdecydował się na innowacyjny zabieg: na redaktorskie usensownienie dzieła. Treść – albo przynajmniej jakąś fatamorganę treści – czytelnik odnajdzie w redakcyjnych wyróżnieniach oraz w rysunkach, które mogą robić za artystyczną tapetę ścienną w pokojach zbuntowanych nastolatków z poprzekłuwanymi uszami, w których dźwigają odwrócone krzyżyki. To one sprawiają, że wyrzut sumienia po wyrzuceniu kilkunastu złotych na dzieło *Wpław* jest jakby mniejszy. Ale tylko ciut, ciut.

## Jacek Dehnel, Brzytwa okamgnienia

Wydawać by się mogło, że zarówno Marzena Słupkowska, Jarosław Kret czy ten grubas z POLSATU – to jedyni możliwi prezenterzy pogody. Że nikt nie jest w stanie ich zastąpić w przekazywaniu milionowej publice nowinek na temat nadchodzącej nocy i kolejnego dnia. Prawdopodobnie, pewni swoich posad, mogliby bez obaw o swoje zawodowe i finansowe jutro tak sobie żyć bez troski, gdyby nie Jacek Dehnel.

Jak wiadomo młody geniusz poezji polskiej, ostatnio przerzucił się na zajęcia bardziej dochodowe niż produkcja tomików poetyckich, które ostatecznie kończyły na dolnych półkach tanich księgarń. A mianowicie: zaczął pisać książki i – co najważniejsze – pomału, acz systematycznie zaczął przenikać do telewizji. Można go oglądać co jakiś czas w odcinkowym tokszoł pt. Łoskot. Kto widział choćby jeden z odcinków tej polskiej telenoweli, wie, że Jacek Dehnel nie mając rozpisanych w scenariuszu dłuższych kwestii, nie mówi zbyt wiele, ale za to bardzo ładnie się uśmiecha i bardzo naturalnie się zachowuje – co przed obiektywem kamery nie jest wcale takie łatwe. Innymi słowy: w wachlarzu zdolności Jacka, aktorstwo stoi tuż po jego talentach poetyckich, prozatorskich, malarskich, oratorskich, krawieckich i kulinarnych.

Właściwie jest to tylko kwestią czasu, zanim któryś z łowców głów z Woronicza, dorwie się do tomiku **Jacka Dehnela** *Brzytwa okamgnienia*, by w okamgnieniu aktor Dehnel z niszowego Łoskotu błyskawicznie awansował na głównego prezentera pogody w TVP. Mając swoje pięć minut w czasie najwyższej oglądalności mógłby wiele zdziałać dla przeciętnego widza, a i sama TVP mogłaby się pochwalić realizacją założeń misji, którą ma wpisana w statut. Zamiast drętwego: „Od wschodu do Polski napływa arktyczne powietrze. Temperatura od minus 8 stopni w Gorzowie, minus 6 na Pomorzu i aż do minus 21 w Suwałkach...”, w milionach odbiorników pobrzmiwałoby:

*Zaczęli sezon grzewczy – na parterze wisi stosowna  
kartka. Dla nas żadna to nowina*

**(sezon grzewczy [6-10. X])**

O obfitych opadach śniegu i o tym, że zima jak co roku i tym razem zaskoczyła polskich drogowców, Jacek Dehnel powiedziałby milionom przed telewizorami tak:

*W dole delta – kaniony w płaskowyżach bieli  
odstaniają czarnoziem asfaltu*

**(szerokie okna [28.II])**

Jacek Dehnel jak żaden inny prezenter pogody, ani nawet jak wszyscy prezenterzy razem wzięci, potrafiłby oddać uroki pierwszych dni późnomarcowej wiosny. Przeczytałby z promptera uprzednio przygotowany tekst:

*Topnieje. Nieba widać więcej niż zazwyczaj, w  
górze tyle, co zwykle, na dole bonusy: ogromne  
składy ciekłych, niebieskawych luster*

**(odwilż [30.III.]**)

Po tych słowach redakcyjny telefon dosłownie urywałby się. Tysiące pytań i wątpliwości: „*Co to jest ciekłe, niebieskawe lustro?*” huczałoby tak doniośle, że pół godziny po wyemitowaniu tego odcinka pogody, w którym Jacek Dehnel zapowiadał nadejście wiosny, prezes TVP zdyscyplinowałby pisemnym upomnieniem swojego podwładnego. Dlatego już następnego dnia, o stałej porze, ubrany w ładny garnitur prezydent pogody ogłosiłby:

*Dookoła,  
rozruta z lodów, trawa strzępiasta, raz ubita, raz  
grząska, anarchia roztopów: czubki drzew ponad  
wodą, migracje gryzoni, bezładny pęd obłoków. W  
lasach resztki śniegu bieleją*

**(odwilż [30.III])**

Jako etatowy pracownik TVP, Jacek Dehnel pewnie odbywałby służbowe podróże do USA. Każdy z telewizji przecież przynajmniej raz był w Stanach. O tej wizycie, w trakcie której zapoznałby się z najnowszymi wynalazkami techniki prognozowania pogody, opowiedziałby z takimi emocjami w głosie, których mógł mu sam Mariusz Max Kolonko tylko pozazdrościć. Uprzednio przygotowaną notę:

*lot AE60 z Michigan to pole  
rudej spalonej ziemi, obsiane w krąg złomem*

**(kompleta [9.V. – 6. VI])**

przeczytałby tak, jak to sobie rozpiął w scenariuszu:

**lot** [ ! Albo nawet !!, żeby nie było wątpliwości, że to był lot a nie podróż autobusem czy PKP] **A** [przerwa] **E** [przerwa] **60** [ton głosu jak u Kraśko] **z Michigan** [potrenować amerykańskie „czy” i to charakterystyczne „a”, które zmienia się w „e”. Miczigen powtórzyć w drodze z pracy do domu i przed snem] **to pole** [zawieszenie głosu, jak u Maxa, gdy mówił „pustynia Mohawe”], **rudej** [wymawiając pomyśl o Kasi Dowbor, która dyga teraz w redakcjach dziecięcych, żebyś wiedział co cię czeka, jak źle wymówisz!!] **spalonej** [ tu można pokusić się o taka interpretację, jaką zaproponował Maciek Stuhr parodiując Maxa. Ważne: odcinek przejrzeć dziesięć razy przed snem i dwa tuż po przebudzeniu. Jest na YouTube!] **ziemi** [tu złapać oddech i wykonać charakterystyczne złożenie rąk „w modlitwę”. Sprawdzić skórki i paznokcie. Pożyczyć złote spinki do mankietów. Program na żywo! ] **obsiane w krąg złomem** [powiedzieć szybko, tak szybko żeby nikt się nie skapnął. Żeby nie zdarzyła się powtórka z nieszczęsnymi „lustrami”, po których wylądowałem na dywaniku u prezia]

Wszystkie datowane wiersze Jacka Dehnela z tomiku *Brzytwa okamgnienia*, mają charakter meteorologiczny. W lutym w wierszach Dehnela pada śnieg, w marcu przychodzi wiosna, a latem, kiedy są wakacje poeta Dehnel lata do USA. Dlatego nie powinno dziwić, że jest to tylko kwestia czasu, kiedy jeden z jego siedemdziesięciu dziewięciu ukrytych talentów zawiedzie go na najwyższe z pięter wieżowca przy Woronicza. Nie sędzę jednak, by Jacek Dehnel zechciał ograniczyć się do tych kilku chwil, po głównym wydaniu Wiadomości. Po wykoszeniu Horczyczaków, Kretów i Słupkowskich nadejdzie pora na samego prezesa.

Poeta wie co zrobi. Jak zwykle wcześniej rozpiisał sobie to zdarzenie w detalach, tak, żeby przypadkiem nic mu nie umknęło, gdy zabierze się do roboty.

Użyje staromodnego narzędzia z szafki dziadka – brzytwę ze stali damasceńskiej, tak, żeby spece z laboratorium policyjnego się nie zorientowali. (Całe szczęście, że policja zdradza swój warsztat pracy w „CSI, kryminalne zagadki Miami”). Następnie zakradnie się, sieknie jednym płynnym ruchem i spoglądając na litry krwi, tryskającej w rytmie skurczu serca powie: „właśnie tędy przeszła brzytwa okamgnienia” . Po odcięciu uszu, nosa, rąk, nóg i innych członków pana prezesa, przyglądając się ponuro walającemu się po posadzce korpusikowi zupełnie obojętnie wyzna: „*Brzytwa okamgnienia odcina to, co zbędne*”.

A kiedy go złapią – bo o tym, że zostanie schwytany przez rudowłosego policjanta z CSI, niejakiego Horatio Kane’a, który zawsze wszystkich i tak złapie, choćby nie wiadomo co się działo – kiedy zbombardują go miliardem pytań, kiedy wysoki sąd, zanim ogłosi dożywocie zapyta: „Czy oskarżony żałuje?” odpowie: „*bez chwili i po chwili*”. A później, we Wronkach będzie: „*wielka woda i strach (na wróble) i ukryte paski*”(na pasiakach) – z czego także, jako umysłowość genialna, zdaje sobie sprawę Jacek Dehnel.

Tomiczek Jacka Dehnela pt. *Brzytwa okamgnienia* należy uważnie studiować. Tu każdy znak ma znaczenie, każda data i dedykacja. O korzyściach z tych studiów nie muszę zapewniać. Mało kto wie, że amerykański suseł widzący swój cień, ma mniejszą liczbę trafień niż chociażby Dehnelowska **Odwilż**. Każdy czytelnik będzie mógł sam przetestować trafność prognoz Dehnela w kwestii zmiany pogody już **30.III** tego roku. Gwarantuję, że tego dnia – zresztą jak co roku, dzionek będzie wyglądał tak:

*Topnieje. Nieba widać więcej niż zazwyczaj, w  
górze tyle, co zwykle, na dole bonusy: ogromne  
składy ciekłych, niebieskawych luster*

## **Marcin Czerkasow, Falszywe zaproszenia.**

Byłem wściekły, zdruzgotany i całkiem zadowolony z takiego obrotu spraw. Upajając się widokiem trupa, wiedziałem że popełniłem zbrodnię doskonałą. Musiałem tylko dokładnie ukryć rewolwer - narzędzie zbrodni. Ukryć tak dokładnie, żebym ja sam, gdy mnie naszpikują serum prawdy, nie odnalazł spluwy. Póki co, musiałem odpocząć. Byłem zmęczony. Kurewsko zmęczony szarpaniną z bydlakiem. Ważył swoje. Na oko sto trzydzieści kilo. Nie miałbym żadnej szansy w szarpaninie, gdyby nie mój przyjaciel od Smith & Wesson, z którym się muszę teraz dożywno rozstać. Czułem się trochę jak szwarczarakter z amerykańskiego kryminału, który pod koniec opowieści zaszywa się gdzieś na ostatnim piętrze podrzędnego motelu, barykaduje drzwi i z wycelowaną w nie lufą spluwy wyczekuje charakterystycznego puk-puk genialnego detektywa, który zawsze trafi na jego ślad i go odnajdzie.

Leżę w rozmemłanej pościeli i wpatruję się w wiatrak na suficie. Staram się liczyć kolejne obroty. Zaciągam się R6. Wiem. Dla panienek i pedziów. Ale to mój pierwszy papieros od kilku miesięcy. Marlboro, moje ulubione Marlboro, dzisiaj by mi pewnie nie smakowały. Do nich trzeba się przyzwyczaić. Pomału. Mam czas, a w międzyczasie skupiam słuch na biciu serca i odgłosach, które dobiegają zza drzwi. Czekam na ciszę, która zawsze zapada na kilka chwil poprzedzających szturm oddziału SWAT. Póki co latynosi załatwiający swe biznesy na klatce schodowej nie zamierzają zamilknąć. Jest głośno, jest dwadzieścia osiem stopni w plusie i jest jedna mucha, która latając mi nad nosem wybitnie mnie irytuje. Poza tym nie dzieje się nic. Na razie nic.

Wszystko zaczęło się kilkanaście miesięcy temu, kiedy do mojego biura weszła ona – blondynka w czerwonej kiece. To był piękny dzień, słońce śpiewało, czeki spływały z drzew i ktoś nucił: „Pilnuj swego nosa synku”. Od razu wiedziałem, że to się dla mnie źle skończy. Jeszcze żaden bohater – nieważne czy dobry czy zły – nie przeżył kontaktu a blondynką w czerwonej sukience. Nie spodziewałem się, że ja będę wyjątkiem, ale przyznaję: łudziłem się, chciałem wierzyć w to, że mi się uda, że ocalę ją z tarapatów, że za każdym z bydlaków, którzy depczą jej po piętach, wysłę w pościg moich sześciu ołowianych przyjaciół z niklowanego bębenka rewolweru. Jeszcze nigdy mnie nie zawiedli i być może dlatego dawałem sobie początkowo duże szanse mimo iż praktycznie nie miałem żadnych.

Usiadła naprzeciwko mnie. Ze znaków szczególnych: miała długie, nieludzko długie rzęsy i piękne niebieskie oczy. Aha! I włosy – blond włosy, lekko pofalowane, opadające swobodnie na ramiona. Wyobrażałem je sobie w dotyku i to jak pachną. Włosy zawsze jakoś pachną, a zwłaszcza te koloru blond, które stały się paradygmatem unikalnej estetyki.

Przysunęła krzesło bliżej biurka, tak jakby chciała mnie lepiej widzieć, albo żebym ja ją lepiej widział. Nie wiem, to nie istotne, ważne jest że robiła to z premedytacją. Ona zwyczajnie wiedziała co ma robić, miała zaplanowaną każdą sekundę tego spotkania o czym dopiero dowiedziałem się później. Gdybym wówczas wiedział, że nie miałem szans, przystawiłbym sobie oksydowaną lufę rewolweru podbródka i strzelił. W tej chwili tylko nieświadomość dzieliła mnie od śmierci, i jej znieczulający wszelkie rozterki i bóle urok.



Była piękna, kiczowato piękna tak jak to opowiadanie. Ale mi to nie przeszkadzało. Wydatne usta, których kształt podkreślała konturówka, nadając im cech pospolitego kurestwa. Nie mogłem się oprzeć myśli, że spoglądam w okolice podbrzusza i widzę te usta, które dokładnie wręcz idealnie przylegają do mojego fiuta, tak jakby mój penis był ich przeznaczeniem, sensem ich życia, schicksalem, który zaprowadził miliony prostą drogą do pieców krematoryjnych. Wyobrażałem sobie ich wilgoć, ciepło i konsystencję. Pomadkę, która się po każdym ruchu coraz bardziej rozmazuje, która podporządkowując się wszelkim prawom termodynamik przechodzi z jednego miejsca na drugie, zmieniając na chwilę stan skupienia.

„Pilnuj swego serca, idioto” – pomyślałem, przywołując się do porządku. Wiedziałem, że nie stać mnie nawet na najmniejszy błąd. Między mną a przeciwną stroną biurka ważyła się w tej chwili szekspirowska alternatywa: być sobą albo być trupem. Jako, że byłem bardzo przywiązany do swojego bycia i nie chciałem być kimś innym, a zwłaszcza trupem, zmusiłem umysł do maksymalnej koncentracji. By ochłonać, oderwałem od niej wzrok i skupiłem na oknie po lewej stronie.

Dawno wypracowałem taką prywatną technikę opóźniania orgazmu, a mianowicie: kiedy wiedziałem, że za chwilę będzie po wszystkim, a jednocześnie widziałem, że dziewczyna, która leży pode mną nawet się nie rozgrzała, starałem się myśleć o czymś innym by opóźnić wytrysk. Wyobrażałem sobie najczęściej swoją nauczycielkę od niemieckiego z czasów szkolnych – szkaradnego babsztyla o manierach gauleitera z Auschwitz, który samym wzrokiem był w stanie unicestwić szwadron wypasionych Ukraińców robiących za kapo w męskich barakach. Zyskiwałem kilka chwil, w zasadzie kilka ruchów góra-dół.

Patrzę zatem w okno by tylko nie myśleć o niej. Straciłem kontakt z nawierzchnią. Brzmi to fatalnie, ale nie potrafię inaczej opisać tego uczucia, które mi w tamtej chwili towarzyszyło. Za oknem światło schodziło w dół, dotykając drzew, a ludzie opuszczali budynki o właściwych porach. Działo się to, co zwykle się dzieje o tej porze dnia. Wszędzie to samo, tylko nie w biurze na czwartym piętrze starej kamienicy przy Bohaterów Getta – nie u mnie. Przy moim biurku, w tej samej chwili, w której – jak to mówią poeci: śpiewające koparki ratują swój sens, czyli gdy nic się nie dzieje – u mnie zmieniał się porządek stworzenia, życie rozpoczęło pochód ku swojej antytezie. Być może nie byłoby w tym nic wyjątkowego, gdyby nie to, że chodziło tu o moje życie.

- Zapali pan – zapytała blondynka podsuwając mi pozłacaną papierośnicę, w której w rządku ułożone były cieniutkie papierosy, takie które tylko kobiety palą albo pedały w otchłaniach swoich darkroomów po skończonych penetracjach.

- Nie dziękuję. Rzuciłem kilkanaście miesięcy temu, kiedy zacząłem pluć krwią. Kiedyś dużo paliłem...

- Acha – przerwała mi znużonym tonem nie spojrzawszy nawet na mnie. Przypaliła złotym Dupontem papierosa. Zaciągnęła się płytko. „Po chuj ja to wszystko gadam?!” – irytowałem się w duchu – „Co to może ja obchodzić?”. Postanowiłem milczeć, a jeżeli będę cokolwiek mówił, to tylko jako odpowiedź na jej pytania.

Założyła nogę na nogę, poprawiając fałdę sukienki, która się pojawiła na udzie. Zaciągnęła się raz jeszcze i powiedziała:

- Tylko pan może mi pomóc.

„Oczywiście, że tylko ja” – pomyślałem. Takie blondyny zawsze mają swojego jedyne go zbawiciela. Łotra, który poprzez poświęcenie i śmierć z automatu idzie do nieba. Tylko, że ja nie miałem ochoty iść do nieba. Uważałem, że mam jeszcze czas, wbrew temu co czas myślał

sobie o mnie. „Może więc sposób w jaki docierają do nas informacje, to rodzaj ukrytej łaski?” – pytałem siebie w duchu.

- W czym mogę pomóc? – wypaliłem głośno i zdecydowanie, nie dając po sobie poznać chaosu myśli i piętrzących się rozterek. Siliłem się na profesjonalizm. Musiałem być profesjonalistą, w końcu od pół roku mamy wdrożone ISO, nie można inaczej. Ona w tym czasie spokojnie gasiła w jednej trzeciej wypalonego mentola w mosiężnej popielniczce, stojącej w rogu biurka. Ugniotła go skrupulatnie akrylowymi paznokciami, tak że nie unosił się z niedopałka najmniejszy nawet dymek. Nigdy nie lubiłem dymiących kipów w popielniczce, takich nie dogaszonych, które tliły się aż do filtra zasmradzając atmosferę w pokoju. Wówczas odechciewało się palenia w ogóle. Ten smród topiącej się waty w filtrze, przesyconej substancjami smolistymi był świetną ale niedocenioną reklamą antynikotynową. Ale do rzeczy.

Dziewczyna odgarnęła włosy z twarzy, spojrzała na mnie i uśmiechając się kącikiem ust odparła:

- We wszystkim.

I tymi słowami wyczerpała pulę moich pytań dodatkowych, które chciałem jej zadać. One zawsze tak robią, specjalizują się w wytwarzaniu sytuacji nieznośnego, krępującego milczenia – ciszy, w której odgłos przełykanej śliny i towarzyszący jej charakterystyczny ruch chrząstki krtani jest eksplozją kilotony trotylu.

- A właściwie, to przyszedł by pana poprosić, żeby pan zabił mojego męża? – dodała spokojnie, tak jakby chciała wydobyć mnie z zakłopotania, o którym wiedziała, bo w sama mnie w nie wpędziła poprzednim wyznaniem.

- Pomyliła pani adresy.

- Nie, nie pomyliłam

- A dlaczego...?

- Jeśli nie my, to kto? – przerwała mi spoglądając błagalnie w oczy. Chyba wiedziała, że ten tok rozmowy wiedzie do niekończących się pogawędek etyczno-filozoficznych na temat wartości życia, miłości, przysięgi małżeńskiej i innych scholastycznych bzdetów, na które ani ona ani ja nie miałem ochoty. Wiedziała, że będzie musiała powiedzieć te wszystkie kłamstwa, które sobie przygotowała jako intelektualne alibi dla zbrodni, którą miałem za nią popełnić. Być może obawiała się też tych niespodziewanych pytań dodatkowych, których prywatni detektywi mojej klasy – czyli podrzędni pijaczkowie z granicy marginesu – mieli zawsze pod dostatkiem. W każdym razie jedno było pewne – nie pozwoli mi pogadać. Zrobi wszystko – od erotycznego nadymania i tak rozdętych silikonem ust, po tzw. nie chcące i zupełnie przypadkowe wymsknięcie się piersi prawej lub lewej z dekoltu na wolność a na solidnym, całonocnym wyuzdanym seksie kończąc, byle tylko nie rozmawiać, byle nie pojawiły się wątpliwości czy dylematy. W świetle tych pytań wszystko staje się jasne. Płatna miłość za drzwiami – taka zabawna. I ona, taka jakby była gotowe na wszystko.

Jest dziewiąta rano, jest dzień ale najważniejsze jest to, że już po wszystkim. Moi latynoscycy sąsiedzi nie zawodzą. Jednak ich hałasy nie są w stanie stłumić natrętnego wyrzutu sumienia. Zamykam co chwilę oczy, by nie myśleć o tym, co się zdarzyło wczoraj. Ale także ciemność nie daje ukojenia. Zamiast ulgi widzę matkę, która powtarza: „Synku, rób tak w życiu, żeby nikt przez ciebie nie płakał”. Ciśnienie wartości wpajanych przez całe dzieciństwo, które przekreśliłem dla blondynki w czerwonej kiece przekroczyło wartość krytyczną. Nie było już odwrotu. Otwieram oczy. Wolę widzieć rozklekotany wiatrak klimatyzatora zwisający z sufitu niż matkę, która dziś swoimi mądrościami zbliża mnie do samobójstwa. Jedyna mucha w pokoju wybrała sobie za przystań jedyny nos w tym pomieszczeniu – mój nos. Kiedy przysiadła na nim po raz kolejny dałem spokój. Powiedziałem:

- To twój ostatni posiłek. Nażryj się potu, za chwilę będziesz mogła złożyć jajeczka na moich gałkach ocznych. Postaram się nie zamknąć powiek.

Wyjmuję swojego chłodnego, stalowego przyjaciela. Tylko on w tym pomieszczeniu zachował zimną krew i zdrowy rozsądek. Liczę na to, że zrobi to, co ma do zrobienia. Że kiedy spust uderzy w spłonkę, ta spowoduje zapłon prochu a kula dokończy dzieła. Liczyłem na prostotę i niezawodność konstrukcji swojego rewolweru, tak różną do gmatwaniny, w która się władowałem na własne życzenie.

- Spójrz na mnie – powiedziałem wpatrując się w lufę rewolweru – w końcu jak długo można trzymać głowę pod poduszką w miejscu, gdzie trzyma się broń.

- Żegnaj laleczko...

Przy odrobinie chęci każdy z was może napisać równie kiczowate opowiadanko, pod warunkiem, że się zaopatrzy w odpowiedni scenariusz, których dostarcza bez liku polski wieszcz: **Marcin Czerkasow**, w tomiczku: **Fałszywe zaproszenia**.

Powyższe opowiadanko powstało w oparciu o tekst pt. *Smutne pieniądze*, jakich wiele w rzeczonym dziele, rzeczzonego wieszcz. Zaczyna się on tak:

*byłem wściekły zdruzgotany i całkiem  
Zadowolony z takiego obrotu spraw. W końcu  
Jak długo można kryć głowę pod poduszką –  
W miejscu, gdzie trzyma się broń*

Dlatego jeżeli jesteś – drogi czytelniku – bezrobotny, co w czasach globalnego kryzysu nie jest żadnym wstydem, to sięgnij po tomik Marcina Czerkasowa. Na pewno uda się tobie z tych dzieł zмайstrować scenariusz serialu do TVP. A jeżeli brak tobie talentu, to zwyczajnie usuń „entery”, łącząc wersy w zdania i masz kiczowaty serial jak na dłoni.

## Wallace Stevens, Żółte popołudnie.

Węgierskie piosenki o problemach sercowych – i nie chodzi tu o bajpasy czy zastawki, ale o miłość – poznaje się po tym, że zawierają charakterystyczną frazę: „fuj a szél” (po polsku: „wieje wiatr”). Rodzime dzieła o podobnej tematyce, w szczególności te, które powstały w ramach artystycznego nurtu o wymownej nazwie: diskopolo, także mają swój znak szczególny. Oprócz specyficznego tempa i wszechobecnego dźwięku kejbordu, rozpoznawało się je każdorazowo po frazie: „serce me”.

Polscy wieszczowie – nieważne czy robią to jako tłumacze, czy też w autoryzowanym akcie twórczym przy biurku w świetle lampki halogenowej – jak ognia unikają wprowadzania do korpusu dzieła frazy diskopolowej. Powód tej literackiej gardy jest równie oczywisty jak oczywista oczywistość sama – polscy wieszczowie boją się zaszufładowania. Wprawdzie wieszczowie znad Wisły chcieliby zarabiać tyle, co lider zespołu Boys - Marcin Miller, ale nie pod własnym nazwiskiem, którym podpisują swoje wielkie dzieła. Z chęcią wymyśliliby sobie jakieś ksywki, oczywiście wieloznaczne jak na przykład: Papieros Davidoff czy Tłumacz Gutorow i by zgarniali kolejne tysiączki peelenów z tantiemów.

By zwieść zmysł estetyczny polskiego odbiorcy, który już w połowie lat 90. ubiegłego stulecia, w niedzielne poranki unikał jak ognia solorzowego Polsatu, z którego skocznie pobrzmiwał Bajerful, Topłan, Szaza (eh, ta Szaza i jej czarna miniowa z poduchami na ramionach, w której wyglądała jak zawodniczka ligi NFL!), wieszcz by nie wywołać ogólnospołecznej traumy będzie czerpał z mało znanej tradycji węgierskiej, w której za „serce me” robiło: „fuj a szél”. Wiatr zatem będzie wiał wszędzie, gdzie tylko będzie mógł. A jeżeli nie będzie mógł, to i tak będzie wiał wiatr, bo wiatr jest od tego by wiać. A każdy powiew wiatru – czego dowodzi historia diskopolo – to określona kwota spływająca miesięcznie z wydawnictwa na wieszczowskie konto.

W praktyce wygląda to tak:

W 2008 r., wydawnictwo specjalizujące się w literackiej garmażerze salcesonowo-pasztetowej – czyli wrocławskie Biuro Literackie, by wyjść na ekonomiczną prostą, postanowiło wydać jakiegoś zagranicznego poetę. Trudno się dziwić tej decyzji, wzięwszy pod uwagę jakość okresowych połowów Biura, w których zamiast dorszy, w wydawnicze sieci wpadały cierniki. Mimo obietnic sławy i innych wydawniczych zanęt i przynęt, błyspek i złotych haczyków, żadna solidna ryba brać nie chciała. W odróżnieniu od planktonu, cierników i miniploteczek, które marzyły o tym, że w sieciach Biura Literackiego, zmieniają się w literackie smoki morskie, białe wieloryby, lewiatany czy też scylle i charybdy. Cały ten plankton literacki w ruch wprawia bajkowy morał, jaki wynika z opowieści o brzydkim kaczątku, które w swoim czasie zmieni się w zjawiskowego ptaka. Biuro chcąc zarobić, regularnie wysyła swoje okręty przetwórnice, które na bieżąco i hurtem mieli cały zaciąg w jednolitą papkę, przyprawia to pomidorami i sprzedaje jako paprykarz. Ale jak długo można żreć paprykarz, skoro na sklepowych półkach od dawna są oprócz butelek octu i całej masy innych towarów, także banany w cenie 2,70 zł / kg?

W związku z tym by się odkuć i zrekompensować straty powstałe w wyniku spadku zapotrzebowania na paprykarz wrocławski, Biuro Literackie postanowiło wydać wierszyki,

które na pewno się sprzedadzą i to nie za jakieś tam groszowe naście złotych. Był jednak jeden mały problem - nie było czego szukać w kraju. Wszystkie bałtyckie rekiny jak Miłosze, Pawlikowskie-Jasnorzewskie, Waty i inne sztuki zagarnięte zostały przez wydawniczą konkurencję. Wysłano zatem kapitana Ahaba na poszukiwanie literackiego Moby Dicka w świat, by złowił im solidny kawał flajszu, który w małych porcyjkach upchną po cenach a'la krakowski ZNAK złaknionym wielorybiego mięsa konsumentom.

Wrocławski Ahab, w odróżnieniu od melvillowskiego pierwowzoru, wypłynął na szerokie googli przestworza. W pasku przeglądarki wpisał frazę: Czesław Miłosz. Wynik: 490.000. Wiedział, że musi znaleźć coś lepiej zaindeksowanego. Prawdziwego big fisza. Zastanowił się raz, drugi raz, trzeci i piątasty. A kiedy już myślał, że będzie się musiał w nieskończoność zastanawiać – no co nie miał zbytnej ochoty – nagle, gdy Polsat emitował po raz kolejny hicior z Brussem Łylisem, wpadł na pomysł (tu istotną rolę odegrał konsonans między tymi nazwiskami, który instynktownie wyczuł Wrocławianin), by wydać Wallace'a Stevens'a. Dolnośląski Ahab upewnił się jeszcze, że to na pewno dobry wybór. Kiedy przeglądarka podała rekord: 618.000 dla frazy: Wallace Stevens, natychmiast wydał nakaz tłumaczenia.

Jednak nie mogło być to tradycyjne traduttore. Gdyż najszlachetniejsza nawet potrawa źle przyrządzona i fatalnie podana nie będzie smakowała. Postanowiono zatem zlecić takie tłumaczenie na pewno się sprzeda. Traditor – w tym przypadku: Tłumacz Gutorow miał proste zadanie. Wykorzystać najlepiej sprzedające się frazy, których działanie i skuteczność już przetestowano na odbiorcy. Użycie wyrażenia „serce me” nie wchodziło w rachubę w polskiej rzeczywistości estetycznej. Dlatego Tłumacz Gutorow, od węgierskich bratanków, zapożyczył dla potrzeb przekładu kategorię: „fuj a szél”.

#### Skutek

Idzie człowiek do księgarni. Na półce z poezją widzi – stoi jak byk książka, jak na poezję z tego działu ciut za gruba. Tytuł: **Wallace Stevens**, *Żółte popołudnie*. (wybór, przekład postłowie Jacek Gutorow). Człowiek otwiera by sobie podczytać i pierwsze co się rzuca w oczy człowiekowi to – jak nigdy wcześniej – stopka wydawnicza. Kolejnych 17 dat copyrightu mówi samo za siebie. Można z dużym prawdopodobieństwem przypuszczać, że za chwilę na umysł smakosza zwali się ociekający tranem oderżnięty od korpusu łeb białego wieloryba, z którego będzie można wyssać mózg. I trwoga zaczyna ogarniać każdego miłośnika poezji, który ostatnimi czasy raczony był paprykarzem. Czy ta uczta aby nie skończy się sraczką? Jak zareaguje organizm na zmianę diety? Wszelkie obawy rach-ciach znikają po lekturze trzech pierwszych tekstów z zaproponowanego czytelnikom wyboru z poezji Stevens'a – zadbał o to tłumacz na spółę z wydawcą. Wieje w nich wietrzyk, który zniewolił i zniewala madziarów – czyli klasyka literackiego przeciągu z wiatrem i liśćmi w roli głównej.

#### Tekst numer jeden

*Kolory krzewów  
I opadłych liści  
Powtarzały się  
I wirowały w pokoju  
Jak te same liście  
Wirujące na wietrze*

**(Dominacja czerni)**

Tekst drugi:

*Gromadzące się planet  
Były niczym liście  
Wirujące na wietrze*

Tekst numer trzy:

*... gdy zawodzi wiatr  
Gdy te kilka liści wydaje odgłos.*

**(bałwan ze śniegu)**

To, czego mi osobiście zabrakło w tłumaczeniu, to jakaś wstawka:

*„I bawimy się! Wszyscy razem! Rączki do góry!”.*

Ale czego można wymagać od diskopolowej rozrywki za trzy dyszki. Chociaż przyznać trzeba, że w porównaniu z cenami biletów na ostatni koncert Boys w Kongresowej, cena „Żółtego popołudnia”, mimo porównywalnej jakości gwarantowanej zabawy jest konkurencyjna.

Ale może też tak przecież być, że się zwyczajnie przypierdalam i że te stevensowskie wicherki podbijały i podbijają serca spragnionych poezji Amerykanów, którzy jak wiadomo na długo zanim Heron z Aleksandrii opisał zasady działania pierwszej maszyny parowej, opracowali system baterii rakiet Patriot klasy ziemia powietrze. Kto wie, może Wallace Stevens jest typowym przedstawicielem narodu, który wymyślił nazwę: „hot-dog” dla określenia ciepłej parówki cielęcej, podawanej z majonezem i bułką? Kto wie, kto wie.... jedno jest pewne: trzy dyszki poszły się jebać. Zamiast solidnej porcji alaskańskiego laksa, kupiłem hamburgera z wrocławskiego McBiuraliterackiego – potrawę, która zaskakuje tylko gruszkami, które nie wiadomo skąd się tam wzięły. No, ale jeżeli sam Artur Burszta bierze się za opracowanie graficzne, to nawet kiełbasa podwawelska podana z dżemem truskawkowym nie powinna zaskakiwać. Szlag by to trafił!

## Jarosław Lipszyc, poczytalnia

Był rok 2000., był i minął. Tak zwyczajnie się skończył. Pamiętam, że byłem bardzo zawiedziony tą pospolitością. Pani, która w telewizji wróży codziennie z kart i przepowiada przyszłość każdemu, kto się do niej dodzwoni, przepowiedziała mi – zresztą nie tylko mi, ale wszystkim, którzy wówczas oglądali kanał astro.tv – że w sylwestra 2000 r., znany mi świat legnie w gruzach. Że na jego zgliszczach wykiełkuje jakoś do tej pory nieznaną, rzeczywistość bezprzymiotnikowa, dla której dopiero trzeba będzie wynaleźć określenia. Zgodnie z trzyminutową relacją telewizyjnej specjalistki od czasu przyszłego, koniec świata miał wyglądać następująco (cytuję dosłownie. Dobrze zapamiętałem wróżbę nie dlatego, że zapłaciłem za nią 190 zł, które doliczono mi do rachunku telefonicznego, ale z powodu scen drastycznych, które mi pani wywróżyła):

**Wróżka:** Ziemia się rozstąpi. W płomieniach zginie większość ludzi, ale pan przeżyje.

**Ja:** A żona?

**Wróżka:** Ona też

**Ja:** Jest pani pewna?

**Wróżka:** Tak, ale się upewnię. O następna karta... chwilę... chwilę... to wisielec, oznacza śmierć. Jednak nie, i ją czeluść pochłonie. Tak, niestety, ona także...

**Ja:** Uff, co dalej.

**Wróżka:** Będzie koniec świata.

**Ja:** Ale ja na pewno przeżyję?

**Wróżka:** Tak, bez wątpienia, karty mówią, że tak.

Pierwszego stycznia 2001 roku nic się nie zmieniło. Obudziłem się jak zwykle u boku tej samej baby, z którą od lat żyję, u boku której od lat zasypiam, której smród z zepsutych zębów od lat wacham. Gdyby nie ten fetor zgnilizny, który wieczorem i tuż nad ranem bywa szczególnie nieznośny, może nie miałabym szczególnych powodów do narzekań. Jednak ani gumy miętowe, ani tik-taki, które jej podsuwałem każdego dnia i tuż przed pójściem do łóżka nie skutkowały. Tyle razy jej mówiłem o postępach w dziedzinie stomatologii. Opowiadałem o bezbolesnych znieczuleniach i o tym, że już nie boli. Ale ona zamiast na dentystę wolała wydawać pieniądze na wykałaczki, którymi wydłubywała naprawdę spore kawałki jedzenia z dziur w zębach. Brała je następnie między palce, rozgniatła i wwąchiwała się w fetor, który wydzielał się z nadgniłych resztek jedzenia.

Dlatego łatwo sobie wyobrazić powód, dla którego jak nikt inny na świecie, to właśnie ja, wyczekiwałem katastrofy milenijnej. Cudu odmiany, który się przytrafia raz na sto lat.

Równie łatwo można sobie wyobrazić moją pretensję do świata, który się nie zmienił; moją nieufność do panów i pań z telewizji; mój brak wiary w moc kart tarota. Każdego poranka i każdego wieczoru te same żale, te same pretensje tyle że za każdym razem odrobinę większe. Miałem pewność, że to tylko kwestia czasu zanim ta narastająca substancja psychiczna osiągnie któregoś dnia masę krytyczną. Świadomość, że długim nożem kuchennym zakończę życie istoty, która dosłownie zatruchiła mi życie, dodawała mi ochoty do życia.

Dzisiaj, tj. 26 dnia miesiąca luty roku 2009 odczułem na chwilę ulgę. Nie dlatego, żeby moja żona odwiedziła w końcu gabinet stomatologiczny. Nie dlatego także, żebym ją zamordował a

odciętą głowę ukrył w hermetycznie zamykanym pojemniku. Przyczyna poprawy mojego samopoczucia była inna. Okazało się – co odkryłem dopiero po 9. latach beztraskiej niewiedzy - że w 2000 roku świat był o krok zaledwie od katastrofy, że ten sam krok dzielił mnie od ocalenia.

Otóż 2000 roku w warszawskim wydawnictwie Lampa i Iskra Boża wydany został tomiczek **Jarosława Lipszyca** pt. *Poczytalnia*. Tomiczek tomiczkiem. Niby zbiór wierszyków wieszczą polskiego, ale jednak nie. Nie w tym konkretnym przypadku. O jakości tej poezji, o zbawiennym novum, o sile w niej zawartej równej impetowi asteroidy przedzierającej się przez atmosferę by pizdnąć w ziemię i spulweryzować ją, zmienić w kosmiczny pył, przekonuje już pierwszy tekst **słuchaj**, który Lipszyc zadedykował Tomaszowi Januchcie. Oto fragment:

*to oczywiste mówisz jak dla ciebie nic  
a dla mnie wszystko traci kolory i ląduje w ostro skontrastowanym  
to syndrom kastracji powiem re  
interpretacja reinkarnacji o!  
jakbym w ogóle nic nie mówił  
nic nie zmienia faktu że cmok cmok absmak  
ale soczyście*

Gdyby na powierzchni mojego mózgu znajdowało się o 10 fałdek więcej, zapewne w chwili, w której odkryłem istotę przerezutni: „re – interpretacja” miałbym swojego (sic!) penisa w lewej dłoni, ścisnąłbym go tak, jak tylko ja potrafię i masturbowałbym się płynnym ruchem: góra dół, góra dół.

Akt samogwałtu byłby krótki. Dotrwałbym zaledwie do frazy: „*cmok cmok absmak*”. Nie mam pojęcia, co znaczy i co znaczyć może kategoria „*abmsak*”, ale wiem jedno, że w tej samej chwili, w której bym się doczytał do tego cmokającego miejsca w tekście, miałbym dosłownie w garści kilka miliardów istnień ludzkich. Minutę po tym, jak wtarłbym lepką, białawą ciecz w spodnie poczułbym się przez kilka sekund jak uczestnicy konferencji w Wannsee w czterdziestym drugim, którzy właśnie osiągnęli porozumienie we wszystkich ważnych kwestiach.

Z nieuchronnym nadejściem strony kolejnej zmienia się moje samopoczucie. Lipszyc pisze:

*te zdania pąki zdań pęta  
zapętenia  
prawdziwe barokowe szaleństwo!  
powoli można zaśmiecić odwrócić uwagę od pewności  
rutyny naszych spląt*

W tym miejscu nie w głowie mi już samozadowolenie, ale troska o dobro kultury narodu polskiego. Chwytam za telefon, dzwonię do ministerstwa kultury i zadaję proste pytanie:

- Czy z polskim rękodziełem wszystko w porządku? Jak tam panie od makram i gobelinów? Czy nowe pokolenia Polaków, na pracach ręcznych w podstawówce uczone są narodowej techniki wytwarzania ozdobnych kwietników ze sznurka do snopowiązałki? Czy sekretna sztuka splotu sznura, z którą równać się może japońska origami, przetrwa?



Sekretarka ministra obiecuje, że wszystkie moje pytania przekaże panu ministrowi, kiedy tylko ten wróci z ważnego posiedzenia. Odkładam słuchawkę. Wczytuję się dalej, ale nie na długo. Kilka wersów dalej zaczyna mi głowa podskakiwać. Czytam:

*zdania są krótkie  
wersje ostateczne  
poglądy ustatkowane  
tonących się nie uraduje*

W tej samej głowie, która podskakuje rodzi się pytanie o sens wyrażenia:

*tonących się nie uraduje*

I znów sięgnąłbym do rozporzeka. Bowiem nowatorski, neolingwistyczny manewr bojowy – wymiana „t” na „d” – zawładnął mną bez reszty. Niestety, jak zwykle o tej porze dnia pojawiła się małżonka z tym samym pytaniem:

- Obciągnąć ci?

Dziwne jak łatwo można nauczyć się separacji niektórych zmysłów. Ostatnio uświadomiłem sobie, że nie muszę zatykać palcami nosa by nie czuć zapachów. Mimo wewnętrznych sprzeczności sensualizm jest do zanegowania z pozycji samego sensualizmu.

Wracając jednak do Lipszyca i do katastrofy, która minęła świat zaledwie o włos. W neolingwistycznym na wskroś tomiku pt. *Poczytalnia* jednym z najciekawszych, bo najbardziej zbliżających do katastrofy, tekstów jest **dyptyk obłądny**. Jarosław Lipszyc staje wręcz na wysokości języka (bo przecież nie zadania), gdy wymyśla swoje potworniki (to neolingwistyczny rebus: potwory + języki):

*...ciekawość którą trudno  
i nudno wtłoczyć w cienkie rurki...*

*...słowo dawno wyszło z życia...*

*...duszy mężatki z dwojgiem dzieci która pewnego dnia  
wstaje zza stołu od komputera taśmy montażowej biurka i biura...*

*...przyjdą się źle bawić w karty  
dań tańczyć dancing i cafe cologne wielki bal z otwarciem...*

*...naiwne myśli co jest co co co....*

I tak każdy kolejny lipszycowy neolingwistyczny potwornik z tomiku *Poczytalnia* zbliża mnie do prawdy o milenijnej katastrofie, którą przeoczyłem ja, której nie dostrzegł świat, a w szczególności moja żona ze swoim spróchniałym uzębieniem. Teraz mogę mieć jedynie pretensję do wydawnictwa Lampa i Iskra Boża, że nie zadbało o odpowiedni marketing dla lipszycowego dzieła. Jestem pewien, że gdyby tylko świat w 2000 roku obieżył lipszycowe słowa:

*trawa jak papier ścierny niebo jak ścierka rozpostarte na proszek przyklejony do płótna  
widzę zatacza małe i duże koła  
pikuje w dół*

**(obrona cywilna)**

albo:

*rozsypię trutkę i wślizgnę się w trud snu*

**(miłosny akt analogii)**

lub o:

*wiecznym odpoczynku w pancernym sejfie*

**(rozpocząć akcję asenizacyjną)**

Gdyby tylko poeta zdecydowałby się dziewięć lat temu ogłosić swoje słowa poza nakładem 500 egzemplarzy *Poczytalni* – gdyby nie tylko rodzina i najbliżsi znajomi, ale cały świat dowiedział się o tym wszystkim, co polski wieszcz neolingwista miał do powiedzenia - właśnie w tej chwili mielibyśmy dziewiąty rok ery zlodowacenia za sobą, moja żona robiłaby za zamrożony kawałek mięsa, a ja siedziałbym przy ognisku i wymyślał nazwy dla tych dziwnych stworzeń futerkowych z zielonymi siekaczami, których pełno dookoła.

## Marcin Cecko, mów.

Oto wiersz:

*Dobry wieczór państwu, Piotr Kraśko. Dziś w Wiadomościach*  
*Dobry wieczór państwu, Piotr Kraśko. Dziś w Wiadomościach*  
*Dobry wieczór państwu, Piotr Kraśko. Dziś w Wiadomościach*

*Dobry wieczór państwu, Piotr Kraśko. Dziś w Wiadomościach*  
*Dobry wieczór państwu, Piotr Kraśko. Dziś w Wiadomościach*  
*Dobry wieczór państwu, Piotr Kraśko. Dziś w Wiadomościach*

A oto neolingwistyczne pytanie: czy to jest wiersz, czy raczej wiersz czy może raczej nie, lecz kiedyś kto wie, tudzież: na pewno wiesz?

Zanim Naczelny Oberrecenzent i Krytyk Literacki Trzeciej Rzeczypospolitej– Jakobe Weinmann – w swoim uzasadnieniu odpowiedzi na to pytanie przepisze dwa rozdziały Buntu mas Ortegi y Gasset i kawałek ze Wstępu do *Estetyki* Hegla a wszystko to opatrzy swoją standardową, interrogatywną formułą w konkluzji, zapraszającą do dyskusji:

*„tak do końca nie wiadomo. Ale kto wie? Kto wie?”.*

Zanim ten sam wszechuzdolniony i wszechpolski Jakob, bez którego trudno sobie wyobrazić istnienie wszystkich portali i stron internetowych, którym szefuje Frał Prezes of Ostrygi & Przegrzebki & of Foundation; bez którego rubryka „recenzje książek” w pewnym piśmie traci dostateczną rację istnienia, zanim ON sięgnie po *Obras* samego Donoso Cortesa czy Bartolomea Hidalgo a zamiast znaków zapytania w zakończeniu wprawnym przeciwczonym 10.000 razy cutcopystycznym ruchem zacznie umieszczać najślawniejsze zdanie mistrza Quijano, zaczynające się: „*En un lugar de la Mancha...*” a które kończy się kropką, chciałbym dla uzyskania pełni obrazu wspomnieć niektóre z *obras* niejakiego **Marcina Cecko** z wydanego w 2006 r. tomiku: *mów*.

*mów* jest kolejnym kilkudziesięciostrońnicowym dziełem, kolejnego kilkutyśięcznego wieszca polskiego i nie byłoby w nim nic niezwykłego, gdyby nie wprostwomordowskie neolingwistyczne cackanie się wieszca Cecko ze swoim dziełem oraz z szarą substancją mózgu potencjalnego czytelnika, na zasadzie:

*tu cię dopieszczę*  
*a ty pieść się*  
*bo ja wieszczę*

Marcin Cecko w tomiku *mów* prezentuje światu literackiemu osobliwą konserwę poetycką. Ni to pasztet, ni paprykarz, lecz a może nawet aż, wprost na talerz kucharz Cecko serwuje „2 x to samo” i dwa razy zadaje *question* albo *Frage* z akcentem na „a”:

- *Smákuje, smákuje?*

Po tym przydługim i w chuj nudnym neolingwistycznym wstępie, po którym sam ziewam, a w którym nic nie znaczy nic a wszystko znaczy to, co zwykle znaczy, należałoby przejść do rzeczy, by nie zasnąć. Przynajmniej tak podpowiada pewna logika pisania o kimś, o czymś. Jednak jak sobie pomyślę, że to o czym mógłbym napisać na temat Marcina Cecko i jego dzieł z tomiku *mów*, to nudne, długodystansowe powtórzenia, to aż mi się nie chce z akcentem na „a” i „ż” jednocześnie.

Cecko należy do tego rodzaju wieszczów, którzy zastąpili sens i znaczenie formą. Podobnie jak brzydkie, głupie i na dodatek okrutne dziecko, z którym nikt by się nie kolegował, gdyby nie to, że przynosi do piaskownicy jakieś dziwne zabawki.

Ołowiane żołnierzyki Marcina Cecko wyglądają tak:

*powiem ci pochyl się bliżej bliżej nachyl się no*

*...mówię żeby prosto / żeby prosto słyszysz*

**(określ)**

*kto stoi na wzgórzu widzi pociąg martwy  
widzi stal pancierz widzi*

albo:

*katalog główny ce  
katalog główny ce*

**(otwórz)**

*a jak cię drapie  
a jak ci wewnątrz chrapie*

**(twarz)**

*pęła bańka mydlana  
pęła bańka mydlana*

**(pęła bańka mydlana)**

*wyrwij je  
wyrwij je*

**(mów)**

*weź ubogać wewn.  
weź umykać wewn.*

**(wakat)**

A jedno z cackowych dzieł z tomiku *mów* zasługuje na przytoczenie w całości. Jest ono wyjątkowe z kilku powodów. Uwidacznia ono kunszt i warsztat pisarski wieszcz, oraz zawiera energetyczny ładunek ektoplazmy, która byłaby zdolna rozpędzić krążownik Imperium do prędkości, która żadnemu lordowi Sith nawet się nie przyśniła. Oto ono:

*powiem wam  
powiem wam szczerze  
powiewam*

*nie odchodzę  
nie odchodzę*

*szczerzę*

**(po wiem)**

Oczywiście każdy wyrozumiały czytelnik, obyty w świecie sztuki, salonów literackich, darkroomowskich mroków, stosunków analnych, oralnych, werbalnych, genitalnych, porannych, wieczornych i poobiednich przymknie pobłażliwie prawe oko na ten figlarny tytuł: **po wie**. Ci mniej wycackani smakosze, do których zdaje się dotrzeć Cecko ze swoimi dziełami, natychmiast przerobią **po wiem** na **po wsi**. Natychmiast wyobrażą sobie motór, czterobiegową wueskę z połyskującym czarnym lakierem, z wyraźnym logo na baku i to jak z impetem rozpierdalają się na drzwiach remizy strażackiej. Podobnie zareagują wysokiej klasy specjaliści. Szanowne panie profesorki od epistemologii – wszystkie, jak jeden mąż – chwycą w dwa palce clitorisy, ucząc się biologii zadają pytanie: czym się różni powiedza, od przedwiedzy? Tyle pytań generuje ten prosty tytuł, że sama myśl o dekonstrukcji hermeneutycznej korpusu tekstu przyprawia o cacki na grzbiecie.

Wieszcz Cecko, jak wiesz lub też jak zdążyłeś się już zorientować, nie cacka się z nabywcami *wiem*. Wiem, powiesz, ale nie wiem czy wiesz, tak dobrze jak ja, że w jednym i tym samym wersie, którego autorem jest wieszcz Cecko, słowo: *wcale* może 3 x wystąpić kolejno? Wiesz? Wiedziałeś? Wcale nie kłamię, przeczytaj **gnie** tam jest „*wcale wcale wcale*” i to bez przecinka. I nie wiem, czy wiesz, ale ten brak przecinka, jednego malusieńkiego znaku interpunkcyjnego, który bywa powodem prawniczych apelacji opierających się na negacji semantyki jednego z członów zdania złożonego, przed którym korektor zapomniał wstawić przecinek, jest największą wartością nie tyle tekstu ale całego tomiku Marcina Cecko pt. *wiem*

Wieszcz Cecko nie byłby sobą, nie byłby wieszczem, gdyby nie był dysponentem prawdy absolutnej. Dlatego nie może zaskoczyć wiedza przekazana – jak na rasowego wieszczą przystało w formie interrogatywnej - którą ujawnia Cecko na którejś tam stronie dzieła z 2006 r.:

*dlaczego wolę w gry komputerowe grać niż pisać wiersze*

Nie znajduje odpowiedzi na to pytanie. Dla mnie zakamarki szarych komórek wieszcz, który by dokończyć jedno zdanie złożone jest zmuszony predyspozycjami intelektualnymi do zastosowania nonsensownych powtórzeń, są obszarem na mapie umysłu, który zamieszkują lwy.

Ale miałbym jedną sugestię.

Otóż w Redmond ciągle poszukiwani są fanatycy języka C+, może warto by się nauczyć, podszkolić, zainwestować w jakiś kurs informatyki, żeby nie musieć pisać więcej podobnych dzieł wieszczowskich składających się z niekończących się powtórzeń.

Otóż w Redmond ciągle poszukiwani są fanatycy języka C+, może warto by się nauczyć, podszkolić, zainwestować w jakiś kurs informatyki, żeby nie musieć pisać więcej podobnych dzieł wieszczowskich składających się z niekończących się powtórzeń.

Powtórzyłem to na wszelki wypadek, gdyby jedyna komórka mózgowa wieszca Cecko zajęta przetwarzaniem autorskiej serii „*więcej więcej więcej*” na: „*mocniej mocniej mocniej*” przeoczyła coś, co nazywa się plagiatem. Otóż fraza „*mocniej, mocniej, mocniej*” – oczywiście z poprawną interpunkcją została wymyślona przez Andrzeja Piaska Piasecznego w okolicach roku 1998. Informuję także, że inna neolingwistyczna perełka opierająca się na konsonansie i aliteracji: „*chodź, przytul, przebacź*” – także została wymyślona przez artystę o wymownej ksywie *Piasek*.

Marcin Cecko ma zatem do wyboru dwie drogi: tułaczkę lingwistyczną, gdyż wszystkie możliwe połączenia, konsonanse i aliteracje zostały już wyssane przez Andrzeja Piaska Piasecznego; albo karierę programisty w Redmond, w jednym z biur Microsoftu. O ile wątpię w jakość kolejnego neolingwistycznego produktu, który przedstawi wieszca Marcin Cecko cywilizowanemu światu, tak nie mam powodu by wątpić w stabilność systemu Windows9000, który napisze ten sam Marcin Cecko ale jako programista i fan komputerów w firmie wynalazcy Windowsa. Tylko polscy wieszcy są w stanie odesłać zmorę bluescreena w ontologiczny niebyt. Dlatego aż chce się powiedzieć: „*Cecko, nie certol się i wycyckaj ich wszystkich*”.

## Edward Pasewicz, th. Wstęp.

Wczoraj spotkałem kolegę ze studiów. Siedzieliśmy pod parasolami w ogródku małej knajpki przy Friedrichstrasse w Berlinie. Zamawialiśmy schłodzoną wódkę o konsystencji gliceryny i stopniowo się upijając wspominaliśmy wspólne czasy studenckie – wypadki na dupeczki, libacje, w trakcie których nikt nie zastanawiał się na wydolnością wątroby, te mordobicia po których człowiek miał pozdzierane kostki i siniaki pod oczami. To było coś! To była nasza filozofia, lepsza niż każda inna, którą wciskano nam do łbów.

Mateusz – bo tak ma na imię – obecnie pracuje w prywatnym ośrodku badawczym Heer-Meneios w Berlinie, w którym zajmuje się interpretacją tekstów. Jak to sam mówi: nie interesuje go wyjaśnienie (Erklären), ale zrozumienie (Verstehen). Zwykle nie opowiada o pracy. Związany jest tajemnicą wojskową (podejrzewam, że analizują jakieś teksty dla Bundeswehry jak w tym filmie: *Trzy dni Kondora*) ale tym razem już przy drugim kieliszku podsunął mi wydruk – na oko jakieś 50 stron – i zapytał:

- Znasz?

- Co takiego? – odparłem, biorąc do ręki wydruk i zacząłem go przeglądać. Jak się okazało był to tomik wierszy *th Edwarda Pasewicza*, wydany stosunkowo niedawno przez kserokopia.art Jarka Łukaszewicza.

- Słyszałem o Pasewiczu i czytałem kilka jego wierszy gdzieś tam w internecie, ale jego książek nie miałem w ręku. A po co mi to dajesz?

- Pracuję nad nową formą interpretacji. Nazwałem ją hermeneutyką multimolekularną – odpowiedział Mateusz dając jednocześnie znak kelnerowi, żeby przyniósł kolejne zmrożone dwie pięćdziesiątki.

- Multimolekularną? A co to za stwór? – zapytałem.

- Żaden stwór – odpowiedział lekko poirytowany – Wyobraź sobie ciasto drożdżowe. Samo ciasto jest czymś, jest substancją, którą można umieścić w ramach pewnego dyskursu. Ale w ramach różnych dyskursów można umieścić też placek, który jest modusem ciasta drożdżowego. To samo można zrobić z rodzynekami, olejem, mąką drożdżami, cukrem i innymi składnikami, które się składają na ciasto drożdżowe. W ramach dyskursu można umieścić także cukiernika i gospodynię domową, która to ciasto robi, a tym samym uzyskać przejście do kontekstów, które wydają się odległe semantycznie od ciasta drożdżowego, ale przecież są z nim związane.

- Hmm, a jak to się ma do tej multimolekularności? – zapytałem.

- Do tego zmierzam. Chodzi o to, że w rzeczywistości świata kultury istnieją relacje między elementami tego świata, jak i relacje między światem kultury i jego elementami...

- No, ale o czymś takim, tylko na gruncie formalnym to już Leśniewski dawno mówił – wtrąciłem.

- Tylko, że w systemie Leśniewskiego relacja między całością a elementem ma charakter obiektywny, natomiast w mojej hermeneutyce molekularnej, relacje między kolejnymi molekułami są czysto subiektywne, zależne od sensu, który jest nadawany każdorazowo. Rozumiesz?

- Znaczy, nie chodzi tu o obiektywizm w jakiegokolwiek postaci, ani o relację między poszczególnymi molekułami, ale o samą interpretację, ten każdorazowy sens?

- Właśnie! – wykrzyknął, czym zwrócił uwagę pozostałych gości w ogródku.

- OO to chodzi – kontynuował ściszym już głosem – o to chodzi. Tu się liczy nie tekst jako molekuła, ani nie kolejne jego fragmenty, ale każdorazowy, subiektywny z natury, bo nadawany przez tego, kto interpretuje teks, sens będący na końcu multimolekułą. W każdej chwili może być on różny, każdorazowo będzie bowiem zależny od podmiotu. I tu nikt nie oczekuje na prawdę, choćby miała się nagle wyłonić spowita w anioły, jako właścicielka świata. Tu nie jest ważny także sens, ale podmiot – ten, kto ten sens nadaje, jemu należy się cała uwaga.

Spoglądałem na Mateusza. Widziałem w tym momencie pasję w jego oczach, ten błysk Kolumba, który odkrywa nowy ład. W jego pomysłach było coś przewrotnego. Gdyby uznać, że tekst jako taki w ramach hermeneutyki multimolekularnej odgrywa rolę drugoplanową, bo najważniejsza jest interpretacja, będąca produktem podmiotu, to okazuje się, że epicentrum tej teorii jest nie tyle człowiek, ale wytrenowany umysł ludzki, który tworzy interpretacje. Nieważne czy ma on do czynienia z tekstem złożonym czy prostym, ale przede wszystkim ostateczny produkt tego spotkania. Wątpię, żeby w tym momencie Mateusz miał jakieś skrupuły, odrobinę chrześcijańskiego egalitaryzmu. Oczywiście implikacją jego koncepcji hermeneutyki multimolekularnej jest elitarność umysłu interpretującego. Jak to on zawsze mawiał: „Nie znajduję w sobie odrobiny nawet litości dla głupoty w obojętnie jakiej formie”. Hermeneutyka molekularna, o której opowiadał Mateusz, miała też wartość jako forma dialogu bynajmniej nie hermeneuty z tekstem, ale hermeneuty z własnym umysłem i przede wszystkim hermeneuty z środowiskiem. Tu najbardziej ujawniała się specjalizacja tej dziedziny. Można sobie wyobrazić kolejne poziomy interpretacji, kolejne połączenia odkrywane przez niezależne od siebie przeciwieństwa umysły. Te różne subiektywności, które spotykają się przeciwieństwami w ramach danej interpretacji, a która ciągle pozostaje wariacją na przykład na temat ciasta drożdżowego. Te multisensy na płaszczyźnie połączeń, znaczeń, linii myślowych. To wszystko przy odpowiedniej konstelacji mogło stworzyć intelektualne perpetuum mobile, które raz wprowadzone w ruch za pomocą prostego zdania, będzie samonapędzało się przechodząc do multisensów, multiświatów w multiinterpretacjach hermeneutyki multimolekularnej

- Poszukaj strony siódmej – odezwał się po chwili milczenia Mateusz pokazując na walające się na stoliku kartki pdf-u *th* Pasewicza – Od tego miejsca zaczyna się **Preludium**, najwartościowsza część całego tomu, czyli dwanaście wierszy.

Znalazłem ten wiersz: **Jak przegrać doskonale**. Czytam pierwszą strofę:

*Przestrzeń ma kształt tarki do buraków  
Białko pisze. To nie jest list miłosny, to  
deklaracja. Białko pisze i nie obchodzi  
go autor, spin, myszko i śmierć z zazdrości.*

- Wiesz już dlaczego koniecznie chciałem się z tobą spotkać na wódce? – przerwał mi Mateusz.

Podniosłem głowę znad kartek. Spojrzałem na niego i zobaczyłem ten szelmowski uśmiech na twarzy, który pojawiał się zawsze, gdy znajdował sobie ofiarę. Kogoś, kto mu się da wciągnąć w rzeczywistość dziwnych pojęć, całych zdań, rzeczywistość najdziwniejszych światów.

- Wiem, ale za wódkę ty płacisz! – odpowiedziałem, przygotowując się na długą przeprawę przez matę dwunastu wierszy Pasewicza. Miałem apodyktyczną pewność, że Mateusz nie okaże mi litości, że jak wciągnie mnie do swej sieci, to jedyny możliwy ruch może odbyć się



tylko według zasad samej sieci. Chyba udzieliło mi się coś z lekcji Sacher-Masocha. Wypiłem kolejny kieliszek lodowatej wódki. Przyczałem się, czekałem.

## Edward Pasewicz, th - Jak przegrać doskonale

- Przeczytałeś? – zapytał Mateusz wracając do stolika z flaszką wódki – Wziąłem całą, żeby tracić wątku – dodał.
- Tak.
- No i co? Pierwsze wrażenie?
- Pierwsze wrażenie?
- Pierwsze – potwierdził, rozlewając kolejkę.
- Może to dziwne, ale pierwsze moje wrażenie po przeczytaniu tego wiersza wiąże się Mandelbrotom, jego zbiorem.
- A dlaczego?
- Zbiór Mandelbrota pojawił się w moim umyśle, jako silne, nieodparte wrażenie, kiedy po raz któryś tam przeczytałem wersy z trzeciej strofy. Czekał, zaraz je przeczytam – odpowiedziałem i odnajdując kartkę z **Jak przegrać doskonale**, odczytałem:

*I, czekaj jeszcze, nie pamiętam, ty czy ja  
wpadłem na tę myśl o żukach w środku  
figi, nie uważaliśmy, teraz to możliwe,  
że one nas piszą.*

Mateusz wysłuchał uważnie. Wyjął flaszkę z kubelka z lodem, odkręcił i rozlał kolejkę. Podniósł swój kieliszek, spojrzął na mnie i powiedział:

- Dobrze, kurwa, dobrze.
- Dobrze.

**Jak przegrać doskonale** jest światem wielości znaczeń możliwych do odczytania w różnych odmianach rzeczywistości, które sam zawiera. Jest czymś na kształt tego żuczka Mandelbrota, z nadymanym odwłokiem i malutką główką pokrytą chityną, w którym samopodobność wzbogacona została każdorazowo na kolejnym poziomie o jakąś unikalną aberrację. W pierwszej chwili wydaje się być to tekst o różnicy między „białkowością” a „duchowością”, w którym to, co materialne („białko”) i jego mechanika („białko pisze”; „białko pisze i nie obchodzi go autor”) skonfrontowane zostało z „autorem”. Ten schizofreniczny dualizm, widoczny w całym tekście wydaje się być pretekstem do rozgrywki z rzeczywistością jako realnością rozumianą jako to, co oczywiste-zmysłowe oraz to, co senne, złudne. Jednakże prostej dychotomii wymknie się to, co unikalne w tym tekście, a mianowicie: jego wielopłaszczyznowość. Pasewiczowi udało się bowiem rzecz niezwykłą. Literalnie w kilku wersach wykreował nieskończenie wiele światów i nie wydaje się, by było to dziełem przypadku. Oto pierwszy wers i zapowiedź nowej fizyki:

*„Przestrzeń ma kształt tarki do buraków.”*

Fizyki, która ograniczy się tylko do wskazania kolejnych światów, bez przesądzenia o ich jakości.

Wracając do sygnalizowanego wcześniej problemu duch-ciało. Jeżeli czytelnik chciałby znaleźć jakąś odpowiedź istoty tej relacji, ciekawszej niż np. okazjonalizm, to się zawiedzie. Pasewicz tu także gmatwa, tworzy konstrukt rzeczywistości „białka”, które „nie jest ślepe” i „sumy przerażeń”. Pisze:

*Białko pisze i nie jest ślepe, to nie rojenia  
tylko suma przerażeń.*

Niewiadomo czy Pasewicz nadaje swojej mechanice nowe, nieznane atrybuty – czy tworzy myślące maszyny, a może czy w myślących duchach widzi maszyny. Pozostawia czytelnika bez odpowiedzi, wprowadzając kolejny rodzaj świata:

*I nieważne jest czy  
pokochamy trupa, ta wiedza odsyła nas  
w sen a on okazuje się kolejnym pismem  
nie odpowiemy chyba na poste restante?*

Ta część tekstu jest o tyle ciekawa, że Pasewicz rezygnuje z naiwnej i oklepanej metaforyki snu, jako realności (choć przyznać należy, że oniryczność jest ważnym elementem tekstu). Tu pojawia się problem rzeczywistości jako tego, co jest wyrażalne w języku, za pomocą pojęć. I nie sposób z jednej strony wzdrygnąć się przed tą skrajną racjonalizacją świata, a z drugiej zaś ulec pokusie choćby krótkiego eksperymentu myślowego: zadać sobie pytanie, czy znam coś, czego nie potrafię nazwać? Czy istnieje jakaś jakość ponadprzymiotnikowa, jakość nowego przymiotnika? Jeżeli tak, to czy świat jest, czy może mój język jest światem? Nie istnieje ostateczna odpowiedź na te pytania. Zresztą próżno odpowiedzi szukać, zwłaszcza że wielość rzeczywistości (tu nawet Chwistek zazdrościłby Pasewiczowi ) w tekście **Jak przegrać doskonale** osiąga apogeum we fragmencie:

*I, czekaj jeszcze, nie pamiętam, ty czy ja  
wpadłem na tę myśl o żukach w środku  
figi, nie uważaliśmy, teraz to możliwe,  
że one nas piszą*

Nie uważam by dyskusja nad tym fragmentem w ramach hermeneutyki multimolekularnej kiedykolwiek znalazła swój finał. Z jednej strony jest to jakaś dziecięca konstatacja, z drugiej wprowadzenie w świat fraktali i opisu. Istnieją fragmenty, o które człowiek jest zazdrosny, że to on ich nie wymyślił. Właśnie to jest jeden z nich.

Oprócz tych wszystkich warstw znaczeniowych, jest też ta literalna. Ta, która jednak umyka w kontekście tekstu. Okazuje się, że wiersz **Jak przegrać doskonale** może być odczytywany jako rodzaj intymnego dialogu. Pasewicz napisze:

*To nie jest list miłosny  
to deklaracja*

ale nie sposób wyczuć tej naturalności, które pojawia się tylko w bezpośrednim dialogu, a która nie ma nic wspólnego z deklaracją, ale z intymną czułością. Pasewicz wciąga w rozmowę, w dialog. Pisze: „*I, czekaj jeszcze, nie pamięta ty, czy ja...*”, pisze jakby chciał zatrzymać czytelnika by porozmawiać, ale jednocześnie daje się wyczuć pewien dystans – „*ty*” cały czas pozostaje bierne.

## Edward Pasewicz, th - Sonata o takcie

### Pewien dialog:

**Nauczyciel:** Tu wszystko coś znaczy, nie ma nic bez znaczenia. Ten szpikulec wystający z końskiego pyska coś znaczy, na pewno coś znaczy. Tak samo te wszystkie mordy, wszystkie postaci, wszystkie figury i części, krzywizny i odcinki od A do B, które pchają się do tej industrialnej żarówki też coś znaczą. Ta lampka naftowa, trzymana przez płynne ramie duchowe także. Wszystko chce wyjść z cienia, nawet gdy światło jest sztuczne.

**Ja:** Czy ten złamany miecz...

**Nauczyciel:** Kwantyfikatory, kwantyfikatory mój drogi – odpowiedział, uśmiechając się pobłażliwie.

Główne postacie dialogu stały tak jeszcze chwilę przed zgarbiona kobietą z wystającymi cyckami, przed pucinanymi członkami mieszającymi się z połówkami byka i zarzynanym koniem. W trakcie tego stania nie została zwerbalizowana żadna interpretacja. Nie oznacza to jednak, że te dwadzieścia siedem metrów kwadratowych farb, płótna i werniksu ...

**Ja:** No właśnie, czego „nie oznacza”? Czy antropomorfizować dzieło sztuki? Czy ideologizować? Czy sztuka mówi? Czy może mówi się o sztuce, która nie ma nic do powiedzenia, pozostając neutralną? Ale przecież tak nie może być, żeby sztuka nic nie wyrażała. Od kiedy niebyt stał się kategorią kulturową, także artystyczne nic coś mówi, coś przekazuje. Ale może jest też tak, że mówi się o tym, co sztuka mówi oraz czy w ogóle to, co akurat ma do powiedzenia warte jest opowiedzenia w ramach dyskursu?

Kiedy dialog ewoluował solilokwicznie, skończył się.

Tak jak *Guernica* nie nadaje się do tylko do oglądania, tak **Sonata o rytmie** Edwarda Pasewicza (jeden z wierszy składający się na „*preludium*” tomu *th*) nie nadaje się tylko i wyłącznie do czytania. I na tym kończą się podobieństwa między tymi wytworami.

Pierwsze, co pojawia się jako wrażenie po lekturze *Sonaty o rytmie*, to wrażenie dynamiki, pasewiczowskiego „*taak, tak, tak, tak, ta, ta, ta, t'*”. Nie sposób w tym wierszu odnaleźć granicę między wystukiwanym palcem na blacie rytmem a treścią. Tu klasyczne rozróżnienie na treść i formę zostało wzięte w nawias, nastąpiło pomieszanie świadomie wzmacniane przez autora tak, by wprowadzić czytelnika w ta-ta-ta, w którym pozornie ważny jest tylko rytm.

I tu widoczna jest pierwsza pozorna analogia między dynamiką wojny wyrażaną przez szlachtowanego konia wyciągającego szyję do wszystkowiedzącego oka a wierszem Pasewicza. Czytamy:

*Obiegnik, tryl i przepłyń mnie proszę,  
kiedyś była śmierć najlepszym spójnikiem  
a teraz co? Uderz spocznij,  
argument na nie, w fartuchu ordynatora  
zwrócili państwo uwagę jak to się kończy?*

*w sterylnych pomieszczeniach stukot  
kopyt, nie wrócą bo nie mają dokąd,  
echa co zawsze sprawiają wrażenie,  
że są połową jakiejś całości.  
I nawet gdybym znał ten ruch, nic mi  
Nie pomoże, ten ruch nie gasi, nie znaczy, nie pali*

Wrażenie ruchu rozumianego nie jako płynne const., ale jako coś gwałtownego autor buduje za pomocą pojedynczych znaczeń oraz zabiegów formalnych (podział wersów). Jednak u Pasewicza sam ruch pozostaje tylko ruchem, jego wiersz jest aksjomatem w ramach dynamiki, bez konkretnego odniesienia. Trudno szukać zewnętrznego kontrapunktu dla *Sonaty o rytmie* – i to czyni wiersz ubogim, który pozostaje tekstem w sobie i dla siebie.

Nie przesądza to o walorach tekstu jako takiego. Gdyby można było użyć w tym miejscu porównania, to powiedziałbym, że *Sonata o ruchu* Pasewicza jest mechanizmem zegarowym naładowanym niepoliczalną liczbą kół zębatych, przekładni i sprężyn. Mechanizm ten bardzo precyzyjnie odmierza czas, interwał „tik-tak-tik-tak” pozostaje niezakłócony. Mechanizm ten jest majstersztykiem sam w sobie, nie potrzebuje żadnej formy duchowości by żyć, bo ten zegar stworzony przez Pasewicza jest całkowicie autoteliczny.

\

Z tego powodu ucieszy on kolekcjonerów, którzy będą zachwycali się precyzją, dokładnością chodu, finezją wykonania. Jednak ci, którzy siecią łowią ptaki (to za moją skradzioną kobietę) nie znajdą w tekście nic poza sterylnie dokładnym: „ta, ta, ta, ta, ta”.

Jest jakiś niedosyt z czytania a w zasadzie z oglądania pasewiczowskiej *Sonaty*. Podobny niedosyt pewnie odczuwali manhattańczycy, którzy pragnęli oglądać swoje megatonowe dziecko w akcji. Bo przecież liczy się przede wszystkim użycie oraz kontekst tego użycia.

## Traktat o kurestwie idealnym

Ax.  $X = X$

1. W każdym zbiorze wartości etycznych (**E**) istnieją takie ( $e^1, e^2, e^3 \dots$ ), które się wzajemnie wykluczają.

2. Sytuacje, w których jednostka **X**, w skończonych odcinkach czasu:  $t^1, t^2, t^3 \dots$  wchodzi w relację z elementami zbioru (**E**), tak że:

$$A = \{ t^1 = [ (X = e^1) \wedge (X = e^2) ] \}$$

$$B = \{ t^1 = [ (X = e^1) ] \wedge t^2 = [ (X = e^2) ] \}$$

określa się jako kurestwo (**K**)

### Komentarz:

Człowiek od świata zwierząt odróżnia zdolność dokonywania wolnego wyboru. Człowiek jest człowiekiem wówczas, kiedy dokonuje takich wyborów. Niemowlęta i osoby psychicznie chore (w niektórych stanach chorobowych) nie są w stanie dokonać wyboru, dlatego nie są ludźmi. Jednak etyka ogólnoludzka nie pozwala traktować dzieci i upośledzonych jako nie-ludzi.

3. Wolny wybór (**WW**) to określenie swojej pozycji w stosunku do elementów zewnętrznych [**EZ**] (fizycznych / psychicznych) jak i elementów wewnętrznych (psychicznych) [**EW**] w danym przedziale czasowym (**t**). Wybieramy zawsze w ramach danych możliwości. nie można wybrać czegoś, czego nie ma, co nie jest dane jako możliwość.

### Komentarz:

Na przykład: prowadząc wojnę, nie mogę jako wódz zdecydować się na użycie działa pozytronowego, o którym wiem z filmu o Star Treeku, że jest w stanie zniszczyć wszystko, włącznie z planetą. Nie mogę go wybrać, ponieważ nie istnieje ono faktycznie w zbiorze środków ofensywno/defensywnych.

4. Określenie pozycji to albo: wprowadzenie w określonej jednostce czasu ( $t^1$ ) równości lub różnicy między podmiot a przedmiot:

$$A = [X = EW \wedge EZ]$$

$$B = [X = EW \vee EZ]$$

$$A^1 = [X \neq EW \wedge EZ]$$

$$B^1 = [X \neq EW \vee EZ]$$

**Komentarz:**

Wolność wyboru rozciąga się nie tylko na przedmiot wyboru, ale na wolność samą. Wolność jest gwarantem niej samej: wolność umożliwia wolność i odwrotnie z wykluczeniem przypadków „meta-“, czyli, takich że:  $\{A \neq [X = EW \wedge EZ]; \dots\}$ , które rozstrzygane są w ramach teologii.

5. Każdemu  $EW$  i  $EZ$  można przyporządkować tylko jeden element ze zbioru  $E$ .

**Komentarz:**

Ścisłe przyporządkowanie jednej tylko wartości etycznej ze zbioru  $E$  dla konkretnego  $EW$  czy  $EZ$  jest sprzeczne z aksjomatem wolnego wyboru ale nie na poziomie systemu samego. Pojawia się ona tylko wtedy, gdy  $(X)$ , na mocy aksjomatu  $(WW)$  tworzy sytuację:

$$A = \{t^1=[(X=e^1) \wedge (X=e^2)]\}$$

$$B = \{t^1=[(X=e^1)] \wedge t^2=[(X=e^2)]\}$$

stąd: kurestwo  $(K)$  jest podobnie jak aksjomat wolnego wyboru  $(WW)$ , aksjomatem człowieczeństwa.

**Komentarz:**

Żadne dziecko, ani osoba upośledzona psychicznie nie może być kurwą. Kurestwo pojawia się wraz z wolnym wyborem. Gdyby tej wolności nie było, nie istniałoby kurestwo jako takie, albo każde  $X$  byłoby kurwą, na mocy zewnętrznej woli jako rozkazu.

$$Ax. X=(K) \rightarrow X \uparrow (K)$$

**Komentarz:**

jeżeli  $X$  raz był kurwą, to ten sam  $X$  zawsze będzie dążył do tego by być kurwą. Kurestwo jest atrakcyjne jako konsekwentne urzeczywistnienie wolności. Kurestwo jest bowiem takim stanem, gdy konkretna jednostka w tym samym czasie korzysta ze sprzecznych wartości.

Innymi słowy: w sytuacji kiedy inne jednostki:  $X^1, X^2, X^3 \dots$  będą wybierały w określonej jednostce czasu jeden element ze zbioru  $E$ , tak że:

$$X^1 = e^1 \neq (e^2 \wedge e^3)$$

$$X^2 = e^2 \neq (e^1 \wedge e^3)$$

$$X^3 = e^3 \neq (e^1 \wedge e^2)$$

a:

$$\mathbf{X} = (\mathbf{e}^1 \wedge \mathbf{e}^2 \wedge \mathbf{e}^3)$$

to:

miedzy jednostką  $\mathbf{X}$  a każdą inną jednostką:  $\mathbf{X}^1, \mathbf{X}^2, \mathbf{X}^3 \dots$  powstanie relacja pokrewieństwa wyboru.

Tak że:

$$\mathbf{X}^1 \neq \mathbf{X}^2 \wedge \mathbf{X}^3$$

$$\mathbf{X}^2 \neq \mathbf{X}^1 \wedge \mathbf{X}^3$$

$$\mathbf{X}^3 \neq \mathbf{X}^2 \wedge \mathbf{X}^1$$

$$\mathbf{X} = \mathbf{X}^1 \wedge \mathbf{X}^2 \wedge \mathbf{X}^3$$

### **Komentarz:**

Wybory, jakich dokonują ludzie różnicują ich wzajemnie i umożliwia postrzeganie obcego jak i identyfikacje siebie. Kurestwo pozwala na zniesienie owej różnicy. Kurwa jawi się jako swój dla każdego innego, mimo że miedzy innymi występują różnice.

Kurwa jest przyjacielem wszystkich. Chce być. Jest w stanie w każdej chwili, na każdym etapie wybrać taką wartość  $\mathbf{e}$ , by wprowadzić relację pokrewieństwa miedzy siebie a każdą inną jednostką ze zbioru  $\mathbf{X}$ .

**Ax. Zbiór  $\mathbf{X}$  jest funkcją  $\mathbf{X}$**

### **Komentarz:**

Zbiór jednostek dlatego łączy jednostki, ponieważ jest zbiorem – czymś co łączy jednostki. Kurwa wprowadzając miedzy każdą jednostką a siebie relację pokrewieństwa, dąży do zastąpienia funkcji zbioru  $\mathbf{X}$ , przy zachowaniu różnorodności jego elementów.

**Nie istnieje taki zbiór  $\mathbf{X}$ , gdzie:  $(\mathbf{X}^1 = \mathbf{K}) \wedge (\mathbf{X}^2 = \mathbf{K}) \wedge (\mathbf{X}^3 = \mathbf{K}) \dots$**

### **Komentarz:**

Mimo, że kurestwo jest doskonałym wcieleniem zasady wolnego wyboru, to samo kurestwo jako postawa wobec innych jest czymś, co człowiek wybiera. Gdyby wszyscy ludzie byli kurwami, wówczas nie istniałoby coś takiego jak wolny wybór – każdy człowiek skazany byłby na bycie kurwą.